Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

WOLNA SOBOTA

ADAM BODNAR
Cierpliwości... Rozliczymy ▸4

WYSOKIE OBCASY
Chcę rodzić po ludzku
Pozywam szpital

GAZETA wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

ROK PO WYBORACH

Czy Koalicja 15 Października przetrwa ▸8

RYS. IGOR MORSKI, ZDJĘCIA: AGENCJA WYBORCZA.PL

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 41>

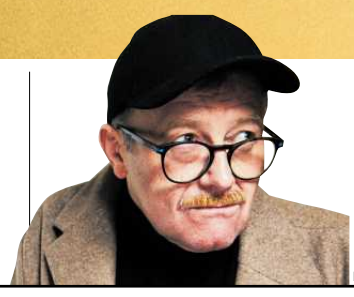

Olaf Lubaszenko, ksywa „Jenny” ▸26

Jak się zostaje lekarzem ▸17

Applebaum o wojnie dronów ▸20

Kulej zagrał glinę Bokserzy na ekranie ▸40

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK, MACIEK JAŹWIECKI (2) / AGENCJA WYBORCZA.

wydanie magazynowe – sobota-czwartek, 12-17 października | Redaktor prowadzący Mirosław Maciorowski | Cena gazety 9,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 239.10733, 2 Nak. 81 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl d6338e1d66

Agnieszka Kublik

Jest problem? Odsyłamy do kolegów

Intencje mieli jasne. Żeby jak najmłodszych jak najbardziej uzależnić od alkoholu. Żeby alkohol był z nami cały czas, w kieszeni, w torebce, w szkole, w pracy, w sklepie, w autobusie, parku... Aby alkohol – w tubkach, niczym musy owocowe dla dzieci – mógł być chlany wszędzie, ale bez wstydu, że pijemy. I legalnie! Producenci wykorzystali lukę w przepisach, które mówią , że alkohol sprzedaje się wyłącznie w „naczyniach zamkniętych, z oznaczeniem nazwy producenta, rodzaju i ilości napoju oraz jego mocy". Tubka to „naczynie zamknięte".

Producent lukę zobaczył i się w niej umościł. Czy państwo zareagowało na czas? Nie. Dopiero w październiku. Problem jest znany od miesięcy! Już w połowie lipca portal Prawo.pl alarmował, że alkohol w tubkach można kupić w internecie. I może go kupić nawet dziecko, a rodzic nie zauważy. W sierpniu dziennikarze tego portalu napisali, że kolejna firma chce zalać rynek alkoholem w tubkach. Dwa rozmiary, 100 i 200 ml, do wyboru: likiery (15 proc.), nalewki owocowe (28 proc.) i czysta wóda (40 proc.).

Poseł PiS alarmował ministrę Leszczynę o alko saszetkach już latem

Potem tubki pojawiły się w sklepach. Kolorowe opakowania pyszniły się na półkach alkoholowych. I pies z kulawą nogą by się tym nie zainteresował, gdyby nie trafiły tam, gdzie stały tubki z musem owocowym dla dzieci.

To był wielki sukces marketingowy producenta. Wszyscy zaczęli mówić, że opakowanie wprowadza w błąd, zalewając – mokry sen każdego marketingowca – media społecznościowe fotkami alko musu. Wprowadzało, bo miało wprowadzać, producent się wręcz tym przechwalał: „Jesteśmy pionierami, którzy zmienili sposób, w jaki doświadczasz alkoholu". Rzeczywiście, nikt wcześniej na taki podły pomysł nie wpadł. I kroił się wielki rynkowy sukces, ale media tak nagłośniły skandal, że Tusk 1 października zaćwierkał, że „ten numer u nas nie przejdzie".

No cóż, przeszedł. Państwo mogło ten numer zablokować już latem. Naprawdę trzeba było czekać do jesieni i do osobistej – „postawiłem na baczność wszystkich urzędników" – interwencji premiera?

Niech będzie, że urzędnikom umknął artykuł w jednym portalu. Ale przecież w sierpniu poseł PiS Jan Warzecha ostrzegał ministerstwo zdrowia, że w sklepach zaczął się pojawiać alkohol w tubkach, do złudzenia przypominających opakowania musów owocowych i owsianek dla dzieci. „Ten niepokojący trend stanowi poważne zagrożenie, zwiększając ryzyko przypadkowego spożycia alkoholu przez osoby nieletnie" – pisał do Izabeli Leszczyny, szefowej resortu. Na jego interpelację odpisał Wojciech Konieczny, sekretarz stanu w ministerstwie zdrowia. Poinformował posła PiS, że to m.in. kwestia ustawy o opakowaniach i sposobu, w jaki dostarcza się napoje alkoholowe do miejsc sprzedaży – a te sprawy należą do kompetencji... ministerstwa rozwoju. Czyli sprawę zbagatelizował.

Państwo, w którym sam szef rządu musi się dowiedzieć o problemie, by interweniowało, jest słabe. Premier nie może być od wszystkiego. ●

Monachium
Święto piwożłopów

FOT. REUTERS/MICHAELA STACHE

Kelnerzy celebrują zakończenie Oktoberfestu, największego na świecie festiwalu piwa. Niemcy, 6 października 2024 r. **Więcej zdjęć i niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Nowy gatunek pająka
Mały, ale świetnie wyposażony

Polski arachnolog (badacz pająków) Hubert Szymański odkrył nowy gatunek pająka. – Najbardziej genetycznie i morfologicznie zbliżony jest do pierwszy raz opisanego w 2003 r. pająka *Quamtana lotzi*, który żyje w RPA. Do Polski przybył zapewne z jakimś transportem, prawdopodobnie roślin sucholubnych, np. jakichś sukulentów – tłumaczy przyrodnik.

Odkrycie potwierdziły badania przeprowadzone przez dr. Bernharda A. Hubera z Muzeum Badań Zoologicznych Alexandra Koeniga w niemieckim Bonn. Tego samego pająka w Wielkiej Brytanii znalazła Alice Bennett-West, inna miłośniczka tych zwierząt.

Nowy gatunek nosi tymczasową nazwę *Quamtana* sp. ZFMK Ar 24490 aff. *lotzi*. Polskiej nazwy jeszcze nie ma.

Szymański odkrył pająki w dwóch w marketach budowlanych i ogrodniczych OBI – w Bydgoszczy i Toruniu. – Może to się wydawać dziwne, ale odwiedzam takie miejsca, ponieważ zbieram materiał do badań i publikacji na temat zawleczonych do Polski gatunków pająków – tłumaczy arachnolog. Pierwszym znalezionym osobnikiem była samica z kokonem w doniczce z agawą. Pająk, choć dorosły, mierzył zaledwie 2 mm. Miał charakterystycznie uniesiony do góry odwłok. Okazało się, że to duże narządy kopulacyjne. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem, więc zabrałem go do zbadania. Później, w tym samym markecie, znalazłem jeszcze dwa samce, kilka osobników młodocianych i kolejną dorosłą samicę, również z kokonem – opowiada Szymański. ●

Robert Jurszo

FOT. HUBERT SZYMAŃSKI

Andrzej rysuje

Liczba tygodnia

1,3

MLD ZŁ

zapłaci Polska australijskiej spółce Prairie Mining, która miała zbudować kopalnię węgla na Lubelszczyźnie. Rząd PiS to zablokował.

www.nekrologi.wyborcza.pl/34341356

ŚP

Małgosia Łozińska

lat 63

inżynier
Nasza ukochana, jedyna, odeszła 25 września 2024 roku.
Była tłumaczem i psychologiem.
Miała barwne i satysfakcjonujące życie.
Kochała i była kochana.

Żegnaj Promyczku!

Osamotnieni rodzice

Teresa i Roman Łozińscy

Msza święta żałobna zostanie odprawiona
w sobotę 12 października 2024 roku o godzinie 11:00
w kościele Św. Klemensa w Nadarzynie k/Warszawy,
po czym nastąpi odprowadzenie urny z Prochami do grobu rodzinnego
na cmentarzu parafialnym.

1 RP

eprasa.pl d6338e1d66

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

CZYTAJ WYGODNIE

JAK ZAMÓWISZ prenumeratę papierowego wydania „Gazety Wyborczej”

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej”
u swojego sprzedawcy prasy

- **Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać** (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- **Masz niższą cenę** niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- **Masz bezpłatny dostęp** do wyborcza.pl
- **Masz gwarancję niezmienności cen** w okresie realizacji prenumeraty
- **Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej** i mieć dostęp do archiwum tekstów

Zamów „Wyborczą” z DOSTAWĄ DO DOMU
w wybranych placówkach Poczty Polskiej
(zapytaj na swojej poczcie)

- **Masz dostarczaną gazetę do miejsca zamieszkania** lub do wybranego urzędu pocztowego bez dodatkowych opłat
- **Masz niższą cenę** niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- **Masz gwarancję niezmienności cen** w okresie realizacji prenumeraty

Sprawdź szczegóły na

wyborcza.pl/prenumeratagw

2 RP

eprasa.pl d6338e1d66

ROKODWYBÓRÓW

eprasa.pl d6338e1d66

CIERPLIWOŚCI... ROZLICZYMY

Zbigniew Ziobro nazwał w Sejmie demokratyczną koalicję fujarami. **Pokazujemy, że nie miał racji.**

Z **PROF. ADAMEM BODNAREM,** MINISTREM SPRAWIEDLIWOŚCI I PROKURATOREM GENERALNYM, ROZMAWIA **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**

BARTOSZ T. WIELIŃSKI: Od wyborów minął rok, od powołania rządu 10 miesięcy. W kręgach wyborców Koalicji 15 października czuć frustrację. Dlaczego aferzyści z PiS jeszcze nie siedzą?
ADAM BODNAR: Gdy muszę konfrontować się z takimi pytaniami, zastanawiam się, jak osoby, które jeszcze rok temu upominały się o przestrzeganie w Polsce praworządności i demokratycznych wartości, ludzie, którzy chcieli żyć w normalnym europejskim państwie, mogą dziś zakładać, że można kogoś wsadzić do więzienia, nie gwarantując mu prawa do sądu oraz obrony. To niepojęte.

Jeśli jednak chodzi o rozliczenia po rządach PiS, to w ciągu ostatnich 10 miesięcy wiele razy udowodniliśmy, że jesteśmy zdeterminowani. A wydarzenia ostatnich tygodni pokazują, że państwo działa konsekwentnie i skutecznie.

Na przykład?
– Prokuratorzy postawili zarzuty byłemu europosłowi PiS Ryszardowi Czarneckiemu [podejrzany doprowadzenie do niekorzystnego rozporządzenia mieniem Parlamentu Europejskiego znacznej wartości w łącznej kwocie 203 tys. 167 euro] i byłemu komendantowi głównemu policji Jarosławowi Szymczykowi [podejrzany o nieumyślne sprowadzenia niebezpieczeństwa dla życia i zdrowia wielu osób i mienia wielkich rozmiarów w związku dokonaniem wystrzału z broni przeciwpancernej]. W śledztwie dotyczącym Funduszu Sprawiedliwości zarzuty postawiono 11 osobom, w tym trzy osoby są tymczasowo aresztowane, a dwóm uchylono immunitety. Ta sprawa ma charakter rozwojowy. Myślę, że do tej pory dotknęliśmy części problemów, które wiążą się z Funduszem.

Śledztwo w sprawie afery wizowej również idzie do przodu. Tu też mamy tymczasowe aresztowania.

Jest też sprawa dwóch panów, którzy nie stawiają się na wezwanie polskich organów ścigania. Jeden przebywa w areszcie w Wielkiej Brytanii, drugi ukrywa się, podobno w Ameryce Południowej [chodzi o Michała Kuczmierowskiego i Pawła Szopę, zamieszanych w aferę w Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych].

Do przodu ruszyło śledztwo dotyczące afery hejterskiej, złożyliśmy wnioski do Sądu Najwyższego o uchylenie immunitetów kilku sędziów. W tym tygodniu zawiesiłem prokuratora Jerzego Ziarkiewicza [za PiS szef Prokuratury Regionalnej w Lublinie], symboliczną postać, jeśli chodzi o dewastację prokuratury za poprzedniego rządu. Pan Ziarkiewicz obwiniony jest m.in. o to, że przechowywał w pomieszczeniu gospodarczym prokuratury (garażu) akta spraw politycznie niewygodnych dla PiS i Suwerennej Polski, nie nadając im biegu.

Rozwijają się śledztwa w sprawie nieprawidłowości w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju (NCBiR) oraz w Krajowym Ośrodki Wspierania Rolnictwa.

Skala wyzwań, z jakimi się mierzymy, jest trudna do wyobrażenia. Po utworzeniu naszego rządu wpłynęło do prokuratury z instytucji publicznych ponad 200 zawiadomień o popełnieniu przestępstw. Wyjaśnienie tych wszystkich spraw wymaga czasu.

Marcin Romanowski się jednak śmieje. Miał zostać tymczasowo aresztowany i mimo że został w końcu pozbawiony immunitetu, raczej aresztu uniknie.
– Młyny sprawiedliwości mielą powoli, ale jednak mielą. Pan Romanowski, gdy dowiedział się o decyzji Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, raczej się nie śmiał. Minę musiał mieć nietęgą, bo ta wielka akcja, by nie dopuścić do odebrania mu immunitetu, spaliła na panewce.

Trzeba tu jednak zadać pytanie: na czym nam najbardziej zależy? Ja uważam, że na rozliczaniu złych rzeczy, a nie na obrazkach w telewizji. Nie można postrzegać mechanizmów wymiaru sprawiedliwości wyłącznie z perspektywy scen i wydarzeń pokazywanych w mediach. Tu nie ma miejsca na pokazówki. To kwestia odpowiedzialności karnej. Trzeba uszanować każdą decyzję sądu, bez względu na to czy uzna, że areszt jest potrzebny czy nie.

Gdybym jednak ja, czy ktokolwiek w prokuraturze, traktował tymczasowe aresztowanie, jako cel sam w sobie, ku uciesze publiczności, oznaczałoby to powrót do poprzednich czasów. Na takie podejście do tymczasowego aresztowania nigdy nie będzie mojej zgody.

więzienia nie tylko nie poszedł do aresztu, ale nawet nie musiał w prokuraturze oddać paszportu.
– Prokuratura podjęła taką decyzję, uznając, że nie ma zagrożenia dla postępowania. Sprawa Czarneckiego opiera się przede wszystkim na dokumentach, których zgromadzono mnóstwo. Sprawę kilometrówek zresztą najpierw odkryto w garażu Ziarkiewicza. Po zmianie władzy prokuratorzy wreszcie poczuli, że mogą normalnie zajmować się takimi sprawami – bez presji czy politycznego parasola ochronnego. To jest sprawa dość prosta – wystarczy zweryfikować zebrane dokumenty oraz treść zeznań złożonych przez asystentów, którzy pomagali mu w prowadzeniu dokumentacji. Wkrótce zostanie wniesiony akt oskarżenia i rozpocznie się rozprawa sądowa.

W prokuraturze są też trudniejsze sprawy, takie jak np. postępowanie w sprawie fuzji Lotosu i Orlenu. Tak skomplikowanej materii w ciągu kilku miesięcy nie wyjaśni nawet spory zespół prokuratorski. Ale już np. kwestia zegarka, który miał być przeznaczony na podarunek dla zagranicznej delegacji, a podejrzewa się, że został przywłaszczony przez jedną z urzędniczek MON, na

Jeżeli ktoś aktywnie kolaborował, brał udział w tworzeniu niedemokratycznej władzy, nie może dłużej sprawować stanowiska prezesa sądu

Romanowski nie stawił się jednak w prokuraturze. Co teraz?
– Nie jest to pierwsza osoba, która nie stawiła się na określony termin i są na to doskonale znane w prokuraturze procedury. Na ten moment jest wyznaczony nowy termin. I być może pan Romanowski się wtedy stawi. A jeśli będzie unikał uporczywie czynności prokuratorskich, to prowadzący sprawę będą mieli narzędzia, by temu zaradzić. Tak jak w przypadku każdego innego obywatela.

Jednak prokuratura z odbieraniem immunitetu Romanowskiemu nie musiała się tak śpieszyć. Można było od razu wystąpić o to do Rady Europy?
– Byliśmy naprawdę przekonani, że nie było takiej konieczności. Z opinii prawnych, jakie zamówiliśmy, wynikało, że immunitet w tym przypadku nie obowiązuje. Wiele autorytetów stanęło po naszej stronie. Wśród nich był m.in. prof. Marek Safjan, były prezes Trybunału Konstytucyjnego, były sędzia Trybunału Sprawiedliwości UE oraz prof. Władysław Czapliński wybitny znawca prawa międzynarodowego, którego opinię prokurator przedstawił przed sądem polskim orzekającym w tym zakresie.

Z raportu Zgromadzenia Parlamentarnego wynika zresztą, że sprawa była oczywista, ale bezprecedensowa. Wcześniej rozpatrywano tam wnioski o uchylanie immunitetów, ale nigdy ZP nie miało do czynienia z tak poważną, typowo kryminalną historią, która nie ma nic wspólnego z działalnością Rady Europy. Paradoksalnie przyczyniliśmy się do kształtowania międzynarodowych standardów

Tymczasem w kraju, były europoseł PiS Czarnecki mimo zarzutów dotyczących bardzo poważnych przestępstw, zagrożonych karą 15 lat

poziomie dowodowym skomplikowana nie jest. Tu można szybciej iść do przodu.

Co pan zastał w prokuraturze, obejmując dziesięć miesięcy temu resort?
– Trzeba zacząć od tego, że przed 2016 r., gdy pracami prokuratury kierował niezależny prokurator Andrzej Seremet, podnoszono różne zastrzeżenia co do komunikacji, funkcjonowania, przewlekłości postępowań. Gdy zaczął rządzić PiS prokuratura, podobnie zresztą jak sądownictwo, nie działała wzorowo. Wykorzystano to jako pretekst, by rozpocząć polityczne podporządkowanie prokuratorów i represjonować tych, którzy podporządkować się nie chcieli. Zaczęły się degradacje, które dotknęły tak zasłużone postaci, jak Krzysztof Parchimowicz. Wobec niepokornych prokuratorów wszczynano postępowania dyscyplinarne, wysyłano na karne delegacje do odległych miast.

Środowisko prokuratorskie było podzielone. Byli prokuratorzy, związani z Lex Super Omnia, którzy od początku protestowali, mówiąc, że nie poddadzą się presji Zbigniewa Ziobry, i że będą działać w oparciu o prawo, często mimo przykrych dla siebie konsekwencji. Ale była też grupa prokuratorów, która poszła z obozem „dobrej zmiany" na daleko idącą współpracę. Dała tym politykom gwarancję, że nic złego im się nie stanie w sprawach, które mogą dla nich mieć polityczne znaczenie. Takie śledztwa albo opóźniano, albo przenoszono między prokuraturami. Afera hejterska przez cztery lata była przerzucana pomiędzy różnymi prokuraturami. Do ukrywania takich spraw służył także wspomniany już wcześniej garaż Ziarkiewicza. Jednocześnie pojawiały się sprawy, w których prokuratura była nadaktywna, gdy chodziło o to, by osiągnąć bardzo konkretny polityczny cel.

FOT. MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl d6338e1d66

Czyli mówiąc kolokwialnie: dorwać kogoś, np. marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, z którego PiS chciał zrobić łapówkarza
– Albo mecenasa Romana Giertycha, którego usiłowano zatrzymać i postawić mu zarzuty. Jako opinia publiczna wiedzieliśmy, o co w tych sprawach chodzi, wiedzieliśmy, że są „szyte", ale w pewnym sensie byliśmy bezsilni.

W prokuraturze oczywiście pracowało wielu bardzo uczciwych ludzi, świetnych fachowców, którzy albo nie mogli rozwinąć skrzydeł, albo nie mogli awansować. Albo gdy awansowali, to zaciskali zęby, myśląc: trudno innej prokuratury nie będzie, a jakoś muszę się zawodowo rozwijać. Nie zrobili niczego złego, po prostu biernie przyglądali się biegowi wydarzeń. Podsumowując – nie przejmowałem prokuratury, która byłaby jednolitą strukturą pod względem organizacyjnym i kadrowym. Z tym musiałem się zmierzyć.

Dlatego jedną z pierwszych decyzji, jakie podjąłem, było odbudowanie pozycji Krajowej Rady Prokuratorów [stoi na straży niezależności prokuratorów, opiniuje decyzje prokuratora generalnego]. Regularnie się z nią spotykam. Zdecydowałem też o przystąpieniu polskiej prokuratury do Prokuratury Europejskiej. Zmieniliśmy zasady awansów, m.in. ogłaszane są konkursy na nowe stanowiska, np. na prokuratora delegowanego do Międzynarodowego Trybunału Karnego czy do Eurojustu [Agencja UE ds. Współpracy Wymiarów Sprawiedliwości w Sprawach Karnych]. W ramach akcji „Tour de prokuratura" odwiedzam prokuratury w całym kraju, spotykam się z prokuratorami, jak tylko mogę, wzmacniam ich, ale też wsłuchuję się w ich problemy i uwagi dotyczące codziennej pracy. Mówię im przy tym – słuchajcie, teraz macie prawo do tego, żeby niezależnie funkcjonować, prowadzić postępowanie zgodnie z prawem i własnym sumieniem.

Gdy trwają ważne śledztwa, to nie staję na konferencjach prasowych obok prokuratorów, którzy je prowadzą. To ich sprawy i ich prokuratur, a ja nie będę na ich pracy zbijał wizerunkowego czy politycznego kapitału.

Co z rozdziałem urzędów ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego?
– To jedno z moich najważniejszych zadań, by przygotowywać prokuraturę do tej kluczowej zmiany. Intensywnie nad tym pracujemy. Projekt rozdzielający funkcję Ministra Sprawiedliwości i Prokuratora Generalnego zaprezentowaliśmy w lipcu tego roku. Niedawno Polskę odwiedzili przedstawiciele Komisji Weneckiej, którzy przygotowują opinię na temat tego projektu. Powinna zostać ona już wkrótce przez Komisję przyjęta i przekazana Polsce.

Prokuratorzy czują presję ze strony społeczeństwa, by rozliczyć PiS-owskie bezprawie?
– Myślę, że może tak być. Ale presję ze strony społeczeństwa można dobrze wykorzystać. Czyli działać profesjonalnie, by skutecznie wyjaśnić wszelkie nieprawidłowości, bo każdy prokurator odpowiada przed społeczeństwem. Prokurator nie może jednak podejmować wyłącznie tych spraw, które budzą społeczne emocje. Na spotkaniach z prokuratorami zwracam uwagę, że muszą być niezależni i ich niezależność należy szanować. Do znudzenia będę jednak powtarzał, że aby proces rozliczeń był skuteczny, musi opierać się na mocnych podstawach. Musimy działać zgodnie z przepisami.

Wyobraźmy sobie, że ktoś zadziałałby zbyt szybko, w sposób nie do końca przemyślany. Później w toku kolejnych postępowań sądowych prokuratura zaczęłaby ponosić porażki. Ale wtedy byłby śmiech i oburzenie, że jest nieudolna, że nie potrafi nic porządnie zrobić. Każda sprawa musi być przeprowadzona tak, by można było sformułować akt oskarżenia, który utrzyma się w sądzie. Nie ma innej drogi.

Są oczywiście sytuacje, gdzie trzeba reagować na bieżąco. Przykładem jest sprawa wypadku na Trasie Łazienkowskiej w Warszawie [15 września w nocy rozpędzony volkswagen uderzył w forda, którym wracała rodzina, zginął kierowca, a jego żona i dzieci odniosły obrażenia]. Nie dość, że dzięki współpracy z policją oraz współpracy międzynarodowej udało się zatrzymać w Lubece Łukasza Ż., to jeszcze zostały aresztowane osoby, które współuczestniczyły w tym wypadku i mają zarzuty poplecznictwa. Prokuratorzy sprawnie w tej sprawie zadziałali i wiem, że mają satysfakcję.

Rok temu doszło do podobnego wypadku na trasie A1, żywcem spłonęły trzy osoby, sprawca uciekł do Dubaju
– Uciekł w czasie, gdy ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym był Zbigniew Ziobro. Robię wszystko, aby Sebastiana M. sprowadzić do Polski. Ściśle współpracuję tutaj z szefem MSZ Radosławem Sikorskim, który podczas pobytu w USA przy okazji sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ rozmawiał o tej sprawie z szefem dyplomacji Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Myślę, że nasze skoordynowane działanie wkrótce przyniesie efekty i dojdzie do ekstradycji.

W sprawie tego wypadku dostrzegliśmy różne nieprawidłowości, jeśli chodzi o postępowanie przygotowawcze i sprawa została podjęta na nowo. Przeniesiono ją do prokuratury w Katowicach i tamtejsi prokuratorzy ponownie analizują materiał dowodowy. Bo to, co się wydarzyło zaraz po wypadku, wcale nie jest jasne.

sądów, że będzie chaos i państwo nie będzie funkcjonować. Gdy w lutym PiS złożył wobec mnie wniosek o wotum nieufności, tym strachom poświęcona była praktycznie cała debata.

I co? Państwo funkcjonuje, prokuratura sprawnie działa. Zmieniła się tylko jedna rzecz: nie ma już bezkarności. Śledztwa idą do przodu.

Te wszelkie próby torpedowania działań prokuratury, podejmowane są po to, by zablokować proces rozliczeń. Sięga się po różne metody – od dezinformacji po metody pseudo prawne, kiedy do próby zablokowania postępowań wykorzystywane są osoby, które są nadal politycznie uwikłane lub nie zostały legalnie powołane na swoje stanowiska.

Musimy mieć tego świadomość – wychodzimy dziś z trwającego osiem lat procesu budowy państwa niedemokratycznego. Robimy to, co jest możliwe w granicach prawa, żeby przywrócić obywatelom niezależne sądownictwo i prokuraturę. Chcę, żeby zmiany, jakie wprowadzamy, były trwałe. To jest dla mnie najważniejsze.

Podjął się pan chyba samobójczej misji?
– To wcale nie jest samobójcza misja. Wszystko jest do zrobienia, choć potrzeba dużo energii, determinacji i dużej cierpliwości. Także po stronie demokratycznej. Możemy się sprzeczać, co do różnych decyzji i konkretnych spraw, ale kieruje nami podobne przekonanie, że musimy wyprowadzić Polskę na prostą pod względem bezpieczeństwa prawnego dla obywateli i stabilności sądów oraz prokuratury.

władni mogą skazywać ludzi i zamykać ich w więzieniach.
– Na tyle, na ile pozwalają moje kompetencje, poprawiam stan przestrzegania praw obywatelskich. W tym sensie niewiele się zmieniło.

Na granicy polsko-białoruskiej dalej dochodzi jednak do push-backów. Obrońcy praw człowieka mają o to do rządu wielkie pretensje
– Sytuacja na granicy jest bardzo skomplikowana, a jej rozwiązanie jest w gestii ministra spraw wewnętrznych i administracji. Mogę powiedzieć tyle, że dziś jest tam zupełnie inna sytuacja niż w 2021 roku. Teraz granica stała się elementem prowadzonej przez Rosję i Białoruś wojny hybrydowej, w której wykorzystuje się migrantów.

PiS pana strasznie hejtuje.
– Nic nowego. Poznałem już te hejterskie mechanizmy, gdy byłem RPO. Najważniejsze to trzymać gardę, nawet jeśli organizowane są całe kampanie nienawiści. Nauczyłem się, że hejterskie akcje są jak fale. Wzmagają się, następuje apogeum i nagle wszystko zanika, na długie tygodnie hejterzy o ofierze zapominają. Teraz jest podobnie.

Jeszcze miesiąc temu mieliśmy wielkie wzmożenie wokół księdza Olszewskiego [aresztowany w związku z nieprawidłowościami w dysponowaniu środkami z Funduszu Sprawiedliwości]. Nagle, gdy przy rozliczaniu tej samej afery problemy zaczął mieć Romanowski, kampania dotycząca księdza straciła impet. Romanowski okazał się ważniejszy.

Dla PiS hejt i dezinformacja to narzędzia stosowane do prowadzenia codziennej polityki. Nie można więc do tego podchodzić osobiście i przejmować się absurdalnymi oskarżeniami

Trzech neosędziów z Izby Karnej Sądu Najwyższego wydało uchwałę, z której wynika, że prokuratorem krajowym nie jest Dariusz Korneluk, tylko pozostaje nim Dariusz Barski, bliski współpracownik Zbigniewa Ziobro, świadek na jego ślubie.
– To nie jest żadna uchwała Sądu Najwyższego, a jedynie stanowisko trzech tzw. „neo-sędziów". To osoby nieuprawnione do zasiadania w Sądzie Najwyższym, bo zostały wyłonione w niewłaściwy sposób, przez tzw. neo-KRS. Prokuratura dwukrotnie składała wnioski o ich wyłączenie od orzekania, ale nie zostały one merytorycznie rozpoznane. To stanowisko nie wywołuje więc żadnych skutków prawnych.

Dariusz Barski przestał być prokuratorem krajowym 12 stycznia 2024 r. i od tego czasu w różny sposób próbowano to zakwestionować. W tej sprawie kluczowe znaczenie ma prawomocny wyrok Sądu Apelacyjnego w Szczecinie w składzie, co do którego nikt nie miał wątpliwości. 27 listopada wypowiedzą się w tej sprawie w Sądzie Najwyższym legalni sędziowie.

Nie boi się pan, że na naszych oczach utrwala się dualizm prawny. Że mamy prokuratorów od Ziobry i prokuratorów od Bodnara, w wyniku czego każdy akt oskarżenia będzie można prędzej czy później podważyć?
– Takie zastrzeżenia i wątpliwości słyszę, odkąd nastąpiła zmiana w prokuraturze. Nieustannie mnie straszono, a przy okazji całe społeczeństwo, że system prawny się zawali, że dojdzie do paraliżu prokuratur,

Zdecydowałem się zostać Ministrem Sprawiedliwości, bo widziałem, jak niszczone są struktury państwa demokratycznego. Dzięki pracy jako Rzecznik Praw Obywatelskich mam wiedzę i doświadczenie w tym zakresie. To daje mi przewagę – wiem, co trzeba naprawić, ale też, na co trzeba być gotowym.

Odbudowuję relacje z instytucjami międzynarodowymi. Po zmianie rządu odzyskujemy ich zaufanie. Premier Tusk cieszy się powszechnym szacunkiem. Instytucje międzynarodowe przyglądały się też mojej pracy jako RPO. Ten poziom budowanego przez lata zaufania i determinacji w walce o praworządność miał pewne znaczenie przy odblokowaniu środków z KPO, czy teraz dialogu z Komisją Wenecką, czy z OBWE. Organizacje międzynarodowe służą nam w naprawie państwa dobrą radą, ale wywierają też presję, byśmy zgodnie z naszymi zobowiązaniami przestrzegali prawa międzynarodowego i stosowali się do orzeczeń TSUE czy Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

Minione osiem lat to była katastrofa dla międzynarodowego wizerunku Polski. Nasi poprzednicy z Ministerstwa Sprawiedliwości na unijnych spotkaniach powtarzali jedynie, że Europie zagraża ideologia gender i LGBT, konsekwentnie podważając autorytet instytucji międzynarodowych. Musimy to nadrobić.

Był pan Rzecznikiem Praw Obywatelskich, który broni obywatela przed państwem. Teraz sytuacja się odwróciła, to pan uosabia państwo. To pana pod-

Dla PiS hejt i dezinformacja to narzędzia stosowane do prowadzenia codziennej polityki. Dlatego nie można do tego podchodzić osobiście i przejmować się absurdalnymi oskarżeniami. Jeśli w kampanię nienawiści angażują się związane z PiS media, wysyłam regularnie skargi do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, chociaż ta je ignoruje.

Choć nie ukrywam, że cieszy mnie, jeśli czasami udaje się te wierutne kłamstwa spektakularnie zdementować. Ostatnio ukazał się wywiad z panią Justyną Gdańską, urzędniczką zatrzymaną w związku z aferą w RARS i tymczasowo aresztowaną przez pięć tygodni. Kategorycznie zaprzeczyła słowom Mateusza Morawieckiego, że w areszcie poddawano ją torturom psychicznym. Kłamliwa narracja PiS w tym przypadku została rozbita w pył.

Porozmawiajmy o sądach. Co udało się panu zmienić?
– Niedocenianym sukcesem ministerstwa jest wymiana prezesów sądów, która jest elementem rozliczania poprzedniej władzy, a jednocześnie odejściem od standardów upolitycznienia sądownictwa, z którym przez 8 lat mieliśmy do czynienia. Jeżeli ktoś aktywnie kolaborował, brał udział w tworzeniu niedemokratycznej władzy, nie może dłużej sprawować stanowiska prezesa sądu. Myślę tu nie tylko o panach Piotrze Schabie [w czasach PiS rzecznik dyscyplinarny sędziów], Michale Lasocie, czy Przemysławie Radziku [obaj to zastępcy Schaba]. Do zmiany prezesów doszło w ponad stu sądach w całej Polsce.

eprasa.pl d6338e1d66

Kandydatów na następców wskazali sami sędziowie – co nie było w czasach PiS praktykowane, na obsadzenie tych stanowisk mieli wpływ wyłącznie politycy. Tymczasem po zmianach, jakie wprowadziłem, nie ma protestów, nie dochodzą do nas sygnały, że nowi prezesi sobie nie radzą. Sędziowie wreszcie mają poczucie, że mogą skupić się na pracy, a nie na wewnętrznych problemach, które powodowały złą atmosferę. Niedawno w Senacie przypominałem pewną historię, która dokładnie pokazuje, w jakim punkcie się znaleźliśmy. Mówiłem o trzech sędziach z warszawskiego Sądu Apelacyjnego, paniach Marzenie Piekarskiej-Drążek, Ewie Grygajtys i Ewie Leszczyńskiej-Furtak, które dwa lata temu zostały przeniesione z wydziału karnego do wydziału pracy. Po 30 latach orzekania w sądzie karnym ktoś kazał im nagle zostać sędziami pracy. Dlaczego? Bo prezes sądu Piotr Schab uznał je za niepokorne i postanowił się odegrać.

Odwracanie tego porządku odbywa się nieustannie. Nie ma tygodnia, żebym nie podpisywał decyzji o nowych powołaniach sędziów na stanowiska prezesów, ale to się odbywa na drodze dialogu z sędziami i rozmowy z nimi o tym, jak doprowadzić do zrównoważonej zmiany sądownictwa.

Nie obawia się pan, że czeka nas fala uchylania wyroków, przy których orzekali neo-sędziowie? Mieliśmy już parę bulwersujących przypadków

– Dlatego trwa ta gigantyczna debata dotycząca przyszłości sędziów, którzy mają wadliwą nominację ze strony Krajowej Rady Sądownictwa. Przedstawiłem propozycje, jak do tego podejść. Zebraliśmy uwagi i bardzo intensywnie pracujemy z Komisją Kodyfikacyjną Ustroju Sądownictwa i Prokuratury, by je uwzględnić. Zmiana ma doprowadzić do tego, że każdy sędzia będzie miał niekwestionowany status z punktu widzenia zgodności z Konstytucją. Druga rzecz to określenie ważności wyroków.

Bardzo mi zależy, by jak najszybciej pracować nad ustawami, żeby nowy prezydent mógł je bezzwłocznie zaaprobować i zwiększyć bezpieczeństwo prawne w Polsce.

Nowy prezydent?

– Wiele razy się przekonaliśmy, że z obecnym to niemożliwe. Andrzej Duda uznaje „dorobek" lat 2015-2023 jako niekwestionowany i zgodny ze standardami konstytucyjnymi, choć międzynarodowe trybunały i instytucje UE mają inne zdanie. Podobnie jak opinia publiczna. Nie jesteśmy w stanie tego przezwyciężyć, musimy czekać.

Rozmawiał pan o tym z Andrzejem Dudą?

– Osobiście nie. Między nami kontaktem była pani minister Małgorzata Paprocka, wtedy szefowa działu prawnego, teraz prezydenckiej kancelarii.

Nasze rozmowy toczyły się w okresie pewnego ocieplenia relacji. Prezydent deklarował współpracę z rządem przy wymianie ambasadorów, w polityce europejskiej. Wtedy pojawiła się szansa na porozumienie w sprawie przyszłej Krajowej Radzie Sądownictwa. Niestety z rozmów wynikało, że niezależnie od tego, jakie przyjmiemy rozwiązanie, prezydent nie pozwoli na skrócenie kadencji organu, który uznaje się za KRS. Wielokrotnie pokazywał, że nie zależy mu na przewróceniu standardów w życiu publicznym. Przełomowym momentem było wręczenie nominacji sędziowskiej Mikołajowi Pawlakowi, skompromitowanemu byłemu Rzecznikowi Praw Dziecka.

Skoro Andrzej Duda nie widział problemu, by takiemu człowiekowi, po tym wszystkim, co zrobił, wręczać nominację sędziowską, to o czym z prezydentem rozmawiać?

Może, zamiast próbować dogadać się z Andrzejem Dudą, co nic nie dało, bo ustawę naprawiającą neo-KRS odesłał do Trybunału Julii Przyłębskiej, trzeba było tę instytucję po prostu „zaorać"?

– Ten postulat nieustannie wraca. Wyobraźmy sobie, że ktoś decyduje się na działanie, które siłą rzeczy musi być przemocowe i w które musi zaangażować się instytucje państwa. Wyobraźmy sobie, że ktoś siłą zajmie siedzibę KRS przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie, otoczy ją kordonem i nie będzie nikogo wpuszczać. Wtedy na pewno można spodziewać się aktywnej reakcji prezydenta, który w taki czy inny sposób będzie chciał wspierać neo-KRS, także organizacyjnie, wywoła to kolejny ostry konflikt na szczytach władzy.

Bez jasnej, wyraźnej podstawy ustawowej tego problemu się nie rozwiąże. Co nie znaczy, że nic nie można zrobić. Uważam, że nadszedł czas, by podyskutować o budżecie KRS na przyszły rok, bo nie ukrywajmy, że część osób, które tam zasiadają, znalazła sobie intratne źródło dochodu.

Poza tym jako minister, na podstawie uchwały sejmowej, zdecydowałem, że nie będę ogłaszał konkursów na nowe stanowiska sędziowskie i żadnego nie ogłosiłem. Wszystkie nominacje, których dokonuje obecnie KRS, pochodzą z konkursów ogłoszonych jeszcze zanim zostałem ministrem lub z konkursów ogłaszanych przez pierwszą prezes SN czy przez prezesa Naczelnego Sądu Administracyjnego. Na nich nie mam wpływu.

Czy nie było błędem, że w neo-KRS zasiedli parlamentarzyści demokratycznej koalicji? Czy w ten sposób jej nie legalizują?

– Nie, legalność zasiadania w tym organie posłów i senatorów nie budzi wątpliwości, bo ich status wynika bezpośrednio z Konstytucji. W przeciwieństwie do 15 sędziów powołanych przez parlament, a nie przez samych sędziów. Nikt nie kwestionuje statusu przedstawiciela prezydenta w KRS. Udział parlamentarzystów pozwolił na pokazanie patologicznych mechanizmów funkcjonowania tej instytucji.

Neo-KRS chce uznania, że rząd jest nielegalny, bo jego członkinie składając przysięgę przed prezydentem, użyły feminatywu...

– To zupełne kuriozum. O czym my w ogóle mówimy? Do jakiego etapu debaty publicznej dotarliśmy, że tego typu rzeczami zajmuje się KRS? To są działania, które pokazują rzeczywiste intencje zasiadających tam osób. To swoisty przetrwalnik poprzedniego układu. Musimy być cierpliwi, ale trzeba ograniczać, ile się da negatywne skutki działalności KRS i czekać na przyjęcie nowej ustawy.

Pozwolę sobie puścić wodze wyobraźni. Gdyby prezydent zdecydował się przeprowadzić rzeczywistą zmianę, to mógłby to zrobić już teraz. Wystarczyłoby, żeby wycofał swój wniosek z TK dotyczący ustawy naprawiającej KRS i ją podpisał. Wtedy poszlibyśmy do przodu. To byłby gigantyczny gest ze strony prezydenta wobec opinii publicznej, która domaga się szybkiego przywrócenia praworządności. Andrzej Duda jeszcze zdążyłby podpisać nowe nominacje sędziowskie. Ostatnie miesiące jego kadencji mogłyby przebiegać w zupełnie innej atmosferze, ale obawiam się, że jego zacietrzewione podejście do niektórych kwestii, na taką decyzję nie pozwolą. Ubolewam nad tym.

Nie tylko KRS jest przetrwalnikiem PiS, który do ataków na rząd wykorzystuje Sąd Najwyższy, Trybunał Konstytucyjny...

– A mimo wszystko rząd cały czas rządzi, wykonuje swoje zadania, wprowadza zmiany, tam, gdzie jest to możliwe. Trwają rozliczenia. Jak sobie radzić z takim otoczeniem? Na pewno nie może nam zabraknąć determinacji ani wyobraźni. Trzeba nazywać też rzeczy po imieniu, mówić, na czym polegała ta gigantyczna deformacja państwa w ciągu ośmiu lat.

Osoby, które bronią instytucji zabetonowanich przez PiS jednocześnie bronią swoich indywidualnych wyborów życiowych, podjętych w 2020 r. Bo jeżeli jakiś sędzia, już po uchwale składu trzech izb Sądu Najwyższego [zakwestionowały one legalność wadliwie powołanej KRS] podjął decyzję, że chce w tym systemie uczestniczyć, to zrobił to z pełną świadomością, w co wchodzi. I jeśli wtedy został sędzią SN, rzecznikiem dyscyplinarnym prześladującym innych sędziów, prezesem ważnego sądu, to dziś powinien się obawiać, że za chwilę jego wybór zostanie zweryfikowany, jeśli już to nie miało miejsca. Że będzie w jego sprawie postępowanie dyscyplinarne, a może i karne, jak to się dzieje w przypadku afery hejterskiej. Stąd bierze się taka gwałtowność reakcji na nasze działania i brak przestrzeni do dialogu. Na to nakładają się kwestie finansowe. Neo-sędzia w Sądzie Najwyższym zarabia ok. 30 tys. zł brutto.

Nie zapominajmy, w jakiej Polsce żyliśmy do 15 październiku 2023 r. W Polsce, w której PiS, by przedłużyć swoje rządzenie, wykorzystał wszystkie narzędzia władzy do zastraszania przeciwników: media publiczne, służby specjalne, prokuraturę, a w końcu oszukańczą kampanię wyborczą. Celem była budowa podczas trzeciej kadencji systemu orbanowskiego.

Osoby, które kolaborowały z tą władzą, myślały, że będzie to trwało wiecznie. Że już nie będzie innego KRS, prokuratury i innego parlamentu. Że dalsza rozgrywka będzie się odbywała na zasadzie ścierania się frakcji w łonie Zjednoczonej Prawicy, a walka będzie dotyczyć wyłącznie przywilejów finansowych i innych benefitów.

A tu nagle okazało się, że w sposób demokratyczny można dokonać zmiany władzy. Wyborcy, przy 75-procentowej frekwencji, powiedzieli, że na Polskę wg wizji Zjednoczonej Prawicy nie ma zgody.

Udało się to w ostatniej chwili...

– Potem przez miesiąc PiS do spółki z prezydentem rozpaczliwie próbował opóźnić moment utworzenia rządu przez nową większość parlamentarną. Nie tylko powołano rząd dwutygodniowy. Ostatnio przeglądałem umowy Funduszu Sprawiedliwości i Akademii Wymiaru Sprawiedliwości [uczelnia powołana przez Ziobrę i opanowana przez ludzi Suwerennej Polski]. Już po wyborach podpisano dwie – na13 mln zł każda, na finansowanie różnych projektów. Czyli jeszcze po wyborach próbowali zagwarantować sobie wygodną przyszłość.

Co będzie z tymi umowami?

– Nie wypłaciliśmy ani złotówki. Uznaliśmy, że sam tryb ich podpisania i projekt nie mieszczą się w granicach tego, czym się ta Akademia powinna zajmować.

Przykładów, jak PiS zamierzał zabezpieczyć się na wypadek utraty władzy, jest cała masa. Ustawa kompetencyjna dotycząca UE, która zwiększa kompetencje prezydenta powstała w połowie 2023 r. Wtedy też betonowano prokuraturę i wstawiano do Prokuratury Krajowej na stanowiska zastępców Prokuratora Generalnego osoby lojalne wobec Zbigniewa Ziobry. Nie można zapomnieć o lex-Tusk, czyli niesławnej komisji ds. rosyjskich wpływów, która miała wyeliminować Donalda Tuska z udziału w wyborach.

Rok temu Ziobro z mównicy sejmowej nazwał demokratyczną koalicję fujarami. Pokazujemy, że nie miał racji. Myślę, że kolejne tygodnie przyniosą nowe informacje dotyczące działalności prokuratury za jego rządów i ujawnienia różnych okoliczności życia publicznego. Z inicjatywy premiera Tuska ministrowie spraw wewnętrznych i administracji, finansów oraz sprawiedliwości podpisali umowę o współpracy. To było publiczne przypieczętowanie międzyresortowej współpracy, by pociągać poprzedników do odpowiedzialności finansowej. To będzie przynosić dobre owoce. Strategia „follow the money", śledź pieniądze, pomoże ujawnić wiele ciekawych rzeczy.

Są jakieś konkretne tropy?

– Z Funduszu Sprawiedliwości korzystało wiele podmiotów, nie tylko Fundacja Profeto księdza Olszewskiego. Zasadne jest więc pytanie o to, co się działo z tymi pieniędzmi. Jeżeli mamy te wszystkie Wille Plus, Polską Fundację Narodową, Fundusz Patriotyczny i przeróżne agencje celowe, które realizowały zadania i przekazywały środki podmiotom prywatnym, to trzeba sprawdzić, gdzie te pieniądze później krążyły. I kto z nich naprawdę korzystał.

Politycy Suwerennej Polski, gdy rządzili, mawiali, że więzienie to nie sanatorium. Co się będzie działo z więziennictwem za czasów rządów ministra Adama Bodnara?

– Kara powinna być wykonywana w sposób humanitarny. Krok po kroku poprawiamy w więzieniach standardy, jeśli chodzi o liczbę więźniów w celi. Dzięki naszym działaniom nie ma np. cel, w których jest 18 więźniów. Należy także zadbać o lepsze mechanizmy resocjalizacji. Cieszę się, że więźniowie aktywnie uczestniczyli w akcji pomocy podczas powodzi. Chciałbym podziękować b. wiceministrowi sprawiedliwości Michałowi Wosiowi z Suwerennej Polski, bo to on doprowadził do zmiany kodeksu karnego wykonawczego, która dopuszcza pomoc skazanych podczas klęsk żywiołowych. W akcję zaangażowano ponad 250 osadzonych, cały czas pomagają w usuwaniu skutków kataklizmu. Bardzo zależy mi też na poszerzeniu dostępu do dozoru elektronicznego, zwłaszcza na etapie postępowania przygotowawczego. Teraz nie ma alternatywy dla aresztowania lub poręczenia. Chcę wzmocnić Służbę Więzienną i nieustannie podkreślać, że jej funkcjonariusze wykonują poważną służbę na rzecz społeczeństwa, za co powinni być doceniani i powinni czuć się bezpieczni. ●

Celem PiS była budowa podczas trzeciej kadencji systemu orbanowskiego. Osoby, które kolaborowały z tą władzą, myślały, że będzie to trwało wiecznie

eprasa.pl d6338e1d66

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Rok po wyborach 15 października

Koalicja się trzyma

Niezależnie od tego, czy ktoś w koalicji Tuska lubi, czy nie, to on jest jej niekwestionowanym liderem.

Dominika Wielowieyska

Rząd Koalicji 15 Października rozpoczął pracę dopiero w grudniu, ponieważ PiS przeciągał moment przekazania władzy. Na plus ekipie Donalda Tuska należy zapisać szybkie odblokowanie Krajowego Planu Odbudowy, bo nie można zapominać, że dotacje z tego programu były przez ponad rok wstrzymane. Mogłyby od dawna pracować na rzecz gospodarki, gdyby PiS nie łamał zasad praworządności.

Straciliśmy też kilka miliardów złotych z tytułu niezrealizowanych wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. I tracimy nadal, bo TSUE wytyka nam opóźnienia we wprowadzeniu w życie unijnych dyrektyw.

Na szczęście w kwietniu wpłynęło 27 mld zł z pierwszego wniosku w ramach KPO i zostały złożone kolejne – opiewające na 40 mld zł. A pod koniec roku Polska wyśle następne dwa.

Gdy więc Jarosław Kaczyński mówi w tygodniku „Sieci", że PiS zostawił następcom kraj z rozpędzonymi inwestycjami, to ręce nie mają już gdzie opaść. Podobnie gdy słyszy się spin PiS-u, że nowa ekipa hamuje rozwój polskiej nauki.

W czasach rządów PiS skala złodziejstwa w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju (NCBiR) i innych instytucjach przekraczała wszelką miarę. I właśnie w sprawie ich rozliczeń pojawia się problem.

Rozliczenia jak po grudzie

W sieci popularna jest fraza: „Kto siedzi w areszcie za malwersacje? Tylko... Janusz Palikot". To niesprawiedliwe uproszczenie, ale takie są odczucia społeczne w twardym, antypisowskim elektoracie. I Koalicja 15 Października nie może tego lekceważyć, jeśli chce utrzymać poparcie.

Przytoczone uproszczenie jest niesprawiedliwe, bo przecież współpracownik Mateusza Morawieckiego Michał Kuczmierowski, b. szef Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych (RARS), siedzi w areszcie w Wielkiej Brytanii i jest to efekt starań polskiej prokuratury.

Wpadkę zaliczyła ona natomiast w przypadku wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego, któremu ostatecznie jednak w wyniku jej działań Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy uchyliło immunitet. Ma to też znaczenie symboliczne, bo oznacza powrót zaufania instytucji międzynarodowych do polskiego wymiaru sprawiedliwości. Romanowski jednak, zamiast stawić się na przesłuchanie, uciekł na Węgry. Pytanie: jak długo prokuratura da mu się wodzić za nos?

W areszcie siedzi natomiast ksiądz Michał O., centralna postać afery Funduszu Sprawiedliwości, oraz dwie urzędniczki resortu sprawiedliwości.

Również w aferze NCBiR zatrzymano kolejnych nominatów PiS podejrzanych o kradzież i korupcję, ale ich nazwiska raczej nie poruszą masowej wyobraźni, może z wyjątkiem jednego byłego polityka PiS. W tej sprawie odpowiedzialność ekipy Kaczyńskiego sprowadza się do tego, że pod nosem szefów służb, Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, szajka złodziei kradła przez długi czas przez nikogo nieniepokojona.

W sprawie afery wizowej zarzuty postawiono b. wiceministrowi spraw zagranicznych Piotrowi Wawrzykowi z PiS. Usłyszał je także b. europoseł Ryszard Czarnecki podejrzany o korupcję w aferze Collegium Humanum. Nie zabrano mu jednak paszportu, co dziwi, bo przecież podejrzani ze środowiska PiS chętnie uciekają zagranicę. Zrobili to już nie tylko Kuczmierowski i Romanowski, ale także twórca marki Red is Bad Paweł Szopa, główny beneficjent zamówień z RARS. Szopa, który uciekł do Ameryki Południowej, jest poszukiwany listem gończym.

Dlaczego prokuratura nie postawiła jeszcze zarzutów Zbigniewowi Ziobrze? „Rzeczpospolita" już kilka miesięcy temu opublikowała analizę prawną, z której wynika, że nadużył władzy i złamał ustawę, rozdając uznaniowo pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości. Zapewne areszt nie wchodził w grę ze względu na stan zdrowia, ale próba postawienia zarzutów miałaby znaczenie.

Raczej nie zadowolą twardego elektoratu Platformy przesłuchania Ziobry w komisjach śledczych, bo ich członkowie z koalicji rządzącej radzą sobie średnio lub źle. Więcej podczas obrad jest awan-

eprasa.pl d6338e1d66

tur i niemocy niż błyskotliwych, merytorycznych występów.

Naprawiać, a nie obiecywać

Koalicja 15 Października popełnia błąd, nieustannie „pompując" oczekiwania. Robiła to w kampanii, robi i teraz. Wciąż słyszymy o rozliczeniu Antoniego Macierewicza, tymczasem zarzuty wobec niego nie wyglądają obiecująco. W grę wchodzi niszczenie dowodów w śledztwie smoleńskim, utrudnianie śledztwa, być może jeszcze marnowanie pieniędzy publicznych. Ale trudno dziś przesądzić, czy główny ideolog kłamstwa smoleńskiego poniesie karę. A jeśli nawet, to minie sporo czasu, zanim to się stanie.

Wyborcy oczekiwali spektakularnych rozliczeń, bo im je obiecano. Tymczasem każda sprawa wymaga ogromnego nakładu pracy policji, służb i prokuratury, a prawdziwym testem nie jest wniosek o areszt, tylko akt oskarżenia, który obroni się w sądzie. Tego politycy wyborcom nie tłumaczyli.

Lista zrealizowanych obietnic nie jest długa. Oprócz odblokowania KPO uchwalono ustawę o in vitro, podwyżki dla budżetówki, „babciowe" i program „aktywny rodzic". Zlikwidowano też szczujnię w mediach publicznych.

Ustały prześladowania sędziów, ale zmiany w wymiarze sprawiedliwości będą możliwe dopiero po zmianie prezydenta. Wiemy już jednak, jak będą wyglądały.

Ustawy o Trybunale Konstytucyjnym na razie nie będzie, bo Andrzej Duda wysłał ją do... Trybunału Julii Przyłębskiej. Znamy plan Koalicji 15 Października, jak przywrócić tę instytucje obywatelom. Znany jest też pomysł na uregulowanie statusu neosędziów i powołanie nowej Krajowej Rady Sądownictwa. To ważne, bo częściowo stabilizuje sytuację: sędziowie wiedzą, czego mogą się spodziewać w dłuższej perspektywie.

Jednak gdy patrzymy na „100 konkretów na 100 dni", które ogłosiła w kampanii Koalicja Obywatelska, to przygniatająca większość spraw leży odłogiem. Czy jest sens tak wiele obiecywać, skoro od początku wiadomo, że w tak krótkim czasie nie da się tego zrealizować?

Ekipa Tuska może się tłumaczyć, że ma wetującego prezydenta, że była powódź, że musi brać pod uwagę interesy koalicjantów i że stan finansów publicznych jest zły po rządach PiS. Ale wyborcy powiedzą: „To wymówki, konkretów nie dowieźliście i prawdopodobne nie dowieziecie, nawet jak będzie już prezydent współpracujący z rządem".

Spornych kwestii nie brakuje.

Nie ma porozumienia w koalicji w sprawie składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. Wprawdzie padały sugestie, że zmiany będą kosmetyczne, bo trzeba wydać masę pieniędzy na odbudowę po powodzi. Ale Polska 2050 stawia sprawę na ostrzu noża. Nie ma szans na powrót do tak korzystnych reguł, jak te sprzed Polskiego Ładu Mateusza Morawieckiego. Dziura w budżecie Narodowego Funduszu Zdrowia jest gigantyczna. Jednak dla Polski 2050 obecna propozycja, by nie płacić składki od sprzedaży środków trwałych, to za mało.

Problemem jest kredyt „Dobry start", bo Lewica i Polska 2050 się na niego nie godzą. Niewykluczone, że sprawa będzie odłożona z powodu wydatków na odbudowę po powodzi.

Nie ma zmian w ustawie antyaborcyjnej ani związków partnerskich. Nie ma też zmian w finansowaniu kościołów, nie zlikwidowano Funduszu Kościelnego.

Zagrożeniem dla istnienia koalicji jest też spór światopoglądowy, który toczy się głównie między PSL a Lewicą.

Siewcy chaosu

Koalicja 15 Października ma szansę wygrać wybory prezydenckie i następne parlamentarne, ale pod pewnymi warunkami. Jednym z kluczowych jest przekonanie wyborców, że większość sejmowa potrafi sprawnie zarządzać państwem i wypracować wspólny program działania. Wyborcy boją się kłótni w koalicji i bałaganu.

Dlatego PiS nieustannie będzie tworzył atmosferę chaosu i przekonywał Polaków, że istnieją dwa systemy prawne. Wprawdzie kwestie praworządności nie rozpalają nadmiernie emocji Polaków, ale wywołanie wrażenia, że rząd się miota, okazuje słabość i ma problem z różnymi interpretacjami prawnymi, dla każdej ekipy może być katastrofalne. I to zmierza robić cała PiS-owska orkiestra w składzie: prezydent Duda, Trybunał Przyłębskiej, neosędziowie w SN, politycy PiS, a na w końcu posłowie prawicy, których działalność bada prokuratura.

Przygotujmy się na więcej teatralnych zachowań przyciągających uwagę mediów, jak byłego prokuratora krajowego Dariusza Barskiego, który pod siedzibę prokuratury podjechał wypasionym motocyklem, twierdząc, że nadal pełni swoją funkcję. Barski wiedział, że nie zostanie wpuszczony, ale chodziło właśnie o wywołanie chaosu, wysłanie sygnału, że nie wiadomo, kto rządzi prokuraturą. Temu samemu służyła jego wizyta w Pałacu Prezydenckim.

O chaos chodziło też posłom PiS, którzy twierdzili, że Sejm nie uchylił im immunitetów, ponieważ Dariusz Korneluk, obecny prokurator krajowy, nie ma prawa wysyłać do parlamentu wniosków w takich sprawach. To pokłosie „uchwały" trzech neosędziów Sądu Najwyższego, która nie ma jednak mocy prawnej, bo była jedynie odpowiedzą na zapytanie sądu niższej instancji, a w dodatku wydali ją sędziowie wadliwie powołani.

Niezwykle ważna jest zmiana w Pałacu Prezydenckim i jak najszybsze uporządkowanie spraw w wymiarze sprawiedliwości. Prezydent Duda żarliwie wspiera PiS, by wrażenie chaosu było coraz większe. Koalicji 15 Października udało się uniknąć zastawionej przez niego pułapki, gdy Maciej Wąsik i Mariusz Kamiński schronili się w Pałacu Prezydenckim. Służby stanęły wtedy na wysokości zadania i zatrzymały obu polityków, a prezydent musiał ich ułaskawić, choć uparcie twierdził, że już raz to zrobił, co nie było prawdą.

Ważnym narzędziem PiS w pogłębianiu wrażenia chaosu stał się Trybunał Julii Przyłębskiej, który taśmowo wyrzuca z siebie decyzje mające chronić polityków tej partii przed odpowiedzialnością. Stał się on atrapą organu konstytucyjnego, gdyż zasiadają w nim dublerzy, niemała grupa sędziów kwestionuje to, czy Przyłębska jest prezesem, a na dodatek Trybunał uzurpuje sobie prawo orzekania w sprawach, w których nie ma kompetencji. W minionym tygodniu były szef CBA Ernest Bejda nie stawił się przed komisją śledczą ds. Pegasusa, powołując się właśnie na „orzeczenie" kolegów Przyłębskiej.

W takich sytuacjach państwo musi pokazać sprawczość i determinację, tak jak w przypadku Kamińskiego i Wąsika. Wymierzać kary porządkowe, a gdy to konieczne, doprowadzić przed komisję siłą. Trzeba jednak przy tym przestrzegać obowiązujących przepisów, respektując prawa oskarżonych i podejrzanych. W starciu z patologiami stworzonymi w wymiarze sprawiedliwości przez PiS przypomina to chodzenie po linie, a złapanie równowagi jest nie byle jakim wyczynem.

Tusk i jego skrzydła

Wyborcy oczekują też od koalicji sprawczości i spójności. Po kilku wstrząsach ostatnio zapanował w niej względny spokój: partie współpracują mimo różnic. Niezależnie od tego, czy ktoś Tuska lubi, czy nie, jedno wydaje się pewne: jest liderem koalicji i rządu, skutecznie wykreował wizerunek premiera, który egzekwuje od ministrów wykonywanie zadań. I polityka, który, mimo tak złożonej koalicji, panuje nad całością. Ten wizerunek utrwaliły transmisje sztabu kryzysowego podczas powodzi.

Kluczowym testem dla koalicji będzie głosowanie nad ustawą budżetową, sztandarowym dokumentem każdej większości sejmowej. Nie wiadomo, jak zagłosuje partia Razem, której budżet się nie podoba. Tymczasem szefowa klubu lewicy Anna Maria Żukowska zapowiedziała, że każdy, kto zagłosuje przeciw, będzie musiał opuścić klub.

Wiadomo, że Razem – wbrew nazwie – jest podzielone. Od koalicji rządowej coraz bardziej oddalają się Adrian Zandberg, Maciej Konieczny i Marcelina Zawisza. Ale zapewne nie po drodze im z inną posłanką tej partii, Pauliną Matysiak, która zbliża się do PiS. Raczej postrzegają ją jako konkurencję, a wszystkich ich łączy silna niechęć do Tuska.

Za pozostaniem w koalicji są: Magdalena Biejat, Daria Gosek-Popiołek i Dorota Olko. Niektóre z posłanek rwą się do pracy w administracji, bo uważają, że mogłyby zrobić wiele pożytecznych rzeczy. Powstrzymuje je lojalność wobec własnego środowiska, które zdecydowało, że Razem do rządu nie wchodzi.

Odejście tej partii lub jej części z koalicji nie zachwiałoby większością, jednak osłabiłoby całą Lewicę. Jeżeli Zandbergowi udałoby się wykreować partię opozycyjną wobec Koalicji 15 Października, los Lewicy byłby niepewny. Być może nawet z czasem Koalicja Obywatelska wzbogaciłaby się – obok Inicjatywy Barbary Nowackiej, Zielonych i Nowoczesnej – o nowy segment, właśnie Lewicę.

Czy Koalicja 15 Października jest w stanie ustrzec się afer – patologii podobnych do tych z czasów rządów PiS. To, czy Tusk zdoła utrzymać kontrolę nad ekipą złożoną z kilku członów, ma kluczowe znaczenie

Doszłoby do odtworzenia układu zbliżonego do tego sprzed 2015 roku, czyli koalicji PO-PSL. Paradoksalnie więc w dłuższej perspektywie odejście Zandberga i jego ludzi mogłoby Tuska wzmocnić.

Wiele zależy od wyniku wyborów prezydenckich, w tym od rezultatu uzyskanego przez kandydata lub kandydatki lewicy.

Nasz prezydent, nasz premier?

Ale w sprawie wyborów prezydenckich są też inne znaki zapytania. Jeżeli w pierwszej połowie 2025 roku wydarzenia za wschodnią granicą przybiorą obrót niekorzystny dla Polski, nie można wykluczyć, że Tusk sam będzie chciał w nich wystartować. Wśród wyborców Koalicji 15 Października ma wizerunek lidera, który potrafi zarządzać sytuacją kryzysową. Jeżeli jednak otoczenie geopolityczne pozostanie bez zmian, kandydatem będzie nadal Rafał Trzaskowski. Prezydent Warszawy chyba zdaje sobie sprawę z tej alternatywy i dlatego ostatnio częściej używa słowa „bezpieczeństwo", co widać m.in. na jego profilu na platformie X. Jakby chciał zneutralizować plany tych polityków KO, którzy uważają, że to premier powinien zostać kandydatem.

Jeżeli Tusk wygrałby przyszłoroczne wybory, mielibyśmy system quasi-prezydencki, bo wskazałby premiera, kontrolował pracę Koalicji 15 Października i jeszcze decydował o tym, którą ustawę podpisać. W przypadku zwycięstwa Trzaskowskiego Tusk musiałby się podzielić władzą.

O prezydenturę może powalczyć też Szymon Hołownia, który stoi jednak przed trudnym wyborem. Mógłby postawić na kurs konserwatywny, jak zrobił ostatnio PSL, ale grozi to utratą wyborców centrowych. A także buntem części działaczy, którzy konserwatywni nie są. Z drugiej strony dobrze odróżniać się od Koalicji Obywatelskiej. Gdy rządzili nią Borys Budka i Marcin Kierwiński, bycie „lepszym wcieleniem PO" może miało sens. Ale kiedy rządzi nią Tusk, sensu to nie ma. Premier jest personifikacją Platformy, więc Hołownia „lepszym Tuskiem" nie ma szans zostać. Będzie więc musiał w większym stopniu postawić na elektorat centroprawicowy, także wyborców PiS rozczarowanych tą partią. Takich, którzy obawiają się liberalnego Trzaskowskiego.

Na razie Hołownia na taki zwrot się nie zdecydował. Podczas Kongresu Polski 2050 stronił od wątków konserwatywnych. Ale jeśli się zdecyduje, Trzecia Droga ostatecznie usytuuje się na prawo od centrum.

Sprawa kluczowa: jakość rządzenia

Warunkiem niezbędnym do utrzymania władzy jest też jakość rządzenia. Kaczyński kompletnie nie panował nad pazernością i złodziejstwem w swoim obozie. Jeżeli dziś lamentuje, że łamana jest praworządność, to nie dlatego, iż sądzi, że to zainteresuje kogoś poza twardym elektoratem PiS. Musi to robić, aby neutralizować obraz, w którym w jego partii złodziej siedzi na złodzieju. Głosi więc, że reżim Tuska ściga niewinnych ludzi za pomocą przejętego wymiaru sprawiedliwości.

Pytanie, czy koalicja jest w stanie ustrzec się afer – patologii podobnych do tych z czasów rządów PiS. Czy Tusk zdoła utrzymać kontrolę nad ekipą złożoną z kilku członów, ma kluczowe znaczenie. Z pojedynczymi przypadkami liderzy partii sobie poradzą, ale z zalewem afer już nie. W przyszłości Tusk błyskawicznie reagował na patologie we własnym obozie. A i niedawno pokazał, że nie będzie ich tolerował. Kiedy okazało się, że wiceminister sprawiedliwości z Lewicy Bartłomiej Ciążyński pojechał na wakacje służbowym samochodem i tankował go, płacąc służbową kartą, stracił stanowisko.

Ostatnio pojawiły się kolejne czerwone światełka. Prokuratura sprawdza, czy wiceminister spraw zagranicznych Władysław Teofil Bartoszewski z PSL nie pozbył się majątku, by uniknąć zwrotu pieniędzy wierzycielom. Według Onetu zawiadomienie do prokuratury złożyła Fundacja Zbiorów im. Ciechanowieckich. Reakcji premiera na razie brak, bo Bartoszewski nie ma postawionych żadnych zarzutów i brak sądowego rozstrzygnięcia tego sporu.

Z kolei Wirtualna Polska opisała spotkanie wicepremiera i lidera PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza z prezesem koncernu tytoniowego Philip Morris International. A akurat trwają prace nad ustawą, która ma wprowadzić w życie antytytoniową unijną dyrektywę. Projekt Ministerstwa Zdrowia zakazuje sprzedaży tzw. nowatorskich wyrobów tytoniowych z charakterystycznym aromatem. Ludowcy starają się odwlec wejście w życie tych przepisów. Tłumaczą, że spotkania z biznesem to rzecz normalna, i że nikt niczego nie ukrywał. Poza tym zawsze dbali o plantatorów tytoniu, a ta branża przynosi budżetowi spore zyski. Tyle że na szali jest zdrowie ludzi, które Unia Europejska chce chronić.

Lobbing jest rzeczą naturalną w demokracji, musi być jednak przejrzysty, a gdyby nie media, to zapewne o tym spotkaniu byśmy się nie dowiedzieli. I trzeba będzie się pilnie przyglądać, w jaki sposób dyrektywa będzie u nas wprowadzana w życie.

Kaczyński miał na tyle dużą władzę w swoim obozie, że mógł takim wątpliwym sytuacjom zapobiegać. Ale często tego nie robił. Tusk ma więcej partnerów, którzy stawiają mu warunki. Czy w razie jakichkolwiek wątpliwości zdoła zapanować nad lobbingiem, który szuka dojść do rządu poprzez koalicjantów? Czy wymusi dymisje ministrów i zdyscyplinuje sojuszników?

Jeśli opinia publiczna dojdzie do wniosku, że nie jest w stanie egzekwować najwyższych standardów, Koalicja 15 Października może ponieść surowe konsekwencje. ●

eprasa.pl d6338e1d66

Maszyna do poniżania

Czy media społecznościowe przygotują drogę dla nowego Hitlera.

Marcin Matczak

Czasami słyszę, że jako prawnik powinienem pisać tylko o prawie i praworządności. Nie o religii, nie o walce dwóch polskich plemion, potrzebie szacunku dla konserwatywnego elektoratu, nie o nowych technologiach, TikToku i Instagramie. Kiedy jednak piszę o tych innych rzeczach, tak naprawdę piszę o prawie i praworządności – tylko o ich głębszych pokładach. Bo atak na praworządność i demokrację nie zaczyna się w Dzienniku Ustaw. On zawsze zaczyna się w ludzkich głowach i sercach, kiedy sprzyjają temu okoliczności.

Pisali o tym Hannah Arendt i Erich Fromm, którzy badali korzenie totalitaryzmu. U obojga to zagrożenie pojawia się, gdy ludzie nie radzą sobie ze zbyt trudną rzeczywistością, gdy boją się o przyszłość, gdy nie wiedzą, jakich dokonywać wyborów w zbyt skomplikowanym świecie. Wtedy stają się podatni na propagandę kogoś, kto obiecuje, że ten świat uprości, nada strukturę chaosowi, ochroni przed zagrożeniem. Polityk autorytarny obiecuje bezpieczeństwo w zamian za wolność – tę, która stała się dla wielu przekleństwem, bo nie wiedzą, co z nią zrobić. Dlatego – jak pisał Fromm – uciekają od niej w ramiona kogoś, kto wydaje się dynamiczny, silny i wielki. A na takiego pozuje każdy autorytarny przywódca.

Także pisarze pokazywali, jak z chaosu rodzi się autorytaryzm. Sławomir Mrożek pokazuje anatomię tego procesu w „Tangu". Artur to młody człowiek, który żyje w świecie bez zasad i struktury, otoczony wielką przestrzenią wolności, w której może robić, co chce. Problem w tym, że nie wie, czego chce. Gdy szuka kierunkowskazów w tradycji, kulturze czy filozofii, wszyscy odprawiają go z kwitkiem. I nagle się okazuje, że jedyną osobą, która jest w stanie uporządkować świat, jest Edek. Prostak, cham, postfaszysta, który pojawia się zawsze, gdy ludziom brakuje porządku i ten porządek brutalnie zaprowadza. Nie filozofią, kulturą czy sztuką, ale przemocą.

•

Chaos, na którym rośnie autorytaryzm, bierze się z nagłej zmiany. Jednym z jej wymiarów jest rewolucja technologiczna. Pojawia się nowa technologia i zmienia się to, jak myślimy i żyjemy. Tak było z drukiem, wynalazkiem Gutenberga, który ułatwił obalenie autorytetu Kościoła katolickiego i zmienił na zawsze Europę. Tak było, gdy wynaleziono radio i kino, które niemiecki totalitaryzm skutecznie wykorzystał do szerzenia swojej propagandy.

My także przeżywamy taką kluczową zmianę. Jej symbolem jest smartfon – to on włącza nas w świat internetowej sieci i mediów społecznościowych, które pokazują nam rzeczywistość w sposób dotąd niespotykany. Smartfon powoduje, że więcej oglądamy, niż czytamy, że bardziej przeżywamy człowieka, nie słowo. Zmienia się to, jak myślimy i postrzegamy świat.

Chcę postawić prowokacyjne pytanie: czy smartfony i media społecznościowe przygotują drogę dla nowego Hitlera? Miejmy nadzieję, że nie. Na pewno jednak pomogą nowemu Edkowi z Mrożkowego „Tanga" wziąć za twarz nasze społeczeństwo. Oto kilka trendów powodowanych przez współczesną technologię, które sprzyjają autorytaryzmowi, bo kreują okoliczności podobne do tych, które identyfikowali badacze w społeczeństwach przedfaszystowskich – chaos, zagubienie, potrzebę uproszczenia świata.

Smartfon poniża

1 Fromm pisze, że Niemcy czuli się poniżeni po przegranej I wojnie i głosowali na autorytarną władzę, bo ta obiecywała, że przywróci im godność. Także obywatele naszej III RP czuli się poniżeni i lekceważeni przez galopującą transformację i to był jeden z powodów, dla których głosowali na PiS. Stąd „wstawanie z kolan" i wielkie, narodowe, godnościowe projekty, jak CPK.

Smartfony poniżają całe pokolenie, bo konfrontują je z fałszywym ideałem. Ideałem piękna (choć to często Photoshop) czy umiejętności (gdzieś tam zawsze jest czteroletnie chińskie dziecko, które robi to samo co ty, tylko 17 razy lepiej). Dodatkowo media społecznościowe rozdmuchują każdą realną i wydumaną krzywdę – ktoś obraził Polaków, katolików, społeczność LGBT. Niemcy nami pogardzają, Francuzi – szkoda gadać. Smartfon jest szkłem powiększającym każdą krzywdę.

Smartfony to maszyny do poniżania. A poniżone społeczeństwo chce kogoś, kto przywróci mu poczucie godności. Pierwszym krokiem może być na przykład ograniczenie wolności słowa, żeby zatrzymać wszędobylski w internecie hejt. Młode pokolenie nie uważa już wolności słowa za wartość kluczową dla demokracji. Może dlatego, że słowo w smartfonie głównie poniża?

Smartfon czyni samotnym

2 Według Arendt człowiek samotny i wyizolowany ze społeczeństwa łatwo pada łupem autorytarnego populisty, bo ten obiecuje wspólnotę – spotkania, wiece, marsze, śpiewanie pieśni. I wspólne wartości. Daje poczucie przynależności, a więc lekarstwo na samotność. Nowa technologia, choć łączy wszystkich w jedną globalną wioskę, paradoksalnie czyni ludzi samotnymi. Filozof Byung-Chul Han pisze, że wpatrzeni w ekran smartfona nie widzą innych, nie kontaktują się twarzą w twarz z nikim, bo ci siedzący naprzeciwko widzą tylko czubek ich pochylonej głowy.

Ludzie siedzą w smartfonie jak w studni, w której odbija się ich własny głos i buzują odpowiednio podsycane ich własne emocje. Tę samotność szczególnie odczuwa pokolenie młode, co pokazuje wiele badań. I tę samotność chętnie zagospodaruje ktoś, kto zbierze ich w grupę i ze słabych „ja" uczyni silne „my".

Smartfon zabiera poczucie sprawczości

3 Samotność może powodować głębokie poczucie, że nie ma się na nic wpływu. Carl Jung pisał: „Gdy jesteś sam, jesteś bardziej świadomy swoich niedociągnięć. Widzisz, jak niewiele możesz zrobić, aby naśladować bohaterów lub sam zostać bohaterem. Rezygnujesz także ze zmuszania innych do bycia bohaterami".

Bohater to ktoś, kto chce zająć się światem, troszczyć się o niego i o ludzi, chce się mierzyć z rzeczywistością. Człowiek, który czuje się samotny, a jest otoczony chaosem wiadomości, wyzwań, idei i poszatkowanych na miazgę pomysłów na życie, nie jest w stanie troszczyć się o świat i innych, nie jest w stanie zmieniać rzeczywistości. A więc czuje się wobec niej bezradny. Dlaczego wśród młodzieży tak popularne są walki w klatce: Fame MMA, freakfighterzy? Bo nie ma nic bardziej spektakularnie sprawczego jak danie komuś w pysk. Czyjaś wygrana w klatce daje zastępcze poczucie sukcesu osiągniętego przemocą.

Nie rozmawiamy, ale walczymy ze sobą. Nie ma już debat, jest masakrowanie słowem. Szerzy się militaryzacja relacji społecznych. A każdy autorytaryzm buduje się na kulcie siły, który wydaje się ludziom antidotum na bezradność.

Smartfon powoduje, że myślimy konkretem i kierujemy się emocją

4 W smartfonie króluje obraz – zdjęcia na Instagramie, krótkie filmy na TikToku. Antropolodzy piszą, że gdy ciągle kontaktujemy się z obrazem zamiast ze słowem, stajemy się bardziej emocjonalni i zaczynamy myśleć bardziej konkretnie – mniej abstrakcyjnie i systemowo, bardziej tu i teraz. To dlatego, że obraz bezpośrednio domaga się reakcji – gdy widzimy kogoś, kto cierpi, chcemy pomóc, gdy widzimy zło, chcemy je powstrzymać.

Ze słowem jest inaczej – musimy najpierw uruchomić w naszej głowie racjonalny, analityczny mechanizm, który opis przełoży na obraz w głowie. To powoduje, że ludzie czytający są bardziej skłonni myśleć abstrakcyjnie, ludzie oglądający bardziej konkretnie.

W jaki niby sposób ma to zwiększać ryzyko autorytaryzmu? Człowiek emocjonalny łatwiej pada łupem populisty, bo ten odwołuje się do emocji: do nacjonalistycznego patriotyzmu, który łączy w sobie ślepą miłość do tego, co swoje, i nienawiść do tego, co obce. Człowieka emocjonalnego łatwiej przekonać do rozmontowania ważnych, systemowych mechanizmów w państwie. Na przykład praworządności, bo konkretny sędzia kradnący kiełbasę staje się ważniejszy od systemowej, abstrakcyjnej niezależności sądownictwa. Albo system szczepień – bo rodzic, który boi się powikłań u swojego konkretnego dziecka, ma w nosie systemowe znaczenie szczepień dla zdrowia publicznego i abstrakcyjną „wyszczepialność".

„Ogniem i mieczem" ma początek, środek i koniec, jest serią uporządkowanych zdarzeń – jak nasze działania i życie. Rolka na Instagramie jest nielinearna, podsuwa nam naraz puchatego kotka, dziecko wygrywające talent show i rosyjskiego żołnierza, którego zabija ukraiński dron

Smartfon, ciągle pobudzając emocje, prowadzi także do przebodźcowania. A ono prowadzi do nudy – poczucia, że cokolwiek się zrobi, to i tak nie będzie miało większego sensu. I tu ponownie przypomina się Arendt i jej teza, że znudzone masy są bardziej podatne na populistyczne wezwanie do podpalenia świata, bo chętnie zaśpiewają, jak strażacy u Kaliny Jędrusik: „Pożar, pożar, coś nareszcie pali się!".

Gdy człowiek przestaje myśleć systemowo i poddaje się emocjom propagandy, łatwiej rozmontować państwo, które samo jest systemem, i wykreować kult silnego, budzącego emocje przywódcy.

Smartfon powoduje, że nie myślimy narracyjnie

5 Ludzie wychowani na czytaniu powieści mogą nie rozumieć, czym jest sygnalizowany przez filozofów kryzys narracji, bo naturalnie myślą narracyjnie. Tak jak „Ogniem i mieczem", które kiedyś czytali, jest serią uporządkowanych zdarzeń, ma początek, środek i koniec, tak nasze działania i życie widzimy przez perspektywę narracji. Zaczynamy coś robić, aby osiągnąć jakiś cel, dobieramy odpowiednie narzędzia. Gdy cel osiągamy, daje nam to satysfakcję, gdy nie osiągniemy – frustrację, która zmusza nas do zmiany strategii. Myślimy o tym, co robimy i o czym marzymy, linearnie – jak o strzałce biegnącej w przyszłość.

Treści w internecie nie są linearne. To raczej dzika łąka, na której skacze się z kwiatka na kwiatek, klikając w następny link. A na pewno nie jest uporządkowana narracyjnie rolka prezentująca nam serię niepowiązanych ze sobą filmików – puchatego kotka, dziecko wygrywające talent show, rosyjskiego żołnierza, którego zabija ukraiński dron. Pokolenie, które przewija taką rolkę wcześniej, niż nauczy się czytać, może mieć problem z myśleniem narracyjnym. A tym samym z uporządkowaniem świata, z postrzeganiem życia jako zmierzającego do celu. To pogłębia poczucie, że świat jest zbyt skomplikowany, że życia się nie da zaplanować, nie da się konsekwentne dążyć do tego, co się sobie wyznaczyło.

Takie dziecko jako dorosły może żyć w wiecznej teraźniejszości, bo umysł nienarracyjny cierpi na egzystencjalne ADHD. Może to wpływać na poczucie bezcelowości i pragnienie celu, które narzuci silny przywódca.

Co teraz?

6 W książce „Pokolenie lęku" Jonathan Haidt proponuje, aby zakazać używania smartfonu do 16. roku życia – bo jest tak groźny jak papierosy i alkohol. Pisze, że za 100 lat ludzie oglądający zdjęcia naszych dzieci ze smartfonem w ręku będą patrzeć na nie tak, jak my patrzylibyśmy na dzieci palące papierosy lub pijące wódkę.

Zmiana technologiczna to tylko jeden z czynników, który zmieniają myślenie młodego pokolenia i czynią je bardziej podatnym na autorytarną propagandę, ale to czynnik, z którym możemy coś zrobić – wprowadzając ideę internetowego postu, każąc naszym dzieciom oderwać się od ekranu i wrócić do słowa, być razem, nie osobno.

Bo z chorobą autorytaryzmu, który zabija demokrację i praworządność, jest jak z wścieklizną: kiedy widać symptomy, jest już za późno. Trzeba im zapobiegać, a to akurat możemy.

Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?" – pyta nasz felietonista w **„Kraju, w którym umrę"**. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

1 RP

eprasa.pl d6338e1d66

W SUMIE TO NIE MA NA KOGO GŁOSOWAĆ

Młodzi wyborcy:
Wygrali i co? Nawet używają takich samych sformułowań, jak PiS

Iwona Görke

Rodzice namawiali dorosłe dzieci, by poszły zagłosować. Dorosłe dzieci przypominały o wyborach rodzicom i dziadkom. Mnożyły się inicjatywy zachęcające kobiety do głosowania, bo według statystyk robiły to rzadziej niż mężczyźni. No więc kobiety i młodzi zagłosowali. Rok temu, 15 października, 74,38 proc. Polek i Polaków oddało głos w wyborach do Sejmu. Do Senatu niewiele mniej – 74, 31 proc. Wszędzie i wszyscy mówili o rekordowej frekwencji.

Która pewnie prędko się nie powtórzy.

Przed wyborami komentatorzy i eksperci powtarzali, że o obliczu nowego parlamentu zdecydują zwłaszcza młode kobiety. Sondaż exit poll przygotowany przez Ipsos potwierdził te analizy i intuicje: kobiety w wieku 19-29 lat najwięcej głosów oddały na Koalicję Obywatelską – 31,5 proc., drugim najpopularniejszym ugrupowaniem wśród nich była Lewica z 23,6 proc. Mężczyźni najchętniej głosowali na Konfederację – 26,3 proc. – i na KO – 25,8 proc.

Czy grupa, która odsunęła prawicę od władzy, może czuć się usatysfakcjonowana? Ich mobilizacja się opłaciła? Czy młode kobiety dostały to, na co liczyły? A ich męscy rówieśnicy, z czego są zadowoleni, co ich wkurza? Słowem – jak szeroko rozumiane „zetki" oceniają rząd Donalda Tuska?

Drobny spoiler: nam, Polakom, rzadko zdarza się być zadowolonym, kiedy nie ma z czego.

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Julia, lat 23: Coraz mniej z nas ma warunki do założenia i utrzymania rodziny. Oszczędzanie na edukacji czy mieszkalnictwie to nie oszczędność, a koszt dla społeczeństwa

– Koalicja składała bardzo dużo obietnic. Ze „100 konkretów na pierwsze 100 dni" nie zrealizowano nawet dziesięciu – mówi Paulina Wiatr, absolwentka stosunków międzynarodowych na zagranicznej uczelni, Ślązaczka, mieszkająca i pracująca w Warszawie.

Zanim zaczniemy rozmawiać o polityce rządu, opowiada o swoich refleksjach dotyczących Campusu Polska Przyszłości, na którym ją spotykam. Do tegorocznej edycji ma sporo zastrzeżeń. Na dwóch poprzednich, gdy KO, Polska 2050 i PSL były w opozycji, czuła inną energię, miała poczucie, że polityków obchodzi to, co mówią im młodzi. Goście Campusu zapewniali, jak istotne są dla nich sprawy ważne dla 20-, 30-latków i że gdy tylko wygrają, sprawią, że słowa staną się obowiązującym prawem.

– Ale tak się nie stało – Paulina, jako idealistka, jest rozczarowana. – Mało tego, rządzący kontynuują politykę PiS – wzdycha. Przede wszystkim ma na myśli pushbacki na granicy polsko-białoruskiej, strefy buforowe i łamanie praw człowieka.- W ubiegłym roku właśnie tutaj, na Campusie, z Agnieszką Holland rozmawialiśmy o tym, jak bardzo to nieludzkie. Było także spotkanie z osobami z Grupy Granica – wspomina. – Narracja była taka: jeżeli w październiku wygramy, to nie dopuścimy do dalszego łamania praw człowieka, nie dopuścimy do samowolki na granicy. Wygrali i co? Nawet używają takich samych sformułowań jak PiS.

To pierwsze rozczarowanie młodej wyborczyni. Drugie dotyczy niezrealizowanej obietnicy liberalizacji prawa aborcyjnego. – Oni, nie oszukujmy się, w dużej mierze wygrali dzięki młodym osobom, kobietom, a nam zależało na aborcji, na zdrowiu kobiet. A w tych kwestiach nic się nie dzieje albo zmiany następują w ślimaczym tempie. Czuję się, jakby ktoś mnie uderzył obuchem w głowę.

Paulinie trudno jest ocenić kogokolwiek zasiadającego w Senacie czy Sejmie pozytywnie. Teoretycznie mogłaby dać plusa Barbarze Nowackiej, bo pochwala takie posunięcia ministry edukacji, jak rezygnacja z prac domowych czy zmniejszenia godzin religii. No ale jest „ale". – Gdy rząd Netanjahu dokonuje ludobójstwa w Strefie Gazy, Nowacka i jej administracja odbyła spotkanie online z delegacją z Izraela – przypomina dwudziestoparolatka.

– Są w rządzie osoby, których polityki mogłabym wspierać, ale zaliczają tak duże potknięcia, że tracę w nich wiarę. Mówią, że bronią praw człowieka, a jednocześnie wspierają zbrodniarzy wojennych lub przykładają rękę do realizowania polityk powodujących śmierć niewinnych ludzi.

– A co myślisz o Szymonie Hołowni? Pytam o niego, bo wielu komentatorów oceniało, że o ile progresywna ewolucja KO jest wyrozumowana, o tyle on naprawdę jest nową jakością. Paulina wzdycha. – To showman, który dzięki pracy w telewizji wie, jak postępować z publiką.

Przyznaje, że zaczął bardzo dobrze. Wspomina o fenomenie „Sejmflixa", czyli boomie na oglądanie posiedzeń parlamentu, o tym, że dzięki niemu młodzi zaczęli słuchać, jak polityka wygląda. Sama zaangażowała się, śledziła sejmową telenowelę. Lecz marszałek Sejmu w pewnym momencie stracił przychylność widzów. Pauliny również. – Zaczął zaliczać potknięcie za potknięciem, a pierwszym i największym jest zamrażanie ustaw związanych z liberalizacją aborcji.

Błyskotliwe memy i cięte riposty szefa Polski 2050 nie pomogły. Młodzi odebrali mu mandat zaufania. – Szymon stworzył sobie pewną personę. Próbował nam wmówić, że jest cool, że nie jest taki jak reszta polityków, że mu zależy, że jest jak jeden z nas, zwykłym obywatelem, że zmieni sposób prowadzenia debat w parlamencie – uważa Paulina.

Ona przynajmniej czuje się nieco mniej nabrana niż jej znajomi, bo ona nigdy nie pałała do Hołowni i jego formacji szczególną sympatią. Pamięta ubiegłoroczne, przedwyborcze spotkanie z nim i współliderem Trzeciej Drogi, Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, na Campusie Polska Przyszłości. – To było dość memiczne wystąpienie. Nie czułam, by Hołownia traktował nas poważnie – wspomina.

– Hołownia, Kosiniak-Kamysz i wielu innych polityków mówią, że odsuwają w czasie kwestię aborcji, bo to trudna sprawa światopoglądowa.

eprasa.pl d6338e1d66

– Nie zgadzam się. Każda osoba ma prawo decydować o swoim własnym ciele. Nikt, szczególnie osoba nieposiadająca macicy, nie powinna decydować o tym, co ja robię za swoją – odpowiada Paulina. – Światowe organizacje praw człowieka mówią o tym, że dostęp do aborcji jest prawym człowieka – przypomina. Temat jest tak ważny dla młodej wyborczyni, że zaangażowała się nawet w Europejską Inicjatywą Ustawodawczą „Same to ogarniemy". Zbierała podpisy pod postulatem zapewnienia wszystkim w UE bezpiecznej i dostępnej aborcji.

Paulina przypomina, że jeszcze 40-50 lat temu w Polsce aborcja była bezpieczna i legalna, a nie dokonywana pokątnie, w podziemiu. Kobiet, które dokonały terminacji ciąży, nie nazywano morderczyniami. – A teraz, gdy przesunęliśmy się do bardziej nowoczesnego świata, mamy dookoła siebie więcej purytanizmu. Pracują nad tym Kościół i patriarchat, bo kontrola nad ciałem kobiety to kontrolna nad nią samą. Ale nie zapominałabym o kwestiach rasistowsko-ksenofobicznych. Bardzo często dyskusjom o konieczności zwiększania dzietności towarzyszą słowa o wymierającej Europie. Co jest oczywiście nieprawdą, bo ona nie wymiera. Po prostu osoby posługujące się tym argumentem nie chcą w Europie osób niebiałych.

– Ale wróćmy do Polski. Czy według ciebie rząd Tuska zrobił cokolwiek dobrego?

– Mimo całej narracji rządowej o priorytetyzowaniu „rozliczania PiS" trudno zauważyć jakiekolwiek zmiany, które wychodziłyby poza ten powrót do przedpisowego statusu quo. Nie mówię, że wcale ich nie ma, bo na przykład ustawa o finansowaniu in vitro z budżetu państwa, jak i podwyżki dla nauczycieli to kroki w dobrym kierunku – uważa Paulina. Tylko, zaznacza, nie są to tematy kontrowersyjne, takie, które mogłyby poróżnić koalicjantów, łatwiej więc je przepchnąć. Te ustawy, zwraca uwagę, nie przyniosą znaczącej ogólnospołecznej zmiany.

Dziewczyna mówi również o iluzoryczności nowości pomysłów i działań nowej władzy. – Tusk zakończył pisowski program Bezpieczny Kredyt 2 procent, który zamiast zwiększać dostępność mieszkaniową, dawał się bogacić deweloperom, flipperom i bankom. W zamian rząd proponuje kredyt 0 procent, który spowoduje dokładnie taki sam problem. A prawdziwą, znaczącą zmianą mogłoby być zwiększenie budżetu na mieszkalnictwo społeczne. Ale o takich projektach ciężko usłyszeć poza Lewicą i Partią Razem.

Paulina ma świadomość, że nie prezydent nie pod każdą nowelizacją czy ustawą będzie chciał się podpisać. – To prawda, że obecny rząd ma utrudnione zadanie – mówi Paulina.

I koniec końców jest zadowolona z wyników wyborów. – Już tak bardzo nie boję się tego, jak źle może być w kolejnych dniach, nie muszę zastanawiać się, co znowu wymyśli władza. Ale w wielu sprawach po prostu się zatrzymaliśmy.

15 października 2023 roku zagłosowała na kandydatkę Lewicy. Dziś wolałaby zagłosować na osobę reprezentującą Partię Razem.

•

Maciej, lat 22, uważa, że w ubiegłym roku dał się złapać opozycyjnym politykom na populistyczne zapewnienia. Których było całkiem sporo. Przykład? Samo hasło „100 konkretów na pierwsze 100 dni". – To nie był realny plan do zrealizowania, tym bardziej po tym chaosie, jaki zapanował po wyborach. Mimo to dalej wierzyłem w zapewnienia o zmianie.

Dziś już nie wierzy. Ale nie chce potępiać rządu. Bo i tak jest lepiej niż za PiS, partii, która rządziła przez całe jego nastoletnie i dorosłe życie.

Temu rządowi, przyznaje, bardziej ufa. – W przeciwieństwie do poprzedniej władzy, rząd Tuska stara się być bardziej transparentny – uważa Maciej. A że na stołki wygrani powsadzali swoich? Tak jest wszędzie, każda władza tak robi. Że obietnic nie spełnili? Żaden gabinet nie byłby w stanie przeprowadzić tak wielu reform w tak krótkim czasie. PiS, i owszem, był sprawczy, szybko pozmieniał i Krajową Radę Sądownictwa, i Trybunał Konstytucyjny, ale zrobił to w konkretnym celu. – Pod siebie. Złamali konstytucję, prawo i tak naprawdę wszelkie normy moralne, ale ciężko mówić o normach moralnych wśród ludzi, którzy nie mają kręgosłupa moralnego – ocenia student dziennikarstwa.

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Paulina, lat dwadzieścia parę:

Oni, nie oszukujmy się, w dużej mierze wygrali dzięki młodym osobom, kobietom, a nam zależało na aborcji, na zdrowiu kobiet. A w tych kwestiach nic się nie dzieje albo zmiany następują w ślimaczym tempie

Maciej nie wie, czy znowu się nabiera, czy nie, ale wydaje mu się, że widzi wśród rządzących większą otwartość i nowy styl rządzenia – przejrzysty, dbający zdecydowanie bardziej o przestrzeganie prawa i norm moralnych niż poprzedni gabinet.

– A jest jakiś konkretny polityk, który wyróżnia się pozytywnie na tle innych?

– Chyba najbardziej od początku imponował mi marszałek Hołownia. Przygotował się do roli perfekcyjnie i pełni ją w sposób odpowiedzialny. Adekwatny sytuacji.

Ale Maciej nie jest bezkrytycznie zapatrzony w lidera Trzeciej Drogi. – Z drugiej strony, to profesjonalne zachowanie i kompetencje, którymi mnie kupił, powinny być standardem. Nie tyle marszałek Hołownia się wyróżnia, ile marszałek Elżbieta Witek była przeciwieństwem kompetentnej osoby. I niestety z tym kojarzyła mi się ta funkcja. Przyszedł Hołownia, wykonał zwykłe minimum, które powinien wykonywać marszałek Sejmu i zaczęło mi to imponować. To ciekawe, jak PiS obniżył standardy przez ostatnie osiem lat. To, co dziś uznajemy za niezwykłe, powinno być normą.

Maciej głosował na PO, ale nie z przekonania do jej poglądów, raczej z potrzeby jakiejkolwiek zmiany. Dziś nadal nie ma partii, która go w pełni przekonuje i jest godna zaufania.

•

– Obecny rząd zrobił według ciebie cokolwiek, by kobiety mogły poczuć się bezpieczniej?

– Nie, ja się bezpieczniej nie czuję – mówi stanowczo filigranowa Lidia. Odpoczywa w hamaku na polanie nad olsztyńskim Jeziorem Kortowskim. Obok siedzi Basia, jej koleżanka.

– Ostatnie wydarzenia sprawiają wręcz, że jako kobieta czuję się coraz mniej pewnie – zaczyna. Wspomina głośną w mediach sytuację z sierpnia, z warszawskiej ulicy. Wracającą z pracy nad ranem Ninę zaczepiał mężczyzna. – Nie chciała z nim iść, złapał ją i ciągnął przez pasy. Wezwała policję. Funkcjonariusze przyjechali, ale utrzymywali, że nic dalej nie mogą dla niej zrobić. Dopiero gdy sprawa rozlała się w mediach społecznościowych, policjanci zaprosili ją na komisariat. Lidia pamięta też o Lizie, brutalnie zgwałconej na oczach ludzi Białorusince, która umarła nad ranem w centrum Warszawy.

Takie historie utwierdzają Lidię w przekonaniu, że jako kobieta nigdy nie może czuć się bezpiecznie. – Nie mogę sama wyjść wieczorem bez lęku. Zawsze z koleżankami dajemy sobie znać, jak po spotkaniu dotrzemy do domu. Gdy jedziemy Uberem, wysyłamy sobie pinezki z lokalizacją.

– No dobrze, ale co musieliby zrobić politycy, żebyś mogła poczuć się bezpiecznie?

– Na przykład zaostrzyć kary za napaść seksualną. Obecne nie są zbyt rygorystyczne.

– Ale jednak udało się przeforsować zmianę definicji gwałtu. Ofiary przemocy seksualnej nie będą musiały udowadniać, że protestowały, broniły się. Poprzednia, prawicowa władza nie zdobyła się na taki krok.

– Nigdy nie byłam w takiej sytuacji i mam nadzieję, że nigdy nie będę, ale nauka mówi, że napaść seksualna jest tak szokująca i traumatyczna, że ciało buntuje się i krzywdzona osoba nie jest w stanie stawić oporu. Więc tak, to jest dobra zmiana.

Ale na tym dobre zmiany dla kobiet, zdaniem Lidii, się kończą.

Jest rozczarowana zwłaszcza impasem w sprawie aborcji. Uważa, że Kościół czy niechętna liberalizacji część społeczeństwa i polityków nie powinna innym narzucać swojego zdania. – Nikt ich nie namawia do aborcji. To oni zmuszają kobiety do rodzenia bardzo ciężko chorych dzieci, takich, które po narodzinach żyją ledwie chwilę i umierają często w męczarniach. Wyrządzają wielką krzywdę kobiecie i jej rodzinie. Każdy powinien mieć wybór.

Dla Basi rozczarowaniem jest impas w sprawie tabletki „dzień po". Nie można kupić jej w aptece ot tak. Trzeba mieć na nią receptę.

– Jednak tu też coś drgnęło. Nowy rząd zarządził, że może ją wystawić od ręki farmaceuta, już nie trzeba zapisywać się do lekarza, co w zasadzie przekreślało sens takiej antykoncepcji – zauważam.

– No chyba, że nie pozwolą mu na to przekonania, to wtedy może zasłonić się klauzulą sumienia.

Basia chciałaby też, żeby parlament przygotował i przeforsował ustawę o zawodzie psychologa i psychoterapeuty. – Teraz usługi psychoterapeutyczne mogą świad-

eprasa.pl d6338e1d66

czyć osoby, które mają skończone jakieś kursy, nie mają odpowiedniego wykształcenia – tłumaczy.

– Takie osoby niekoniecznie pomagają innym. Mogą im nawet zaszkodzić, bo to jest większa odpowiedzialność, niż może się wydawać – dodaje Lidia.

Temat leży jej na sercu, bo i ona, i Basia studiują psychologię. Więc obie chciałyby też, aby już nie tak nowa ekipa, która idąc po władzę, deklarowała się jako świadoma wagi dla społeczeństwa i państwa nie tylko obronności, praworządności czy gospodarki, ale też tzw. miękkich kwestii, teraz zadbała o to, by dzieci i młodzież miały dostęp do porządnej pomocy psychologicznej w szkole. I by w Polsce kształcono więcej psychiatrów.

●

Może jednak kogoś w obecnym Sejmie czy Senacie młodzi wyborcy dobrze oceniają?

– Monika Rosa – Lidia nawet się nie zastanawia. Dla mniej zorientowanych w sejmowym *who is who* – to 38-letnia politolożka i społeczniczka z liberalno-wolnorynkowej Nowoczesnej, szefowa sejmowej komisji ds. dzieci i młodzieży. – Słucham jej wypowiedzi i nie mam poczucia, że ona się wywyższa czy naskakuje na kogoś w chamski sposób. Raczej próbuje na coś zwrócić uwagę, ale nie traktuje innych jak wrogów. Ja tego w polityce bardzo nie lubię – tłumaczy. Poza tym Lidia jest ze Śląska, a Rosa dba o śląskie sprawy, los Ślązaków. No i o sprawy kobiet. Co dla Lidii ważne, bez efekciarstwa, przesadnej retoryki. – W sposób kulturalny, ze smakiem.

Basia wspomina Paulinę Filipowicz, psycholożkę, obrończynię praw człowieka i aktywistkę współprowadzącą projekty zapobiegania samobójstwom oraz zaburzeniom odżywiania. Zastanawia się tylko, czy gdańszczanka na pewno zasiada w sejmowych ławach. – Nie pamiętam, ale jeśli nie, to powinna. Ze względu na jej aktywność w kwestii zdrowia psychicznego.

●

Kacper cieszy się, że rząd Donalda Tuska „ogarnął" Krajowy Plan Odbudowy, odblokował olbrzymie popandemiczne pieniądze z Unii Europejskiej. – Ale czy są jakieś inne, dostrzegalne w codziennym życiu zmiany? Niestety nie. Liczyliśmy na rewolucję polityczną, a jej nie ma. To jest lekko frustrujące. Wiem, że nie minęło bardzo dużo czasu, ale już trochę jednak ten rząd jest i mógł więcej działać – ocenia przyszłoroczny maturzysta.

Siedzi na ławce razem z kolegą. Olaf właśnie rozpoczął studia medyczne. Wspomina o atmosferze przed wyborami. – Politycy podsycali atmosferę obietnicami, projektami ustaw, które należałoby wprowadzić. To zmotywowało dużą część młodego elektoratu. Tylko że drastycznych zmian nie ma – wtóruje koledze.

No to czego chcieliby? Na czym mają polegać te drastyczne zmiany? – Chociażby związane z aborcją. Wiem, to niewygodne tematy, ale dla wielu osób są ważne. Tak samo, jak energetyka – wylicza Kacper.

PiS, przypomina z kolei Olaf, był krytykowany nie tylko ze względu na politykę społeczną i ideologizację właściwie każdej dziedziny życia, ale też za politykę gospodarczą. – Wprowadzali takie programy, jak 500 +, by zwiększyć poparcie, ale długofalowo to nie wpłynie na poprawę gospodarki – wieszczy.

Tu Kacper też wraca do konieczności „znacznych reform". Nie precyzują, co mają na myśli. Lecz uważają, że do tych reform potrzeba osoby potrafiącej sprzeciwić się politycznemu mainstreamowi. Bo teraz niewiele się zmienia. Nazwy ugrupowań, koalicje i ich kształt, ale nowych postaci, proponujących nową jakość i pomysły nie ma. – A nowym politykom łatwiej byłoby zdobyć zaufanie wyborców – uważają.

Czyli choć niby zmieniło się wiele, po 15 października i po 13 grudnia, gdy ukonstytuował się rząd Tuska, nie zmieniło się nic? – No nie, nie aż tak.

Olaf zauważył, że uspokoiła się atmosfera w polityce. – No i na arenie międzynarodowej Polska zaczęła trochę inaczej funkcjonować, lepiej – zapala się. – Wcześniej Polska była postrzegana niemalże jak państwo autorytarne, nie byliśmy traktowani poważnie. Teraz widać, jak z miesiąca na miesiąc zaczynają do nas inaczej podchodzić, i w Unii, i w poszczególnych krajach. Traktują nas jak państwo demokratyczne i równoprawne, może jeszcze nie w pełni na równi z innymi „starymi" krajami Unii, ale jesteśmy coraz bliżej – uważa Kacper.

Za PiS on i Olaf byli nastolatkami, ale pamiętają, że Polska w UE za wrogów uważała niemal wszystkich. – A przecież to w dużej mierze dzięki niej Polska bardzo się rozwinęła. To widać, gdy porównamy się do innych niedalekich państw, które nie są we wspólnocie europejskiej – mówią.

●

Osiemnastolatkowie nie potrafią wskazać polityka, którego mogliby pochwalić. – W polskiej polityce są osoby, które przez to, co same osiągnęły, mogą nas dobrze reprezentować, ale problem jest taki, że ich partie nie pozwalają na ruchy, które mogłyby faktycznie coś zmienić – mówi Olaf.

– Na przykład?

Ale Olaf nie precyzuje, kogo ma na myśli, by „nie zostać posądzonym o bycie wyborcą takiej czy innej grupy". Lecz zapewnia, że takie osoby są zarówno po prawej, jak i lewej stronie sceny politycznej. To czemu, skoro są i przebijają się do świadomości wyborców, również młodych, nie widać ich w „dużej" polityce? – Chodzi mi o to, że wsiąkają w środowiska, co sprawia, że się zmieniają. Tak jak z Kukizem. Szybko zebrał elektorat, który dla wszystkich był zaskoczeniem. A teraz jest po prostu gdzieś wśród wielu innych polityków, którzy być może mają coś do powiedzenia, ale w masie to się wszystko zlewa.

Kacper uważa, że większość polityków trzyma się politycznego mainstreamu. Widzi szansę na sensowną opozycję – w postaci Konfederacji czy Lewicy – ale ta opozycja musiałaby być, mówi, mniej abstrakcyjna. Bardziej umiarkowana w światopoglądzie i w formułowaniu wypowiedzi. – Mamy przedstawicieli Konfederacji, którzy proponują reformy gospodarcze, ale swoim ekstremizmem w innych sferach odpychają wyborców. Mam na myśli pomysły w rodzaju całkowitego zakazu i kryminalizacji aborcji, brak rozdziału państwa od Kościoła czy narzucanie ich światopoglądu obywatelom. Z drugiej strony mamy Lewicę mającą pomysły na reformy społeczne i światopoglądowe, ale jeżeli chodzi o sferę gospodarczą, ich pomysły takie jak bardzo duża ingerencja państwa w rynek i wszelkie usługi, ten interwencjonizm... Trudno to zaakceptować umiarkowanemu wyborcy, chcącemu zmian, jasne, ale nie takich, które miałyby wprowadzić jakąś utopię czy prowadzić do jakichś dziwnych zmian systemowych.

– Chyba nie jesteście fanami programów społecznych?

– Nie odpowiada mi rozdawnictwo – przyznaje Kacper. – Takie programy, jak 500 czy 800 + nie działają i nie działały. To chwyt wyborczy.

Według Olafa trudno je nazwać w ogóle programami społecznymi. – Programy mają poprawiać warunki bytu ogółu społeczeństwa, więc powinny być długofalowe i przemyślane. A 500+ to są działania punktowe. Wzbudzają chwilowe zainteresowanie i zwiększają poparcie, ale nie prowadzą do żadnych większych systemowych zmian.

W październikowych wyborach nie głosowali, bo byli za młodzi. Obecnie na polskiej scenie politycznej nie ma ugrupowania, które odpowiada im w całości.

●

Milena, tegoroczna absolwentka studiów humanistycznych, przyznaje, że nie śledzi wszystkich działań obecnego rządu. Podoba jej się jednak rozliczanie poprzedniej ekipy. – Jeżeli dochodziło do przestępstw, trzeba przeprowadzić śledztwa i je osądzić – mówi stanowczo dwudziestopięciolatka. Podobała jej się także reakcja rządzących polityków na alkohol w tubkach. Szybka i zdecydowana.

Jako apostatka pozytywnie ocenia zmniejszenie liczby godzin lekcji religii. – Religia powinna być usunięta ze szkół albo zastąpiona przez religioznawstwo. Katolicyzm nie jest przecież jedynym wyznaniem na świecie. Dobrze byłoby, gdyby uczniowie mieli szansę poznać inne systemy religijne. Gdybyśmy wiedzieli, że inni ludzie mogą na coś patrzeć inaczej, to by pomogło. Pokazało inną perspektywę – przekonuje.

Ale nie wskaże polityka ani polityczki, których działania ocenia pozytywnie. Bo mogą jej się podobać pojedyncze posunięcia, pomysły, ale nie całokształt. No i trudno byłoby jej pochwalić kogoś z rządzących, skoro koalicja nie popchnęła kwestii aborcji, choć jej członkowie i członkinie składali tyle deklaracji przed wyborami. Tymczasem przez różnice w poglądach nie mogą się dogadać. Milena już nie wymaga liberalizacji, tym możemy zająć się w bardziej sprzyjającym czasie, ale niech przynajmniej przywrócą ten niby-kompromis aborcyjny.

Owszem, rząd Tuska przygotował jasną wykładnię przepisów – kobieta, która przychodzi do placówki mającej kontrakt z NFZ z zaświadczeniem, że ciąża zagraża jej zdrowiu, musi otrzymać tam świadczenie medyczne, jakim jest przerwanie ciąży. Odmowa skutkuje ukaraniem zakładu. Ale wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 20 października 2020 r. wciąż obowiązuje. I niektórzy lekarze wciąż mogą się bać. Więc Milenę wciąż martwi los kobiet. – Nie powinny umierać pozbawione pomocy.

●

Z nowym Sejmem przyszła moda na oglądanie jego posiedzeń. Milena ich nie oglądała, ale znajomi tak. I od wielu osób słyszała, że te transmisje to „jeden z lepszych patostreamów, jaki widzieli". – No bo jak inaczej określić dorosłych ludzi, przekrzykujących się ludzi, używających argumentów, które nie powinny paść na sali plenarnej. Ta sala została stworzona do dyskutowania o poważnych rzeczach – mówi zażenowana. Chciałaby, żeby zasiadający w poselskich ławach „mniej byli błaznami".

Takiego Przemysława Czarnka, Michała Dworczyka, Pawła Kukiza, Ryszarda Terleckiego czy Łukasza Mejzę można umieścić na podium, gdyby politycy ścigali się w konkurencji, co robić, by źle reprezentować Sejm. Ale Małgorzata nie jest zdziwiona, że ludzie na nich głosowali. – Przez długi czas mieliśmy w kraju mocną propagandę i psucie obyczajów publicznych jednocześnie. Tylko wielu tego nie zauważało, bo to było jak z tą powoli gotującą się żabą.

Idealny polityk według Mileny? Nie zajmowałby się głupotami. Doprowadzał sprawy do końca. Nie był odklejony od rzeczywistości. Nie patrzył na wszystko przez pryzmat religii. Coraz więcej osób odchodzi od Kościoła, więc katolicka moralność nie powinna być narzucana obywatelom.

Rok temu głosowała na Lewicę. Gdyby wybory odbywały się teraz, to nie wie, kogo by wybrała. Musiałaby uważniej prześledzić działania polityków i partii, czy są zgodne z jej przekonaniami.

●

– Młodzi ludzie fact-checkingują informacje, zanim w nie uwierzą. Ja też i jestem rozczarowana obietnicami, które wyglądały ładnie na papierze, a po weryfikacji okazują się grą słów i manipulacją liczbami – mówi Julia Wolińska. Dwudziestotrzylatka studiuje filozofię i działa społecznie. Interesuje się tym, co robi rząd. Ma zastrzeżenia do projektu budżetu na przyszły rok. – W szkole i na studiach uczymy się, jak wiele zawdzięczamy polskim naukowcom, filozofom, artystom. Po czym robimy wszystko, aby nie powtórzyć ich sukcesu. Wbrew zapowiedziom, publiczne wydatki na szkolnictwo wyższe i naukę w Polsce są wciąż najniższe od początku wieku. Zaledwie 0,4 proc. PKB – denerwuje się.

Uważa, że dobre powody do wspierania edukacji, niezależnych badań i kształcenia wyższego mają i wolnorynkowi, i lewicowi – bo Tusk obdzielił szeroko rozumianym kształceniem i nauką obie opcje – przedstawiciele rządu. Tymczasem zapowiadany wzrost nakładów na szkolnictwo wyższe i naukę jest „iluzoryczny, bo nie przewyższa inflacji".

Wolińska nie zgadza się z politykami twierdzącymi, że w nauce muszą być cięcia z powodu wydatków na obronność. – Przecież wielcy stratedzy, zwycięzcy wojenni znani z historii najnowszej, choćby przywódcy aliantów w II wojnie, zwiększali wydatki na badania i rozwój, a nie odwrotnie. Można pomyśleć o naukach jako niezbędnej broni. Kiedy odkładamy ją na bok, przestajemy rozwijać się wraz z resztą Europy i tracimy status partnera. W ten sposób, tłumaczy, Polska uzależnia się od myśli i rozwiązań zewnętrznych, co realnie zagraża bezpieczeństwu.

Julia martwi się też, czy rząd wcieli w życie pomysły, które padały przed wyborami. Lewica mówiła o stypendiach dla studentów, a Trzecia Droga o tanich akademikach. – Wygląda na to, że ruszy fundusz na budowę akademików, lecz minister Dariusz Wieczorek odwleka decyzje o projektach, które mogłyby służyć za tymczasowe rozwiązanie problemu studentów.

Czynsze na rynku najmu i koszty życia tak wzrosły, że wiele osób mimo chęci i nawet dobrych wyników w nauce nie może sobie pozwolić na studiowanie. A ona po magisterce myśli o studiach doktoranckich. – Chciałabym rozpocząć przewód w Polsce, ale dociera do mnie, że będę zmuszona wybierać pomiędzy obiadem a opłaceniem badań z własnej kieszeni. W ten sposób polskie uniwersytety oddalają się od zachodnich.

●

Kolejną sprawą ważną dla Julii, co do której wątpi w wolę i skuteczność rządu, jest mieszkalnictwo. – Osoby z mojego pokolenia prawdopodobnie nigdy nie dorobią się własnego mieszkania. Ani, skoro już porównujemy się z poprzednimi pokoleniami, emerytury na poziomie rodziców.

Mówi, że nie tylko ją obchodzi kryzys mieszkalnictwa. To coś, co wraca w rozmowach z rówieśnikami. – Ale kiedy za pośrednictwem aktywistów czy młodych publicystów, ekspertów pytamy polityków o budownictwo komunalne, w odpowiedzi słyszymy o budownictwie społecznym, o TBS-ach. To nie to samo. Tylko mieszkania komunalne należą do gminy, a przez niski czynsz i brak wkładu wstępnego mogą trafić do najbardziej potrzebujących – tłumaczy.

Młodzi, mówi Julia, widzą, że rząd nie pali się do rozwiązania tego palącego problemu. – Realny budżet na mieszkania na wynajem ma pozostać w miejscu, czyli na poziomie 1 mld złotych. To nie pokrywa nawet połowy zapotrzebowania gmin.

Wolińską martwi, że rządzący, kim by nie byli, mają horyzont najbliższych miesięcy, góra roku, dwóch, ogólnie – wyborczy. Nie zastanawiają się nad dalekosiężnymi konsekwencjami rosnących nierówności społecznych. – Coraz mniej z nas ma warunki do założenia i utrzymania rodziny. Oszczędzanie na edukacji czy mieszkalnictwie to nie oszczędność, a koszt dla społeczeństwa – kwituje. Zapewnia, że nie krytykuje rządu „z automatu", tylko merytorcznie. – Podnoszenie jakości nauki i wyrównywanie szans społecznych to dwie kwestie, na których zależy mi najbardziej. Naprawdę doceniłabym, gdyby politycy wykazali się rozwojowymi projektami.

Julia współprowadzi ponadpartyjne stowarzyszenie, więc woli zachować dla siebie, na kogo głosowała 15 października. A kolejne wyborcze decyzje uzależni od programów partii i ich dotychczasowych działań. ●

eprasa.pl d6338e1d66

Rok po wyborach. O kim zapomniał Tusk

DZIĘKUJEMY, ZAPRASZAMY ZA 4 LATA

Gniew bywa najsilniejszą polityczną motywacją. Dziś dogasa w szeregach demokratów. A zaczyna się tlić w szeregach zwolenników PiS

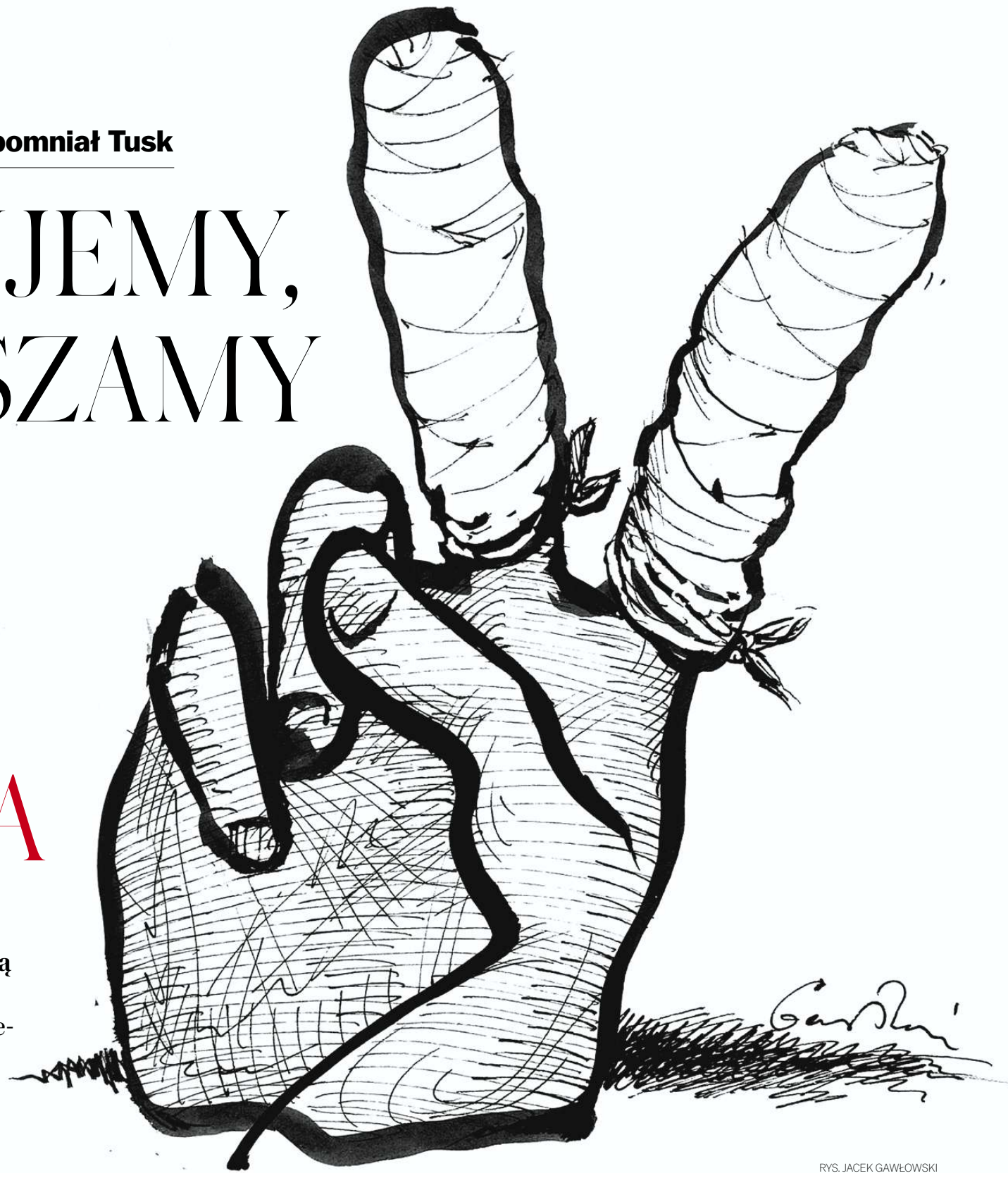

RYS. JACEK GAWŁOWSKI

Leszek Jażdżewski

Osiem lat rządów PiS bezpowrotnie zerwało z polityką, jaką znaliśmy i za jaką wielu tęskni: przewidywalną, w określonych ramach. Normalną.

Nie ma ciała, które ustrojowo może badać zgodność aktów prawnych z konstytucją. Izba Sądu Najwyższego, która uznała legalność wyborów, w zasadzie nie powinna być uznawana za sąd. Trybunał Konstytucyjny, który nie jest Trybunałem, zakazał aborcji, a mimo to jego wyrok stał się prawem. Rząd nie drukuje wyroków tego pseudo-Trybunału. Media publiczne funkcjonują poza regulacjami KRRiT opisanymi w konstytucji.

PiS obalił tych kilka niepodważalnych, wydawałoby się, zasad kultury politycznej mówiących, że: demokratyczne instytucje, choć niedoskonałe, trzeba w miarę możliwości szanować; Rzeczpospolita chce być integralną częścią europejskiej wspólnoty; polityczną korupcję należy uprawiać bez ostentacji; polska historia może być zarówno źródłem dumy, jak i wstydu.

To nie jest katalog skończony. Nie każda z zasad była popierana przez ogół społeczeństwa. Nie w tym rzecz. Chodzi o reguły gry, które były respektowane przez graczy, czyli polityczne elity. Nie prowadzimy z przeciwną drużyną walki wręcz. Nie przestawiamy bramek w trakcie gry. Nie wrzucamy drugiej piłki na boisko, twierdząc, że gol strzelony piłką pierwszą jest nieważny. W III RP tych fundamentów po prostu nie można było podważyć. Ci, którzy próbowali, lądowali na marginesie. Osiem lat rządów PiS to faktyczne zerwanie z III Rzeczpospolitą. Polityczne, symboliczne, ale też ustrojowe. To była nasza, całkiem realna, a nie prześniona, rewolucja. Próba restauracji skazana jest na porażkę, bo polska polityka i świat są już zupełnie w innym miejscu niż dziewięć lat temu.

•

Kaczyński III RP nazywał układem, ponieważ był to porządek, w którym zabrakło dla niego miejsca. Trzeba mu oddać, że zdelegitymizował go niezwykle skutecznie. I to mając wyjątkowo słabe karty w ręku, kanapową partię złożoną w znacznej mierze z nieudaczników i maniaków, a przeciw sobie wrogość większości elit medialnych, politycznych i biznesowych.

Mistrzostwem Kaczyńskiego było utkanie sojuszu narodowych katolików z antykomunistami i rozczarowanymi transformacją. Wielu z nich mogło kiedyś głosować na SLD, a nawet na PZPR. Inni rozmieniali swoje poparcie na ludowo-narodowego krzykacza o związkowych korzeniach Zygmunta Wrzodaka czy na kolejne efemerydy Macierewicza. Jeszcze inni byli wyborcami Wałęsy, nieufnie patrzącymi na inteligenckiego i umiarkowanego Mazowieckiego. Kaczyński dał im spoiwo: resentyment. Czy to wobec lewackiej Unii, bezbożnego medialnego mainstreamu czy po prostu warszawskich elit, którym wydawało się, że są panami na polskim folwarku.

Kaczyński, sam zbuntowany przeciwko własnej klasie inteligent, podbił Warszawę przy pomocy ludzi, którymi gardził, z którymi nie łączyło go absolutnie nic oprócz resentymentu, poczucia marginalizacji i odrzucenia. Dał im poczucie przynależności. Odkurzył patriotyzm i nadał mu nowy sens. Możecie nienawidzić inaczej myślących. To zdrajcy. Targowica. Niemcy. Ruscy. Prosty odruch zawiści dla sukcesu podbudował patriotycznym i inteligenckim sznytem. Tu cytat z Ujejskiego. Tu ojkofobia. Nikt nie wzbudzał takiej nienawiści elity, bo używał pojęć, które rozumieli. Uderzał w czułe punkty. O tym jest książka Roberta Krasowskiego. Która? Każda.

Nikt nie był tak wiarygodny dla samozwańczych „patriotów". Mimo że Prezes nie ma konta w sieci. Ani w banku. Siedzi w domu sam z kotem albo z Mariuszem. A jednak jest prawdziwym liderem. W kryzysie wartości Kaczyński odbudował wspólnotę.

Oczywiście nie wszystkich. Żeby do niej należeć, trzeba podzielać jego diagnozy i fobie. Nie dla każdego jest to łatwe, nawet z dawnych druhów zostali już tylko najmierniejsi. Wyborcom też trudno było łykać a to skasowanie Trybunału, a to zakaz aborcji, ale ceną za sprzeciw jest postawienie się poza kręgiem Polaków patriotów. Polaków katolików. Przystąpienie do kosmopolitycznej międzynarodówki Michnika i Tuska.

Kaczyński nie ma konkurencji w dziedzinie zaganiania do patriotycznego kąta. Ustawiania sobie przeciwnika tak, jak mu wygodnie. Zmonopolizował sojuszem z Kościołem, i to nie tylko Rydzykowym, sferę narodowo-katolickich wartości. Usankcjonował się absurdalnymi potyczkami z Unią o rzekomą suwerenność – w rzeczywistości będącą tylko pasmem kiepsko zakamuflowanych kapitulacji (27:1 w wyborach szefa Rady Europejskiej, praworządność, Zielony Ład, Krajowy Plan Odbudowy).

Chodziło o efekt wewnętrzny. Ważniejsze były kwiaty dla naszej Beaty niż jakieś realne sukcesy międzynarodowe. Tu widać różnicę z Orbanem, który prowincjonalnego Kaczyńskiego o głowę przerasta międzynarodową perspektywą. Premier Węgier ma tylko jeden nieprzezwyciężalny problem: państwo w rozmiarze S.

Kaczyński, zamiast napierać na drzwi salonu, żeby dosiąść się do jakiegoś podstolika do gry na małe stawki, brydża zamienił na dupniaka i do salonu wpuścił mrożkowych Edków, którzy z werwą zabrali się za inteligenckie zadki. Poniżenie „demokratów", przyzwyczajonych do wzniosłych porażek (jak z SLD w 1993 i 1995), ale z poczuciem, że racja jest po ich stronie, a w gazetach i telewizji i tak reprezentowany jest

eprasa.pl d6338e1d66

ich punkt widzenia, było drastyczne. Oto nie tylko ktoś wywlókł ich bez pardonu za frak i spuścił po schodach, ale jeszcze zakwestionował stworzony przez nich świat, który wydawał się czymś trwałym. Podważył samą instytucję salonu i zamienił w saloon z podkasanymi tancerkami i strzelaniem do barmana.

•

Byłoby to niemożliwe, gdyby nie równolegle zachodzące zmiany cywilizacyjne, przede wszystkim w dziedzinie komunikacji, które zakwestionowały dotychczasową rolę elit: medialnych, politycznych, eksperckich. Od programu Lisa czy Olejnik ważniejszy jest kanał prowadzony przez komentatora sportowego. Byle influencer generuje na TikToku większe zasięgi niż najpoczytniejsza gazeta. Ten, kto lepiej umie zagrać na emocjach internetowego tłumu, wygrywa. W tej grze nie ma żadnego arbitra poza zasięgami. Jeszcze nigdy w dziejach III RP elity nie były tak bezsilne, bezzębne jak za rządów PiS. Dziś powrót w dawne przestrzenie jest podszyty niepewnością: na jak długo?

Pewnym paradoksem jest fakt, że Kaczyński, choć dawno porzucił już opowieści o ustrojowej zmianie, słynnej IV RP i moralnej odnowie, skompromitowanej koalicją z Lepperem i Giertychem w latach 2005-07, de facto bezpowrotnie zmienił zarówno ustrój, jak i kulturę polityczną Rzeczpospolitej.

Polska Kaczyńskiego to Polska rodem z patriotycznej czytanki. Ale też Polska przyklęknięcia przed księdzem na drodze, przeżegnania chleba krzyżem, zanim się utnie pierwszą kromkę. Polska cierpiąca za miliony, ale i Polska małej wspólnoty, gdzie wszyscy się znają: gdzie pomoc sąsiedzka i sąsiedzka obmowa. Większość z nas w tej Polsce ma jakieś korzenie. To Polska naszych dziadków i babć, wujków i cioć. I tym bardziej boli, że Kaczyński tak beznamiętnie wykorzystał ją do swoich celów.

Kaczyński, zawołany rzekomo konserwatysta, okazał się nihilistą. Zamiast szanować zastane instytucje, postanowił zrobić z nich pośmiewisko, obsadzając je „odkryciami kulinarnymi", wiernymi prokuratorami ze stanu wojennego, partyjnymi asystentami z parasolem.

Nie tylko upokorzył demokratów, ale też nieświadomie ukręcił sznur na własną szyję. Mógł rządzić znacznie bardziej komfortowo, gdyby jego celem nie byłoby zniszczenie zastanego porządku. Cała jego droga życiowa i diagnoza polityczna prowadziły go jednak do zakwestionowania wszystkiego, co po 1989 roku udało się zbudować. W tym celu zmobilizował Polskę wkurzonych i rozczarowanych, których, jak wiemy, nie brakuje. Którzy mają, dodajmy, wiele powodów, żeby się na zastaną rzeczywistość irytować.

Kaczyński ma tylko jeden problem, za to poważny. Polska per saldo i nie przede wszystkim za sprawą polityków odniosła niezwykły sukces. Również za jego rządów. Polacy są bogatsi, ich życie jest bardziej komfortowe. To jest moment, kiedy myśli się nie o rewolucji, ale o stabilizacji. I szuka się źródeł społecznego uznania. Okazało się, że estetycznie i politycznie wielu potencjalnych kibiców Kaczyńskiego, trzymających kciuki za pogonienie elit precz, ma jednak aspiracje. Nie są w stanie łykać coraz bardziej utuczonych Edków w patriotycznym entourage'u i z dwojga złego wolą już wzruszonego sobą Hołownię albo PSL po lekkim liftingu.

•

W logice brutalnego przejęcia instytucji, z użyciem wszystkich narzędzi administracji wspierających partyjną propagandę, z rekordowymi transferami socjalnymi i jednoznacznym wsparciem Kościoła, nie było miejsca na zmianę władzy, na przegrane wybory. W logice państwa PiS 15 października nie miał prawa się zdarzyć. A jednak się zdarzył.

Bezwzględny atak na III RP wygenerował nieznane od czasów pierwszej „Solidarności" poruszenie społeczne. To był ruch zwykłych Polaków, którzy nie protestowali dlatego, że PiS odebrał im wpływy i władzę. Propagandowe kroniki TVP wyjące o „odrywanych od koryta" kompletnie mijały się z rzeczywistością. Wielu z nich było też zmęczonych wcześniejszymi rządami PO, i to nie w obronie tej partii wylegało na ulice. Nawet nie w obronie konstytucji, do której przed 2015 rokiem nikt, poza może Aleksandrem Kwaśniewskim, nie czuł specjalnego sentymentu. Ludzie protestowali, bo czuli, że PiS niszczy ich świat i uznawane przez nich hierarchie wartości. Ruch obrońców III RP powstał samorzutnie, po drodze zgubił zupełnie nieadekwatnego lidera. A w międzyczasie wielokrotnie rozbił się o nadmierne oczekiwania i polityczną niemoc.

Zwołując ludzi na marsz 4 czerwca, Tusk postawił wszystko na jedną kartę. Dopiero po czasie wszyscy pamiętają, że uważali to za genialny pomysł. Ja nie. W połowie kwietnia prekampania była niemrawa. Mobilizacja słaba. Panowało rozprzężenie. Pomysł, że ludzie pójdą masowo na marsz Platformy, a nie, jak wcześniej, protestować przeciwko jakiejś nieludzkiej decyzji PiS, i to na długie pięć miesięcy przed wyborami, wydawał się szaleństwem. Nie tylko ja miałem wątpliwości. Organizatorzy na wszelki wypadek wybrali taką scenerię i trasę, żeby nawet kilkadziesiąt tysięcy osób wyglądało na wielki tłum.

To wtedy Tusk przekroczył Rubikon. Zdawał sobie sprawę, że bez nadzwyczajnego zrywu, bez wiary w zwycięstwo zwycięstwa po prostu nie będzie. Objazdem po Polsce, a potem marszem z biało-czerwonymi flagami i z biało-czerwonymi serduszkami podjął walkę z narracją PiS i TVP, która przyklejała mu łatkę niemieckiego polityka. Trudno było dezawuować Tuska jako antypolskiego – choć Jacek Kurski nie ustawał w wysiłkach – kiedy spotykał się ze zwykłymi ludźmi na prowincji, a potem tłumy takich właśnie ludzi stawiły się na jego wiecu.

W odpowiednim momencie powracający do polskiej polityki Tusk nadał słabnącemu ruchowi nowy impet, przywracając wiarę w zwycięstwo. Poprowadził zmęczonych protestami do ostatniej szarży, która okazała się nadspodziewanie skuteczna. Tusk naprzeciw zwartych falang Kaczyńskiego postawił swoje legiony. Mniej zorganizowane, ideowo niespójne, wewnętrznie rozdyskutowane. Zamiast zwartą ławą i w nogę poruszające się w sposób nie do końca nieskoordynowany. Ostatecznie jednak rozproszone wojsko koncentruje się w kluczowym momencie na polu bitwy. I wygrywa.

Kaczyński, zbuntowany przeciwko własnej klasie inteligent, podbił Warszawę przy pomocy ludzi, którymi gardził, z którymi nie łączyło go absolutnie nic

•

To właśnie jest mit Tuska: nie partyjnego lidera, nie wybitnego premiera zarządcy, ale zwycięskiego wodza. Dlatego nie musi mieć spójnej ideologii. Jego ideologia jest prosta: zwycięstwo.

Niespotykana w demokratycznej Polsce mobilizacja społeczna spowodowała, że udało się przełamać strukturalne przewagi partii rządzącej. Marsz po trzecią kadencję PiS został zatrzymany. Domykającego się systemu podporządkowania wszystkich instytucji w państwie jednemu ośrodkowi władzy nie wprowadzono. Narodowa prawica po raz kolejny straciła wpływ na państwo. Ale nie rząd dusz.

I tu kończy się happy end, a zaczyna codzienność. Mobilizacji i oburzenia nie przekuto na instytucje, zorganizowany ruch społeczny. Weterani zostali rozpuszczeni do domów. Stery przejęła stara, sprawdzona ekipa. Zamiast wspomóc się dziesiątkami tysięcy ludzi, którzy walczyli o praworządność i demokrację nie dla własnego interesu, ale dla sprawy, podziękowano im. A w zasadzie nawet i to nie specjalnie.

REKLAMA
Kraj/34340219

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
Wydawnictwo Agora dla dzieci
1 RP

eprasa.pl d6338e1d66

Nawet jeśli „Solidarność" jako związek zawodowy zmieniła się w swoją karykaturę, okazała się kuźnią kadr dla dziesiątek większych i mniejszych partyjek i środowisk. To z niej wywodzą się dzisiejsze PO i PiS. Przedziwne jest, że największy od czasu „Solidarności" ruch nie zostawił po sobie w zasadzie nic poza konglomeratem oddolnych organizacji zagubionych i więdnących w popaździernikowej codzienności. Zabrakło celu i przywództwa albo raczej przywódca wykazał się pragmatyzmem. Po co Tuskowi rozwiązywać problemy niezdyscyplinowanego ruchu, jeśli do administrowania państwem w zupełności wystarczy podporządkowany partyjny aparat? Aparat, który po serii dotkliwych porażek, gdy stał już na granicy zagłady, wie dobrze, że jest tylko dodatkiem do wodza, a nie siłą, która go kreuje. Który ma pełną świadomość, że to jemu zawdzięcza polityczne życie.

Tusk w rządzeniu oparł się na sprawdzonych partyjnych towarzyszach. Do swoich legionów okazjonalnie zwraca się na Twitterze vel X. Ale posłuszna partia bywa też przekleństwem. Bo zmuszony instalować nieudacznych towarzyszy w kolejnych instytucjach państwa albo patrzeć, jak robią to relatywnie niezależni koalicjanci, tym samym porzuca ideały, którymi mobilizował demokratów do walki.

Gdyby chociaż miał sprawne kadry. W wielu miejscach profesjonaliści zastępują nieudaczników i zwykłych przekręciarzy, ale w niektórych jest odwrotnie. Albo po prostu tak samo. Czyli słabo. Nie da się pilnować wszystkich. Nie można w każdym departamencie państwa organizować transmitowanych sztabów i osobiście rozliczać z każdej wtopy. Trzeba wyraźnego celu, strategii i kompetentnych ludzi zmotywowanych czymś więcej niż tylko własnym wąsko pojętym interesem.

Każde wzmożenie ma swoje koszty. Im większe oczekiwania, tym większe rozczarowanie. Świadomość kruchości zwycięstwa i tego, jak niewiele brakowało, by zmieniło się w porażkę, daje ogromny kredyt zaufania. Pamięć o ostatecznej mobilizacji pod wodzą Tuska stanowi na razie nieskruszoną barierę przed odpływem wyborców.

•

Większość obrońców III RP nie byłaby zainteresowana wchodzeniem w politykę. Mają co robić, zasuwają na dwa etaty, bujają wnuki, podróżują. Ale nie wiadomo, jak zniosą tak obcesowe pokazanie im miejsca w szyku. Czy znów staną do walki? Ilu z nich rzuci się mobilizować tych mniej zdeterminowanych do stawienia się przy urnach? Gniew bywa najsilniejszą polityczną motywacją. Dziś dogasa powoli w szeregach demokratów. A zaczyna się tlić w szeregach zwolenników PiS, oburzonych na kolejne decyzje władzy. To wszystko na razie bez znaczenia. Zbyt świeża jest pamięć o nadużyciach. Zbyt dużo wiadomości o kolejnych zatrzymaniach. Ale zaczyna się budowanie mitu prześladowań opozycji i delegitymizacja obecnych rządów.

Ci, których na marszach nie było, ale ostatecznie zagłosowali na partie koalicji, odrzucili PiS nie z miłości do projektów PO – infantylne sto konkretów nie przemówiło chyba nawet do działaczy i liderów tej partii – ale dlatego, że PiS zabrakło listków figowych do skrywania nagiej prawdy, że ich podstawowym celem, choć ubranym w tyle pięknych słów o Polsce i rozwoju, jest po prostu stare, dobre, ordynarne TKM: „Teraz, k..., my" z buta i po chamsku, obejmujące już nie zwyczajowe partyjne synekury, ale niemal każdy obszar, gdzie państwo ma coś do powiedzenia.

Wyborcy niezainteresowani polityką skomplikowane analizy zastępują prostym rozpoznaniem: swój – obcy. Swoim wierzymy, obcych nie poważamy. Gorzej, jeśli swój coraz bardziej upodabnia się do obcego. Wtedy przychodzi rezygnacja podszyta irytacją. Jak mogłem znów dać się nabrać? To przecież tylko polityka. Kariery bez umiejętności. Słowa bez znaczenia. „Oni wszyscy kradną". PiS się na tym przejechał, choć miał i ma spajającą szeregi ideologię. Demokraci mają tylko wiarę w zwycięskiego wodza.

Dochodzi do ciekawego fenomenu, w którym notowania rządu spadają, a notowania premiera rosną. Choć nikt nie ma wątpliwości, że to on w tym rozdaniu pociąga za wszystkie sznurki. Premier odżywa w kryzysach, pokazując sprawczość i wrażliwość na potrzeby „zwykłego Polaka". Wobec słabości koalicjantów i własnego zaplecza zarządzanie kryzysowe Tuska będzie tym, czego powinniśmy się spodziewać w najbliższej przyszłości. Pytanie, czy to wciąż zarządzanie kryzysowe, czy raczej kryzys zarządza polską polityką? Kto tu rządzi kim? Czy Polska skazana jest na miotanie się w rytm alkotubek i kolejnych panik moralnych? Co wypełni miejsce po zniszczonym przez PiS systemie III RP?

•

Państwo rządzone przez PiS osiem lat nie jest tym samym, które PO zostawiała w 2015 roku. Nigdy od upadku komunizmu nie zostało poddane takiej przemocy i presji. Polskie życie publiczne cierpi na PTSD – zespół stresu pourazowego.

To zrozumiałe, że pierwszym odruchem po latach traumy, codziennej niemal walki o podstawowe standardy, jest próba powrotu do tego, co było. Do odpowiedzialnej polityki budżetowej, stabilności prawa i procedur, ale też do partyjnego podziału łupów, obietnic składanych na wyrost, a potem zapominanych. To postulaty słuszne w ramach znanych nam od lat reguł. Rzecz w tym, że dziś one nie obowiązują.

Po co Tuskowi rozwiązywać problemy niezdyscyplinowanego ruchu, jeśli do administrowania państwem w zupełności wystarczy podporządkowany partyjny aparat?

PiS doszedł do władzy i przeorał instytucje, instalując faktycznie nowy porządek, oparty na ścisłym podporządkowaniu partyjnemu centrum państwa i wszystkich jego instytucji. Nasz ustrój zamiast na żelaznych regułach prawa opiera się dziś na pewnej konwencji, lawirowaniu władzy wykonawczej między zmiennymi interpretacjami. Trudno rozeznać się w tym, które organy są prawomocne, a które nie. I kiedy. Nawet jeśli PiS znów przegra, to jego spuścizna pozostanie. Praworządność nie jest już bezdyskusyjna. Jest relatywna. Łatwa do podważenia.

Dziś rządzi opcja, w której DNA jest samoograniczanie się – większe środki zostaną w samorządach, jest już gotowa ustawa o rozdzieleniu prokuratury od Ministerstwa Sprawiedliwości. Jednak istnieje ryzyko, że z modelu zachodniego, w którym rządzi ten, kto ma za sobą prawo, będziemy ewoluować do modelu, w którym o prawie decyduje ten, kto ma narzędzia do jego egzekwowania. Służby, resorty siłowe i kontrolę nad drukarnią „Monitora Polskiego". Jeśli istnieje możliwość nadużycia władzy bez żadnych sankcji, pokusa jest bardzo silna. Dla każdego rządu.

PiS, uchwalając ustawy w kilka godzin, zrzucając z helikoptera miliardy, ale też – co należy docenić – spełniając wyborcze obietnice i jednocześnie mobilizując setki tysięcy ludzi nieustanną propagandą, zmienił trwale reguły politycznej gry. Odpowiedzią na pisowską rewolucję nie jest platformiana restauracja. Ona byłaby możliwa, gdyby aparat państwa, wyborcy, uwierzyli, że obecny porządek jest dany raz na zawsze. Ale on okazał się kruchy. Przejściowy. Śmiertelny. Próba prowadzenia polityki w starym stylu przez obecną koalicję skończyć się może tylko w jeden sposób: klęską.

•

Taka konstatacja musi być trudna dla wszystkich, którzy osiem lat walczyli w obronie III RP. To wszystko było na próżno? Nie, nie było. PiS podbił i zniszczył III RP, ale przegrał władzę. Nie powinniśmy jednak wołać jak po przegranych meczach reprezentacji: „Polacy, nic się nie stało". Stało się. I cokolwiek zostanie zbudowane po pisowskim potopie – nie będzie już tym samym, co kiedyś. Dziś nie można liczyć na bezalternatywność prostych imitacyjnych recept, które dały nam sukces w latach 90., gdy liczyło się nadganianie Zachodu, dołączenie do NATO i Unii Europejskiej.

Paradoksem zwycięstwa 15 października jest zarówno jego wyjątkowość, jak i cząstkowość. Ogromna mobilizacja społeczna ledwo pozwoliła sklecić wielopartyjny rząd. Oczekiwania na odrodzenie się polityki w nowym wydaniu rozbijają się o partyjne targi i instytucjonalne niemożności. Parlament nie dorasta do momentu historycznego. Zapotrzebowanie społeczne i reprezentacja polityczna nie idą ze sobą w parze. Można budować piętrowe uzasadnienia dla niemocy lub szukać źródeł mocy po to, żeby wpłynąć na system polityczny i przeforsować zmianę pomimo istniejących blokad.

Tusk słusznie wyczuwa, że to w osobistej więzi zbudowanej z wyborcami kryje się klucz do sukcesu. Te źródła wciąż biją w społeczeństwie obywatelskim, które powiedziało twarde „nie" Polsce PiS, a dziś mówi niepewne i podszyte rozczarowaniem „tak" Polsce zwycięskiej koalicji. Tylko jak w warunkach instytucjonalnych i politycznych ograniczeń przełamać bariery, o które mogą się rozbić rządy koalicji, co grozi oddaniem władzy narodowej prawicy? Czy będzie to ustrojowe referendum, czy działania wzmacniające władzę premiera nad resortami, z których każdy jest udzielnym księstwem, czy też program radykalnego przyspieszenia po wyborach prezydenckich połączonego z przebudową dysfunkcyjnego rządu i metody rządzenia – to są decyzje polityczne wymagające trudnych kompromisów i podejmowania ryzyka, o czym bardzo łatwo mówi się z komentatorskiej kanapy.

Wybory 15 października w sensie konstytucyjnym nie dają legitymacji do zupełnie nowego otwarcia, czyli zasadniczej reformy konstytucyjnej, ale były punktem zwrotnym, zerwaniem z porządkiem, który po siłowym przejęciu państwa zaczął się uprawomocniać. W sensie politycznym otwiera się nowa era. Odbudowy nowego, oby bardziej odpornego, porządku na gruzach poprzedniego. Dziś te emocje, które dawały siłę do ośmiu lat protestów i w efekcie do zwycięstwa, trzeba zaprząc do pracy nad tworzeniem nowego systemu, z wykorzystaniem wartości i zasad poprzedniego, ale w ramach reguł rządzących polityką czasów dzisiejszych, a nie minionych.

To nie będzie świat z marzeń liberałów sprzed 15 czy 20 lat. Być może przyszedł czas, żeby zweryfikować niektóre z tamtych założeń. Zastanowić się, na czym możemy budować nie tylko indywidualne sukcesy, ale też poczucie narodowej tożsamości, wspólnotowość, w której zmieszczą się również ci, którzy nie podzielają naszych wartości.

To trudne dylematy, na które nie ma łatwych odpowiedzi. Każdy ma tu swoje czerwone linie. Dla mnie są nimi uniwersalne prawa obywatelskie, które dziś nie obowiązują względem kobiet, mniejszości seksualnych, osób niereligijnych. W tej polityce nie wszystko będzie się podobało przywiązanym do III RP demokratom. Będzie tam miejsce i na miękki populizm, i na schlebianie nastrojom większości. Będzie twarda obrona granicy i pilnowanie, żeby problem integracji imigrantów nie wymknął się spod kontroli jak w wielu krajach zachodniej Europy. Będzie bezwzględne ściganie przestępców, czasem na granicy prawa, i luźne podejście do budżetowych wydatków, jeśli pozwolą na to reguły narzucane przez Unię. Będzie miejsce na twarde negocjacje z Brukselą i ostre odpowiadanie na słabości niemieckiej czy francuskiej polityki.

Ale będzie też przestrzeń na niezależne instytucje i odporne państwo. O ile zdąży się je zbudować, zanim do władzy dojdzie opozycja. Jeśli pustka po systemie III RP zniszczonym przez PiS nie zostanie w porę wypełniona – najpierw na poziomie narracyjnym, a następnie politycznym i realnym – recydywa rządów narodowej prawicy jest niemal pewna. Nadzwyczajne czasy wymagają nadzwyczajnych metod i nadzwyczajnych polityków. ●

FOT.TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Leszek Jażdżewski

• redaktor naczelny „Liberté!", współzałożyciel Igrzysk Wolności w Łodzi. Studiował polityki publiczne na Uniwersytecie Oksfordzkim i stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie Łódzkim.

Igrzyska Wolności 2024. Miasto. Europa. Przyszłość

• Igrzyska Wolności to forum gromadzące w Łodzi co roku przedstawicieli i przedstawicielki świata kultury, biznesu i życia publicznego z całego świata, by debatować o najważniejszych wyzwaniach, przed jakimi stoją społeczeństwa Zachodu w XXI wieku. Tym razem będą rozmawiać i opowiadać Państwu o przyszłości miast, w których mieszka już większość ludności świata. Miasta kreują i napędzają zmiany społeczne, stymulują gospodarkę, a jednocześnie to w nich skupiają się jak w soczewce problemy polityczne i kulturowe.

Wśród gości są politycy - marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska; ministrowie

IGRZYSKA WOLNOŚCI

- zdrowia Izabela Leszczyńska, kultury Hanna Wróblewska, finansów - Andrzej Domański, sprawiedliwości - Adam Bodnar i ds. UE - Adam Szłapka; ludzie biznesu, m.in prezes PZU Artur Olech, prezes PKO BP Szymon Midera, przedstawiciel Kulczyk Holding Jarosław Sroka czy prezes firmy deweloperskiej Archicom Waldemar Olbryk. Artyści, ludzie kultury, pisarze – m.in. Maria Peszek, SIKSA, Artur Rojek, Karol Paciorek, Jakub Rużyłło, Jacek Kleyff, Paweł Sołtys oraz działacze społeczni, m.in. Nazanin Boniadi, Danuta Wałęsa i Anna Alboth, a także publicyści i komentatorzy spraw publicznych, a wśród nich: Adam Michnik, Dariusz Rosiak czy Karolina Lewicka.

W programie są również spotkania autorskie, m.in. z Andrzejem Sapkowskim, Dorotą Masłowską i Łukaszem Orbitowskim oraz koncerty – zagrają lwowskie Yagody, łódzki kwintet jazzowy Kosmos oraz zbuntowana orkiestra podwórkowa Hańba.

Fundacja Liberté! i Miasto Łódź zapraszają od piątku 18 do niedzieli 20 października do kompleksu EC1. Bilety i program na Igrzyskawolnosci.pl.

eprasa.pl d6338e1d66

Kamil, student piątego roku medycyny, uważa, że zdrowie psychiczne pacjenta jest równie ważne jak zdrowe serce czy układ pokarmowy

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Maksymilian, student trzeciego roku, wspomina pierwszy zabieg chirurgiczny, w którym uczestniczył: jego kolego źle się poczuł i zemdlał

KREW POBRANA ONLINE

Maria boi się wypalenia zawodowego. Zuzanna chce mieć życie poza szpitalem. Maksymilian poczuł, że jest na właściwym miejscu. **Jak wygląda nauka medycyny na polskich uczelniach?**

Iwona Görke

Ladarza się tak, że w ostatniej chwili dowiadujemy się o różnych rzeczach, nawet o jakimś egzaminie – mówi Michał. W październiku rozpoczął szósty rok nauki na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym.

Ale nie narzeka. Na medycynie trzeba się uczyć systematycznie. Teraz zajęcia ma głównie w szpitalu. To tygodniowe lub dwutygodniowe bloki. Student uczy się nie tylko w tygodniu. Bo w weekendy uczy się na blok, który rozpocznie się w poniedziałek. Po każdym bloku jest zaliczenie. Studenci sobie pomagają – starsze roczniki dają młodszym pytania z lat wcześniejszych. To pomaga. Tempo nauki jest szybkie.

Michał cieszy się, że może zobaczyć, jak wygląda praca na poszczególnych oddziałach. Cieszy się także z tego, że nie musi siedzieć przez miesiąc czy dwa na oddziałach, na których nie lubi być. Na przykład na chirurgii. Woli medycynę wewnętrzną. Z nią wiąże swoją przyszłość. – Chcę najpierw skończyć kurs medycyny wewnętrznej, a następnie zastanowię się, w jakim kierunku chcę się specjalizować – tłumaczy.

Myśli o endokrynologii, alergologii i pulmonologii. Na te specjalizacje trudno się dostać. Chętnych więcej niż miejsc, ale na innych studentów nie patrzy jak na konkurencję. Mają te same problemy co on. – Unikam wyścigu szczurów. Nie porównuję się do innych – zapewnia. Mówi wprost: – Problemem nie jest to, że na daną specjalizację jest wielu chętnych. Prawdziwym problemem mała liczba miejsc.

Jeżeli nie uda mu się dostać na wymarzoną specjalizację w Gdańsku, a w innym mieście już tak – mógłby wyprowadzić się z rodzinnego miasta. Na studiach musiał poświęcić na naukę dużo czasu. – Czasami rezygnowałem z wyjść z kolegami, gry w piłkę, zwłaszcza na pierwszym roku, bo musiałem się uczyć – wspomina. – Pierwsze dwa lata studiów były czasem bardzo intensywnej nauki. Na czwartym i piątym roku było dużo luźniej.

Może pierwsze lata są tak trudne, by – brzydko mówiąc – odpadły osoby nie dość zmotywowane?

– Coś w tym może być. Ale pandemia, przynajmniej na naszym roku, trochę to pokrzyżowała – uważa Michał. Zwykle na anatomii odpadali słabsi studenci. Jego rocznikowi, mówi, pomogło to, że egzamin z anatomii był online. Na egzaminie odbywającym się online możliwe jest ściąganie. – Nie jest to może zbyt odpowiedzialne – przyznaje student. Zaraz jednak zwraca uwagę na to, że często na egzaminach są pytani o rzeczy mniej ważne. – A pytania bywają ułożone tak, by wykluczyć kogoś, kto uczył się dużo, ale nie bardzo dużo – ocenia.

Ostrożnie z dokumentami

Oprócz wiedzy medycznej studenci przyswajają dobre rady lekarzy. – Słyszymy od nich byśmy byli bardzo ostrożni, pilnowali dokumentacji, bardzo dokładnie wypełniali papiery – mówi Michał.

Słyszał historie o lekarzach starających się uratować życie pacjentom, ostatecznie ponoszącym klęskę, którzy o to niepowodzenie byli obwiniani przez rodzinę zmarłego. Zaczynało się: sprawdzanie papierów, oskarżenia, sądy. Nie każdy to wytrzyma. Michał słyszał o lekarzach, którzy nie wytrzymywali. – Zacząłem myśleć o medycynie mniej jak o sztuce, a bardziej zbiorze reguł i wytycznych, których trzeba się trzymać. Ale może ta standaryzacja jest jednak dobra? – zastanawia się.

Odpowiedzialność czy stres jest dla niego ważnym czynnikiem wpływającym na to, jaką specjalizację wybierze. Alergologia jest bezpieczniejsza niż kardiochirurgia.

Michał dotychczas spotykał wykładowców i lekarzy „inspirujących, niesamowitych profesjonalistów, serdecznych, bardzo ciepłych ludzi". Nie może się ich nachwalić. – Oczywiście są i takie osoby, z którymi, mówiąc eufemistycznie, trochę trudniej jest się dogadać. Ale zazwyczaj spotykałem osoby pozytywnie albo neutralnie nastawione do studentów – wspomina.

Michał bardzo ceni zaangażowanych lekarzy. Wspomina zajęcia z doktorem Marcinem Śniadeckim. – Przemiły człowiek. Najpierw przygotował nas teoretycznie z badania ginekologicznego na fantomach. Następnie poszliśmy na oddział, by zbadać pacjentki.

– Godziły się, by badania przeprowadzali studenci?

– Doktor poświęcił nam czas, mieliśmy szansę przećwiczyć badanie na fantomach, czuliśmy się pewni, byliśmy pozytywnie nastawieni i sądzę, że ta nasza energia przeszła na pacjentki. Nie miały problemu z tym, by badali je studenci – przekonuje.

Michał chciałby zawsze się tak czuć – pewnie z tym, czego musi się nauczyć i że może pacjentowi pomóc. – Chciałbym, żeby lekarze nie zakładali, że wszystko, co robią i czego my musimy się nauczyć, jest takie superproste. Ich praktyka trwa kilkanaście czy kilkadziesiąt lat, więc dla nich pewne rzeczy są chlebem poprzednim, dla nas to nowość. Przygotowanie nas i poświęcenie nam czasu jest bardzo cenne. Większość z nas jest bardzo wdzięczna, gdy lekarze chcą nam dokładnie przekazać swoją wiedzę. Tego się nie zapomina, a niektóre nazwiska wciąż wspomina się po latach.

Rozmowa symulowana

– Przez pierwsze dwa lata nie mamy kontaktu z prawdziwym pacjentem, tylko z tzw. symulowanym na pojedynczych zajęciach – mówi Eliza, studentka piątego roku medycyny na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie.

Na pacjentach symulowanych studenci uczą się, jak rozmawiać z tymi prawdziwymi. Realizują konkretne scenariusze. To, jak mówi, przydaje się później w rozmowach z prawdziwymi pacjentami. Wtedy taka rozmowa wychodzi naturalniej. Nawet, jeżeli jest trudna.

– W trakcie studiów zdajemy sobie sprawę, że będziemy mieli do czynienia z pełnym przekrojem jednostek chorobowych. Przyzwyczajamy się do tego. Nabywamy obycia. Uczymy się reagować odpowiednio do konkretnej sytuacji – mówi Eliza.

Eliza jest z lekarskiej rodziny. Wiedziała czego się spodziewać. Wiedziała też, że to, co dzieje się w szpitalu, nie może wpływać negatywnie na jej dobrostan.

Kiedy szła na studia, miała konkretny plan na dalszą drogę zawodową. Endokrynologia lub dermatologia. To specjalizacje, które wybiera wielu absolwentów medycyny. Dostają się na nie osoby z najlepiej zdanym Lekarskim Egzaminem Końcowym (LEK). – Wyniki LEK-u determinują nie tylko kolejne sześć lat specjalizacji, ale właściwie resztę życia – uważa Eliza. Studenci podchodzą do tego egzaminu po ukończeniu szóstego roku studiów. Na UWM-ie Eliza będzie mogła sprawdzić się przed końcem studiów i już po piątym roku, o ile zaliczy go w całości, napisać LEK.

Mniej więzi między studentami

Teraz kiedy młoda kobieta poznaje życie na różnych oddziałach w szpitalu klinicznym, wie, że nie tylko ten plan A – z endokrynologią czy dermatologią – może ją uszczęśliwić. Interesujące są także inne specjalizacje – diabetologia, hematologia czy choroby zakaźne. – Mam znajomych, którzy rozpoczynali studia z myślą, że chcą być zabiegowcami, ale jak pochodzili na zajęcia, zobaczyli ich pracę, to zmieniali zdanie. Zdarzały się jednak sytuacje odwrotne. Student nie był zainteresowany jakąś specjalizacją, ale zmieniał zdanie po zajęciach w szpitalu, gdy pracę na konkretnych oddziałach. Rozmawiając z lekarzami, możemy podejmować bardziej świadome decyzje – zwraca uwagę studentka.

– Rodzice zachęcali do medycyny?

– Od najmłodszych lat podglądałam, jak pracują rodzice – tata anestezjolog, a mama dentystka – i członkowie dalszej rodziny. Chciałam studiować medycynę. Miałam obawy dotyczące sztucznej inteligencja czy nadprodukcji lekarzy na dużej liczbie uczelni medycznych. Doszłam do wniosku, że trudno prognozować, jaka będzie sytuacja za dekadę, nie tylko w medycynie, ale w każdej innej branży. I poszłam na medycynę. Presji ze strony rodziców nie czułam.

Zaskoczeniem było jednak to, że część studiów spędziła na nauce zdalnej. W pierwszym semestrze tylko dwa razy przyjechała z rodzinnej Łodzi do Olsztyna na zajęcia. Stacjonarne rozpoczęły się na drugim roku, ale i tak część odbywała się online. Wykłady stacjonarnie zaczęły się dopiero na trzecim roku. Na szczęście dla niej pandemia nie przypadła na czas zajęć na szpitalnych oddziałach.

Eliza do Olsztyna przyjechała tylko na studia. Jeszcze nie wie, dokąd ją poniesie. Jest to zależne od tego, gdzie dostanie się na specjalizację. Jeżeli miałaby trafić do powia-

eprasa.pl d6338e1d66

towego szpitala w mniejszej miejscowości, to musiałaby być ona dobrze skomunikowana z większymi ośrodkami. A jeżeli to się nie uda – pomyśli o innej specjalizacji. Byle nie trafić na koniec świata.

Życie to nie tylko praca

Zuzanna, studentka szóstego roku na GUM-edzie, w ubiegłym roku robiła wakacyjne praktyki w Lęborku i w Pucku. Tegoroczne spędziła na oddziale anestezjologii i ginekologii w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym, w którym ma zajęcia na co dzień. – W dużym ośrodku klinicznym jest zupełnie inne wsparcie. Cokolwiek nie działoby się z pacjentem mamy dostęp do specjalistów przez całą dobę. Bez problemu zrobimy rentgen, zlecimy konsultację. Coraz częściej na oddziałach zatrudniani się psycholodzy i fizjoterapeuci. Możemy pomagać pacjentom holistycznie. W małych szpitalach można mieć wrażenie, że robisz dla pacjenta wszystko, co w twojej mocy, a to i tak za mało. Bo nie ma takiego czy innego specjalisty, brakuje sprzętu, laboratorium, zepsuł się jedyny rentgen, na opis trzeba czekać. Mam wrażenie, że tam jest po prostu wszystko robione trochę gorzej – uważa studentka.

Zuzanna nie chce wyjeżdżać z Gdańska. Nie tylko ona. Studia medyczne trwają długo. Na tyle długo, że część osób ma już poukładane życie – partnerów, a oni mają pracę, przyjaciół czy mieszkanie – którego nie chce zmieniać. Jeżeli nie dostanie się na wymarzoną specjalizację, prędzej poczeka rok lub pójdzie na inną niż wyjedzie.

Wymarzoną specjalizacją Zuzy jest dermatologia lub endokrynologia. Początkowo chciała być kardiolożką, ale po obserwacji pracy kardiologów i rozmowach, stwierdziła, że to nie dla niej. – Na każdym dyżurze, który zresztą jest zazwyczaj nieprzespany, lekarz może musieć walczyć o życie pacjenta. Nie zawsze tę walkę wygrywa – mówi studentka.

Jest bardzo wrażliwa. Obawia się przynoszenia stresu i negatywnych emocji związanych z pracą do domu. Tego, że bycie kardiolożką zawładnęłoby jej życiem całkowicie. A ona chce mieć życie poza szpitalem. Dom. Rodzinę. Nie chce całkowicie poświęcać się pracy. Musi wybrać spokojniejszą specjalizację.

Pani z rakiem płacze

Niezależnie od wyboru specjalizacji mogą ją czekać trudne rozmowy z pacjentami. Do nich studia nie przygotowują. Takie rozmowy Zuzanna może podejrzeć w szpitalu. – Niektórzy mają umiejętności miękkie, inni nie. Na studiach ich nie zdobywamy. Program studiów nie kładzie nacisku na to, jak powinniśmy rozmawiać z pacjentami, zachować się w trudnej sytuacji. A przecież komunikacja z pacjentem, nie tylko wiedza kliniczna, też jest istotna – zauważa.

Pamięta zajęcia na onkologii kobiecej, na którym leżały głównie pacjentki z rakiem jajnika. Jej grupa, cztery studentki, dostały zadanie – przeprowadzić wywiad medyczny z pacjentkami. Jedna z nich dowiedziała się właśnie o kolejnym przerzucie. – Ta pani ciągle płakała. Nie była w stanie opowiedzieć nam o chorobie. Przepraszała, że płacze, ale trudno jej się dziwić. Nie wiedziałyśmy, co mamy zrobić. Chciałyśmy dać jej spokój, nie męczyć, ale z drugiej strony miałyśmy zadanie do wykonania. Lekarzy nie za bardzo obchodzi stan psychiczny pacjentki albo to, że z jakichś przyczyn nie chce z nami rozmawiać. Jest zadanie i trzeba je wykonać.

– Często się zdarza, że pacjenci nie chcą z wami rozmawiać?

– Tak, ale wtedy taka osoba dostaje informację, że leży w szpitalu klinicznym, więc musi rozmawiać ze studentami. Inaczej nie będzie leczona.

Opowiada o sytuacji, którą widziała na onkologii. – Starsza, doświadczona lekarka poinformowała pacjentkę o podejrzeniu nowotworu trzonu macicy. Pacjentka zapadła się w sobie. A lekarka cudownie potrafiła ją przeprowadzić przez tą pierwszą wizytę. Pacjentka wyszła z gabinetu z siłą i nadzieją – wspomina Zuzanna.

FOT. MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Michał, student szóstego roku, nie ukrywa, że na egzaminie odbywającym się online możliwe jest ściąganie

Dorota chciała wyjechać z Polski, ale po zagranicznych praktykach doszła do wniosku, że bycie lekarzem we Włoszech jest nieopłacalne

Nauka pobrania krwi online

Zuzannie podoba się praca w szpitalu. Nieustanny ruch. Kontakt z ludźmi. Rozmowy. Niesienie pomocy. W pracy biurowej sobie nie widzi. Ale nie jest tak, że medycyna była jej marzeniem od zawsze. Do studiowania zainspirowała ją rozmowa z przyjaciółką mamy, która jest lekarką i opowiadała, że mimo wielu przepracowanych lat praca wciąż daje jej radość. Zuzanna uznała, że spróbuje i nie żałuje. Ale ma przemyślenia na temat studiowania medycyny. Wylicza: – Mało zajęć praktycznych. I to w przypadku każdego z przedmiotów. W szpitalach lekarze zazwyczaj nie mają czasu, by się w stu procentach zająć studentami. A i sami pacjenci nie zawsze chcą, byśmy coś przy nich robili. Za mało uczymy się podstaw. Dopiero na piątym roku mieliśmy zajęcia z medycyny rodzinnej. A już na drugim mieliśmy z niej praktyki! Nie byliśmy do nich przygotowani. To było bez sensu. Na laryngologii w UCK mamy przypadki nowotworu krtani, ale nie mamy podstawowych rzeczy, jak np. zapalenia ucha. Śmiejemy się, że potrafimy leczyć rzadki nowotwór, ustalić dawki radioterapii, a nie wiemy, jak wyleczyć zapalenia ucha czy anginę.

– Potrafisz pobrać krew?

– Krew uczyliśmy się pobierać online. Z powodu pandemii. Mój rocznik część pierwszego i drugiego roku uczył się online. Dopiero na praktykach z pielęgniarstwa mieliśmy szansę spróbować na pacjencie, a to też nie każdy, bo zależy, gdzie kto trafił. Wiadomo, że na oddziałach pediatrycznych nikt nie da studentowi pobrać krwi od dziecka. To trzeba zrobić delikatnie – mówi Zuzanna.

Po pierwszym roku trafiła na praktyki na oddział ratunkowy. Pobierała krew, zakładała wenflony. Od tego czasu robiła to raz czy dwa. Gdyby musiała pobrać krew, zrobiłaby to, ale nie wie, czy byłoby to dla pacjenta komfortowe. – Mam wrażenie, że lekarze za bardzo nie mają umiejętności pielęgniarskich. Na studiach nie ma czasu, by nas tego uczyć – podsumowuje.

Pasjonujące stany nagłe

Patrycja Piłat LEK ma za sobą. Na Śląskim Uniwersytecie Medycznym w Katowicach mogła pisać go podczas sesji wiosennej. Wynik chce poprawić. To popularna praktyka. Każdy punkt jest cenny. – Im więcej punktów, tym lepiej. Są specjalizacje deficytowe, czyli takie, na które studenci chcieliby się dostać najbardziej. Pula miejsc rezydenckich przyznawana przez ministerstwo jest dość mała. Jest duża konkurencja. Im wyższy wynik się uzyska, tym bezpieczniej można się czuć, że rzeczywiście można będzie dostać się na wymarzoną specjalizację – tłumaczy.

Patrycja równolegle chce robić szkołę doktorską i specjalizację z kardiologii dorosłych. Pociąga ją myśl o możliwości uratowania życia, ale i stany nagłe jak zawały.

Wie jednak, że nie zawsze życie uda się uratować. Czasem będzie trzeba przekazać pacjentowi lub jego rodzinie smutną nowinę. I tego się boi. Na studiach miała zajęcia z komunikacji z pacjentem, ale nie było ich wiele. – Nikt nie jest przygotowany na taką pierwszą sytuację. W teorii wiemy, jak powinniśmy się zachować przy przekazywaniu złych czy niekorzystnych wiadomości, ale nas to też dotyka. Nie będą to łatwe sytuacje – przyznaje.

Studia ma już w zasadzie za sobą. Będzie je wspominać dobrze, „najlepszy czas w życiu". – Poziom nauczania wysoki, wiele godzin praktycznych, ale ich mogłoby być jeszcze więcej – ocenia, ale zaraz dodaje: – Tylko, że za tym musiałoby iść ogólnopolskie finansowanie uczelni medycznych. Chociażby lepsze stawki godzinowe dla asystentów lekarzy. I przede wszystkim należałoby więcej ich zatrudniać, by mogli oni mieć z nami zajęcia w mniejszych grupach klinicznych, takich dwu- trzy-, a nie sześcioosobowych. To pozytywnie wpłynęłoby na ilość naszych interakcji z pacjentem i możliwość wykonywania procedur.

Trening emocjonalny

Dorota, obecnie na szóstym roku medycyny w Gdańsku, chciała po studiach wyjechać z Polski. Żyć w innym klimacie, posługiwać się innym językiem. Pracować w kraju, który docenia lekarzy. Myślała o Włoszech, bo jest z nimi związana rodzinnie. Miała tam praktyki, rozmawiała z lekarzami. Doszła do wniosku, że bycie lekarzem we Włoszech jest nieopłacalne. Więc co dalej? Tego jeszcze nie wie.

Każdego nowego tygodnia przekonuje się o tym, co jej odpowiada, a co nie. Interesuje ją chirurgia lubi być na tym bloku, ale wie, że to nie dla niej. Odpada także onkologia. Za bardzo naznaczona śmiercią. – A może jestem za mało w tym kierunku wykształcona? – zastanawia się. Zaraz jednak dodaje, że rozmowa z pacjentami czy ustalanie terapii, to dla niej za dużo. Emocjonalnie. Nie wie, czy dałaby radę latami prowadzić pacjentów i się nie wypalić. Już po zajęciach w szpitalu na onkologii czuła, że jest jej ciężko psychicznie. Dorota uważa, że na taką specjalizację powinny iść osoby, które będą w stanie dźwignąć i siebie i pacjenta.

– Te lata studiów, które spędzamy na oddziałach, traktuję trochę jak trening emocjonalny i psychiczny, naukę radzenia sobie z emocjami. Oczywiście skupiam się na kwestiach klinicznych, wykonywaniu badań, na samym pacjencie, ale w tym czasie mogę także uczyć się, jak zarządzać własnymi emocjami. Muszę zająć się pacjentem jak osobą, którą mogę wyleczyć, a nie osobą którą znam lub mogłabym znać. Oddzielić człowieka od operacji. Od działania. Chodzi o to, że jestem w stanie zadać mu jakąś krzywdę, żeby go wyleczyć. To dla mnie najważniejsza rzecz. Jedna część mojego mózgu zajmuje się tym, a druga kwestiami medycznymi – mówi.

Niespodziewana przemoc

Na pierwszym roku studenci mają zajęcia z anatomii na ciałach oddanych nauce. – Kiedy zmierzymy się z tym na początku, to każda kolejna rzecz, która nas później czeka, nie jest aż tak przerażająca – ocenia.

Na trzecim studenci uczestniczą w sekcjach zwłok. – One nie robiły na mnie aż takiego wrażenia. Powtórka z anatomii. Ale medycyna sądowa, którą mamy na piątym roku, uderza człowieka. I zostawia dużo pytań – Dorota zawiesza głos. – Widzimy ofiary przemocy, wypadków czy samobójców. Ciała w różnym stanie. Widać, że przeszły coś bardzo złego. No i to bardzo porusza, gdy widzimy osoby w naszym wieku. Zupełnie inaczej ogląda się wykłady czy seminaria z medycyny sądowej, gdzie pokazują nam jak odróżnić uderzenie narzędziem tępym albo ostrym, inaczej jak to widzimy w jakimś serialu kryminalnym, a jeszcze inaczej, jak taką ranę widzimy przed sobą, na ofierze. Zderzamy się wtedy z bardzo dużą przemocą. Taką, jakiej nie spodziewałam się spotkać na studiach – kontynuuje.

Nie ma czasu na żałowanie

Dorota po maturze wybrała wiele kierunków okołomedycznych. Także na zagranicznych uczelniach. Ostatecznie wybrała medycynę. – Chciałam, by ludzkie ciało nie miało przede mną żadnych tajemnic – tłumaczy. Na medycynę poszła także z chęci pomocy ludziom. Wyboru nie żałuje.

– Jest wiele zajęć niepotrzebnych – mówi o sposobie uczenia medycyny. – I wszy-

eprasa.pl d6338e1d66

scy, my i prowadzący, wiedzą, że są na nich treści, których nie musimy pamiętać, nie przydadzą nam się, ale martwimy się tym, czy wykujemy je na pamięć, czy zaliczymy przedmiot. Na początku za bardzo się stresowałam studiowaniem, by o tym myśleć. Medycyna trwa sześć lat, kiedyś trwała cztery, jeszcze w szkole średniej były nauki przedkliniczne i myślę, ze to miało sens. Teraz, pierwszy, drugi i trzeci rok, studenci spędzają od 8 do 19 na zajęciach. Mamy przedmioty od biologii molekularnej, przez socjologię, biofizykę i chemię medyczną. Do tego anatomia, histologia, wszystko się miesza. A na kolejnych latach mamy zajęcia od 8 do 12, a nawet do 11. Te zajęcia faktycznie uczą nas kruchej sztuki, jaką jest medycyna. Czasem się zastanawiam, czy ja rzeczywiście musiałam się z tak wieloma przedmiotami męczyć? Bywało, że wchodziliśmy na jakieś zajęcia, a prowadzący mówił nawet, że my w przyszłości nie będziemy się tym zajmować, ale mamy teraz z tego roczny kurs.

Empatyczni i profesjonalni

Kamil, student piątego roku medycyny w Katowicach, nie martwi się jednak o to, że jego wrażliwość wpłynie negatywnie na życie poza pracą. – Empatycznym też trzeba być wobec siebie. W domu wyłączać trudne emocje przeżywane podczas zajęć – tłumaczy. Ma nadzieje, że on i jego koledzy, będą lekarzami empatycznymi, ale i profesjonalnymi, że będzie im przyświecał jeden cel – pomoc choremu.

Kamil chce być psychiatrą. Zajęcia na oddziale psychiatrycznym będzie miał na szóstym roku. Jednak przebywał już na nim w ramach działalności koła naukowego. Cenne doświadczenie, które utwierdziło go w tym, że psychiatria to jest właśnie to. – Zdrowie psychiczne pacjenta jest równie ważne jak zdrowe serce czy układ pokarmowy – zapewnia.

Kamil to kolejny student, który załapał się na naukę online. Powrót na uczelnie był wyczekiwany. Można było spotkać się w większym gronie, uśmiechnąć się do siebie na żywo, a nie przez ekran. I na żywo poznać wykładowców.

Na drugim roku w sali ćwiczeniowej co tydzień podchodził do otwartego testu z biochemii. Studenci mogli uzyskać z niego maksymalnie dziesięć punktów. I tak przez okrągły rok. Na koniec pisali kolejny – już wtedy egzamin składający się z trzech części. To ile procent otrzymywali z mniejszych testów, zwanych wejściówkami, decydowało o tym, czy wykładowca dopuści ich do egzaminu. To najbardziej stresujący dotychczas przedmiot i egzamin.

Bardziej stresujący będzie Lekarski Egzamin Końcowy. – On z pewnością będzie bardzo trudny, bo będzie obejmował to, czego nauczyliśmy się przez sześć lat studiów. Choć uważam, że jego nazwa jest dziwna. LEK niczego nie kończy, ale rozpoczyna drogę lekarza – zauważa.

Trzeba oddzielić człowieka od choroby

Maria, właśnie rozpoczęła szósty rok nauki na medycynie w Olsztynie. Od początku studiów myślała o specjalizacji zabiegowej – urologii lub ginekologii i położnictwie. Zainteresowania rozwija w kole studenckim, na zajęciach i praktykach. Udało jej się dostać na indywidualne praktyki na ginekologii. Tylko ona i lekarze. W ciągu dwóch tygodni stała na asyście do blisko 12 zabiegów. Także laparoskopowych.

Na sali operacyjnej, mówi, panuje poczucie odseparowania osoby od jej choroby. Liczy się zabieg, który ma pomóc pacjentowi. Na tym trzeba się skupić. – Nie można podchodzić do pacjentów zbyt emocjonalnie, bo w ten sposób można po prostu się wypalić zawodowo – mówi studentka.

Na oddziale nauczyła się wiele. Przygotowywała pacjentki do zabiegów, podpatrywała operacje, pomagała w nich, zbierała wywiad medyczny, uczestniczyła w badaniach ginekologicznych i fizykalnych. To cenniejsze niż nauka z podręcznika.

Tak klinicznie, uważa, powinno się uczyć również farmakologii. – Lepiej zapamiętamy leki, dawki czy zastosowanie, gdy pacjenta zobaczymy – tłumaczy.

Maria na pytanie o to, czy będzie dobrze wspominała wykładowców, odpowiada dyplomatycznie. – Wydaje mi się, że większość naszych wykładowców to dobrzy nauczyciele. Każdy student ma inny charakter i styl nauki, co może wpływać na sposób, w jaki odbieramy zajęcia, ale przez to, że jest nas niewielu, w większości nauczyciele nas kojarzą. Mają bardziej indywidualne podejście do studenta. Ale to też nie zawsze jest na korzyść – zapewnia.

Dotychczas najtrudniejszy był dla Marii egzamin z fizjologii. Dwustopniowy. Najpierw pisemny, później ustny. Egzamin był nie tylko stresujący ze względu na treść, ale także przez to, że był pierwszym, który odbywał się stacjonarnie po lockdownie.

Maria boi się wypalenia zawodowego. Tego, że kiedyś popełni błąd. I niewdzięczności ludzi. Tego, że pacjent będzie dla niej niemiły, bo on został kiedyś źle potraktowany przez lekarza.

Studentka chce się rozwijać i pomagać ludziom. Moja mama zawsze, jak wychodzi niezadowolona z wizyty od lekarza, to mówi mi, że chciałaby, żebym była lepszym lekarzem. Więc ja po prostu chciałabym być lepszym lekarzem.

Ekscytujący pierwszy raz

Maksymilian, student trzeciego roku medycyny na Śląskim Uniwersytecie Medycznym w Katowicach, głównie siedzi w książkach. – Na pierwszym roku mamy biologię molekularną, anatomię, histologię. Wszędzie jest tylko teoria. Żadnych zajęć praktycznych. To może przytłaczać. Jak ktoś się dostał na tą medycynę, to liczy, że zobaczy pacjenta, a tu trzeba poczekać – mówi.

Z kolei Maksymilian już na początku poczuł, że jest na właściwym miejscu. Na praktykach, po pierwszym roku, się w tym utwierdził. Trafił na oddział chirurgii rekonstrukcji ruchu w Szpitalu Wojewódzkim w Tychach. Wciąż, a minął już ponad rok, z ekscytacją opowiada o pierwszej operacji, w której uczestniczył. Chodziło o uwolnienie troczka w prawej ręce u pacjentki. – Niesamowite uczucie. Najpierw musiałem się przygotować, założyć fartuch, czepek i pamiętać, by niczego przypadkiem nie dotknąć. Jest zupełnie inna atmosfera. Miałem to szczęście, że tą operację przeprowadzał ordynator oddziału. Ale to nie jest dla każdego. Zdarzają się omdlenia – zwraca uwagę i wspomina pierwszy zabieg, w którym uczestniczył: jego kolego źle się poczuł i zemdlał.

Niepokojące przepisy

Maksymilian boi się, że popełni błąd. Nawet jak w celach dydaktycznych lekarz zadawał mu pytanie, to odpowiadał z dużą dozą niepewności. Martwi się nawet nie tego, że rzeczywiście popełni błąd, ale że jego działanie tak mogłoby zostać zinterpretowane. Obawia się tego, że przez nieznajomość jakiegoś przepisu, w ferworze ratowania życia, kiedyś oberwie. – Im więcej się pojawia przepisów, tym więcej się pojawia pytań związanych z tymi przepisami i trzeba się na nich skupiać, a nie na medycynie – mówi.

Medycynę wybrał, by pomagać ludziom. – Sprawia mi to niesamowitą przyjemność. Tego uczucia nie da się po prostu opisać – zachwyca się. Opowiada o tym, jaką radość sprawia mu nawet pomoc przy zakładaniu gipsu. – Później widzi się pacjenta, który czuje się lepiej i to jest cudowne doświadczenie – opowiada. – I to, co dla mnie także jest ważne, w medycynie nie ma nudy. Ciągle coś się dzieje – dodaje.

– To może emocjonalnie drenować.

– Nie wszystko jest dla każdego. Trzeba się zastanowić nad swoim podejściem zawodu, nad wyborem specjalizacji. Jeżeli źle się działa w stresie, to bez sensu iść na chirurgię, lepiej do przychodni.

W wakacje miał tygodniowe praktyki na Izbie Przyjęć w Szpitalu Wojewódzkim w Tychach. Kolejne trzy tygodnie spędził na praktykach z medycyny rodzinnej w przychodni w Chorzowie. – Tegoroczne praktyki, pokazały mi jak bardzo osoby starsze potrzebują naszego wsparcia. Widziałem często samotność, smutek i przerażenie w oczach samotnych osób trafiających na Izbę Przyjęć czy też do przychodni. Potrzebowali czasami zwykłej rozmowy – wspomina.

– Praktyki są od tego byśmy zobaczyli każdą dziedzinę medycyny. Warto poznać więcej dziedzin niż te, które nas interesują – dodaje. Bo może się okazać, że to, co ich interesowało nie jest jednak dla nich. Ale dużo zależy od tego na jakiego dydaktyka trafi. Maksymilian: – Jestem przykładem sztampowego studenta medycyny, który na pierwszym roku przyszedł i powiedział: chirurgia. To częsty wybór studentów. A później się z tego wycofują.

Wybór specjalizacji jak ślub

– Im dłużej studiuję, tym trudniej wybrać mi specjalizację – przyznaje Ewa, studentka szóstego roku medycyny na GUM-edzie. – Odwiedzamy różne oddziały, podglądamy, jak wygląda praca na danych blokach i to nam dużo mówi o danej specjalizacji, ale musimy wziąć też poprawkę na osobę prowadzącego. Jeżeli będzie fajny, będzie dobrym dydaktykiem, z którym złapiemy wspólny język, to pokaże nam swoją dziedzinę w lepszym świetle niż ten, który nie do końca będzie zainteresowany nauczeniem nas czegoś. Wtedy niesłusznie dana specjalizacja może przestać nas interesować – uważa.

To jaką specjalizację się wybierze, ocenia studentka, zależy także od tego, jakie chce się mieć życie – czy chce się dużo dyżurować, jak dużo odpowiedzialności chce się mieć i można udźwignąć, czy w perspektywie znajduje się otworzenie prywatnego gabinetu czy praca na SOR-ze. – Wybór specjalizacji jest trochę jak ślub – podsumowuje Ewa.

Ewa nie wie, jaką specjalizację chce wybrać, ale ten wybór nie powinien przysłonić jej całego życia. – Nie chcę być stereotypowym lekarzem, którego dzieci są pierwsze w żłobku, ale siedzą w nim najdłużej. Chciałabym prowadzić własny dom, z dziećmi czy bez nich, po prostu mieć w życiu równowagę. Unieść wybór, którego dokonam – tłumaczy.

Słodki zapach elektrokoagulacji

– Niektórzy uważają, że jest sporo przedmiotów-zapychaczy, takich jak np. orzecznictwo lekarskie i organizacje w ochronie zdrowia. Przedmiot bardzo teoretyczny – mówi studentka. Ona stara się zainteresować każdym przedmiotem i w każdym dostrzec coś przydatnego.

Zapach elektrokoagulacji, czyli przypalanie tkanek, by zatamować krwawienie, ma słodkawy zapach. Specyficzny. Wierci w nosie. Jest nieprzyjemny. Niekomfortowy. Ale nie robi takiego wrażenia, jak zajęcia w prosektorium na pierwszym roku. Studenci wchodząc na te zajęcia widzą napis: „Hic mortui docent vivos" („Tu umarli uczą żywych"). – To zawsze robiło na mnie ogromne wrażenie. Zawsze byliśmy pouczani do tego, by mieć szacunek do tych preparatów, tego, co zostało z tych osób, które podarowali swoje ciała nauce – przypomina sobie Ewa.

Po prosektorium przyszedł czas na medycynę sądową. Trudne doświadczenie. – Ale nie przez prowadzących ani nie przez to, że ktoś w naganny sposób potraktował zwłoki – zastrzega.

Zajęcia rozpoczynały się przebraniem się w odzież ochronną. Następnie lekarz zabierał studentów na salę oględzin. Oglądali zwłoki, a lekarz czytał, w jakich warunkach zostały znalezione, co miały przy sobie. Zmarli byli ubrani w to, w czym zostali znalezieni.

To dla Ewy był szok. – Na trzecim roku mieliśmy zajęcia z patomorfologii, ale na stole leżały nagie zwłoki. To mi pomagało. Bo gdy widziałam zmarłych w ich ubraniach, takich bardzo ludzkich, to było to dla mnie bardzo ciężkie. Te zwłoki trzeba rozebrać. Przetrwałam te oględziny. Potem wyszliśmy na przerwę. Zaczęłam płakać. Nie byłam w stanie wrócić do sali – wspomina.

> Oglądali zwłoki, a lekarz czytał, w jakich warunkach zostały znalezione, co miały przy sobie. Zmarli byli ubrani w to, w czym zostali znalezieni. To dla Ewy był szok

Było jej głupio, że jako jedyna z dwudziestoczteroosobowej grupy tak zareagowała. W środku specyficzne zapachy, trudne do wytrzymania, ale nie czuła obrzydzenia. To emocje były trudne. Bezbronność związana ze śmiercią.

Na korytarzu z Ewą została jej koleżanka i jej chłopak. Studentka pozbierała się. Wróciła do sali. Uczestniczyła do końca w sekcji zwłok.

Ewa wspomina jeszcze zajęcia z otolaryngologii. Na zwłokach studenci mogli dokonywać nacięć i procedur laryngologicznych. To było dla Ewy łatwiejsze, bo ciała były zasłonięte. Jedynym odsłoniętym obszarem był ten, na którym studenci mieli ćwiczyć. Ewa postawiła sobie za cel, że da radę. I dała.

– W rodzinie mieliśmy śmierć młodej osoby i myślę, że to wpłynęło na to, jak patrzę na niektóre procedury, na odchodzenia człowieka – mówi. Sądzi, że osoby, które doświadczyły w rodzinie choroby czy śmierci, a wybierają medycynę, mają trochę inną wrażliwość.

Ona nie wybrała medycyny, bo jest wrażliwa.

Zawsze dobrze się uczyła. Kompletnie nie wiedziała, co chce robić w życiu. Zdawała międzynarodową maturę. Miała dużo możliwości. Zdawała do szkoły aktorskiej, przyjęto ją na filologię angielską, romańską, prawo. Ojciec Ewy poradził jej medycynę. Bo bycie lekarką to bardzo dobry zawód, dający kobiecie niezależność finansową i pewność, że zawsze do zawodu może wrócić. W dodatku medycyna jako rozległa dziedzina daje wiele możliwości, więc na pewno coś dla siebie znajdzie. Ewa więc poszła na medycynie i już na niej została. – Rozmawiałam z moimi znajomymi, rozglądałam się wokół i widziałam, jak trudno jest w tak młodym wieku od razu znaleźć swoje miejsce. Uznałam, że zawód lekarza to rozsądny pomysł. – tłumaczy. Niektórzy mają powołanie, idealistyczną wizję zawodu. Ona tego nie miała. – Mam za to głęboko zakorzenione poczucie odpowiedzialności. I nie wiem, czy to nie jest nawet ważniejsze niż powołanie, bo pozbawione jest egocentrycznego elementu. ●

• Imiona niektórych osób występujących w tekście zostały na ich prośbę zmienione.

eprasa.pl d6338e1d66

ŚWIAT

Anne Applebaum

WYBIERZMY NASZĄ EUROPĘ

Kreml ma więcej amunicji i więcej czołgów. Ukraińcy mają więcej pomysłów

SPOTKAŁAM INŻYNIERÓW, WYGRAJĄ W

Przeciętny parking podziemny pod niczym niewyróżniającym się budynkiem w jednym z miast gdzieś w Ukrainie, dziesiątki małych kutrów rybackich, tylko że bez okien, ustawionych w rzędach. Z innego pomieszczenia dobiega hałas pracujących maszyn, tam właśnie grupa mężczyzn montuje coś z metalu i drutu. Nawet nie spojrzeli na mnie, gdy weszłam tam niedawno o poranku. I trudno się dziwić. To fabryka dronów morskich, a ci ludzie to jedni z najlepszych inżynierów w Ukrainie. Uwijają się przy produkcji bezzałogowych jednostek pływających, które zmieniają bieg tej wojny. Takie drony są wypełnione materiałami wybuchowymi, naprowadzane wyrafinowanymi systemami zdalnej nawigacji, a w przyszłości mogą nawet zmienić sposób prowadzenia wszelkich działań wojennych na morzu.

Oczywiście technologia dronów morskich rozwija się bardzo szybko. Rok temu byłam w niewielkim warsztacie, który produkował pierwsze ukraińskie modele tych maszyn. Jeden z inżynierów opisywał wtedy, jakie pierwsze sukcesy udało się wówczas osiągnąć przy ich pomocy: atak, który pozwolił unicestwić ważny rosyjski okręt wojenny, uszkodzić łódź podwodną i uderzyć w inne jednostki pływające.

Od tego czasu drony morskie samopas lub razem z dronami latającymi czy rakietami zatopiły lub uszkodziły ponad dwadzieścia okrętów. To chyba najlepszy w historii przykład sukcesu asymetrycznych działań wojennych. Koszt ukraińskich dronów to około 220 tys. dolarów za sztukę; wartość wielu rosyjskich okrętów wojennych to setki milionów dolarów. Wpływ tej technologii na działania wojenne jest zatem ogromny. Aby uniknąć ukraińskich ataków, rosyjskie okręty w większości opuściły bazę główną w okupowanym porcie w Sewastopolu na Krymie i przeniosły się dalej na wschód. Już nie patrolują ukraińskiego wybrzeża. Nie mogą zatrzymać ukraińskich statków, które transportują zboże i inne towary na światowe rynki. Ukraińska wymiana handlowa wraca do poziomu sprzed wojny. I nie zaszkodzi powtórzyć: Ukraina, kraj w zasadzie bez marynarki wojennej, pokonała rosyjską flotę czarnomorską.

A zdolności Ukrainy w dziedzinie asymetrycznych działaniach wojennych nie ograniczą się tylko do działań na morzu. Podczas ostatniej podróży odwiedziłam inną piwnicę, gdzie inny zespół Ukraińców też pracował nad zmianą przebiegu wojny – i też może nawet przebiegu wszystkich kolejnych konfliktów zbrojnych.

Pozwolono mi przyjrzeć się ich pracy pod warunkiem, że nie zdradzę lokalizacji ani nie wskażę osób w nią zaangażowanych. W tym zakładzie nie było maszyn, silników, głowic, to było pomieszczenie pełne ekranów komputerowych. Mężczyźni i kobiety siedzący przed tymi ekranami byli ubrani po cywilnemu, ale tak naprawdę są żołnierzami, członkami specjalnej jednostki armii ukraińskiej stworzonej, by wdrażać eksperymentalne technologie komunikacyjne w powiązaniu z eksperymentalnymi dronami. Obie technologie opracowują Ukraińcy na rzecz Ukrainy.

Ten zespół, powiązany z wieloma oddziałami na linii frontu, jest częścią zarówno ofensywy, jak i defensywy. Od momentu powstania w kilka miesięcy przeprowadził 2400 ataków zbrojnych i zniszczył ponad 1000 celów, w tym czołgi, pojazdy opancerzone do przewozu wojska, samochody ciężarowe i elektroniczne systemy wojenne – informuje jeden z dowódców.

I fabryka dronów morskich, i ten zespół działają na zupełnie inną skalę, niż jednostki dronowe na linii frontu, których pracy przyglądałam się całkiem niedawno. W 2023 r. spotkałam się z małymi zespołami mężczyzn konstruujących drony w garażach. Używali materiałów, które z grubsza i zwięźle można określić „patyki i klej". Tu wygląda to zupełnie inaczej. Zespół widzi na ekranach obrazy z niemal całej linii frontu jednocześnie, może na bieżąco dostosować narzędzia i taktykę do rozwoju sytuacji, a nawet błyskawicznie zaprojektować nowe drony pasujące do zmieniających się potrzeb armii.

Inny dowódca powiedział mi, że zespół pracuje „przekrojowo", przez co rozumie, że jego członkowie bezpośrednio koordynują działania z innymi grupami w terenie, pomijając hierarchię służbową: „Trzy lata doświadczeń nauczyły nas, że na pewno będziemy działać wydajniej, jeśli będziemy robić to sami – samemu koordynując nasze działania z innymi, którzy mają możliwości, motywację i rozumieją zachodzące procesy".

„Przekrojowy" to termin, który opisuje wiele udanych ukraińskich projektów, zarówno wojskowych, jak i cywilnych. Również tych oddolnych. Może nawet lepiej pasowałoby – „poziomy". Bo, innymi słowy, Ukraińcy radzą sobie lepiej, gdy sami się organizują; idzie im gorzej, gdy próbują działać w sposób skoordynowany pod jednym dowódcą. Niektórzy twierdzą, że właśnie to zwiększa ich odporność. Albo, jak ujął to jeszcze inny członek zespołu, Rosja nigdy nie będzie w stanie zniszczyć centrum decyzyjnego w Ukrainie, „ponieważ nie wszystkie decyzje są podejmowane centralnie".

Zdaję sobie sprawę, że te doniesienia zasadniczo różnią się od innych, bardziej tragicznych historii napływających z Ukrainy. W ostatnich tygodniach rosyjskie bomby i artyleria niszczą Pokrowsk, centrum logistyczne, które od dekady stanowi część linii obrony Doniecka. Rosjanie kontynuują regularne naloty na ukraińską sieć energetyczną. Powtarzające się ataki na ludność cywilną to nie przypadki, ale taktyka wojenna. Władimir Putin stara się pozbawić Ukraińców ogrzewania i światła, by zachwiać morale ludności, ale także i rządu, a może nawet sprowokować nową falę uchodźców, która zdestabilizuje politykę europejską.

„Nieprzekraczalne granice" w wojnie z Rosją istnieją wyłącznie w naszych głowach. A w świecie realnym każda z nich została już przekroczona

Rosja wciąż jest większym i zasobniejszym krajem. Kreml ma więcej amunicji, więcej czołgów i nie ma problemu ze swobodnym rozporządzaniem życiem obywateli. Prezydent Rosji nie przejmuje się stratami w ludziach czy sprzęcie tak wielkimi, że żaden inny kraj by ich nie zaakceptował. Jednak Ukraińcy wciąż wierzą w możliwość wygranej – gdyby tylko amerykańscy i europejscy sojusznicy im na to pozwolili.

Po dwóch i pół roku konfliktu stwierdzenie, że nie pozwoliliśmy Ukrainie wygrać, może zabrzmieć nieco anachronicznie. W końcu od początku wojny wspieramy Ukrainę, przekazując broń i niosąc pomoc w innej formie. Ostatnio prezydent Joe Biden ponownie podkreślił swe poparcie dla Ukrainy na posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych. „Dobra wiadomość jest taka, że wojna Putina nie zrealizowała swego zasadniczego celu" – powiedział. Ale – dodał – „świat musi teraz dokonać kolejnego wyboru: czy będziemy kontynuować nasze wsparcie, aby pomóc Ukrainie wygrać tę wojnę i zachować wolność, czy też odejdziemy i pozwolimy na zniszczenie tego narodu? Nie możemy pozwolić sobie na zmęczenie, to nie jest właściwa droga".

W nadziei, że przeciągnie więcej Amerykanów na swoją stronę, Wołodymyr Zełenski spędził większość ubiegłego tygodnia w Stanach Zjednoczonych. Odwiedził fabrykę amunicji w Pensylwanii. Spotkał się z Donaldem Trumpem i z wiceprezydentką Kamalą Harris. Ukraiński prezydent przedstawił również plan zwycięstwa, który – między innymi – przewidywał, że Ukraina będzie mogła używać amerykańskich i europejskich rakiet dalekiego zasięgu, by uderzać w cele wojskowe w głębi Rosji. To już znany nam postulat. Na

eprasa.pl d6338e1d66

KTÓRZY OJNĘ

każdym etapie wojny Ukraińcy i ich sojusznicy organizowali kampanie, by pozyskać nową broń – czołgi, myśliwce wielozadaniowe F-16, rakiety dalekiego zasięgu, których potrzebowali, by nie dysponując przewagą ilościową, utrzymać przewagę technologiczną.

Za każdym razem prośby te spotykały się w końcu z pozytywną odpowiedzią. Lecz czasami zbyt późno, by to coś jeszcze mogło zmienić. Gdyż za każdym razem urzędnicy w Stanach Zjednoczonych, Niemczech i innych mocarstwach Zachodu twierdzą, że ta czy inna broń poskutkuje przekroczeniem którejś z nieprzekraczalnych granic. I znów pojawia się ta sama argumentacja, za każdym razem tak samo bezprzedmiotowa.

Ponieważ te nieprzekraczalne granice istnieją wyłącznie w naszych głowach. A w świecie realnym każda z nich została już przekroczona. Wykorzystując drony, Ukraina już uderza w cele głęboko w Rosji, w tym w rafinerie, w infrastrukturę pozwalającą na eksport gazu i ropy naftowej, nawet w bazy lotnicze. W ostatnich kilku tygodniach ukraińskie drony dalekiego zasięgu dosięgły co najmniej trzech dużych magazynów amunicji; do jednego z nich właśnie dotarła duża dostawa z Korei Północnej. Magazyn wybuchł z ogromną siłą, uniosła się nad nim przerażająca chmura w kształcie grzyba.

Taki rozwój wydarzeń był nie do pomyślenia na początku wojny – a przecież od początku sierpnia Ukraina okupuje nawet część terytorium Rosji. Oddziały ukraińskie zajęły obwód kurski, przejęły kontrole nad kilkoma miasteczkami i wsiami, zorganizowały obronę, odstraszyły oddziały rosyjskie i jeszcze nie ustąpiły.

●

Jednak tak naprawdę te wyimaginowane nieprzekraczalne granice, wciąż powolne dostarczanie broni i nasze krępujące walczących Ukraińców zasady, w jakie cele można, a w jakie nie można uderzać, nie są realnym problemem. Sama decyzja Białego Domu, by pozwolić Ukraińcom uderzać w cele w Rosji przy wykorzystaniu amerykańskich czy europejskich rakiet, nie zmieni biegu tej wojny.

Większym ograniczeniem jest nasz brak wyobraźni. Od samego początku wojny nie byliśmy sobie w stanie wyobrazić, że Ukraińcy mogliby pokonać Rosję. Nie wyławiamy, nie finansujemy i nie wspieramy młodych ukraińskich inżynierów, którzy tworzą nowe rodzaje asymetrycznej broni. Niemal wszyscy Ukraińcy mówią mi, że armie sojusznicze nie są w regularnym kontakcie z ludźmi, którzy przeprowadzają przełomowe eksperymenty wojskowe w Ukrainie. Oleksandr Kamyszyn, minister strategicznych branż przemysłowych, mówi, że Ukraińcy mają niewykorzystane możliwości produkcyjne we własnych fabrykach dronów i mogliby produkować więcej, gdyby tylko mieli środki. A tymczasem zamrożone rosyjskie rezerwy o wartości 300 miliardów dolarów zalegają nietknięte w europejskich instytucjach finansowych i czekają na polityczną decyzję, byśmy mogli wykorzystać je do wygrania wojny.

Biden ma rację, próbując odtrąbić sukces koalicji państw demokratycznych, stworzonej, by pomóc Ukrainie. Czemu jednak nie pozwala się tej koalicji bronić Ukrainy przed nadlatującymi pociskami, tak jak przyjaciele Izraela uczynili właśnie na Bliskim Wschodzie? Czemu koalicja nie koncentruje się na egzekwowaniu ukierunkowanych sankcji wobec rosyjskiego przemysłu obronnego?

A jeszcze gorsze – znacznie gorsze – jest to, że zamiast koncentrować się na zwycięstwie, Amerykanie i Europejczycy wciąż marzą o magicznym „wynegocjowanym rozwiązaniu", które jest nadal bardzo odległe. Wielu, naprawdę wielu ludzi – niektórzy w dobrej wierze – nadal wzywa do „zrzeczenia się terytoriów w imię pokoju". Trump właśnie zaatakował Zełenskiego, który jakoby odmówił negocjacji, a sam były prezydent wciąż bezpodstawnie obiecuje, że położy kres tej wojnie „w ciągu doby".

Jednak to nie Zełenski jest przeszkodą w negocjacjach. Prawdopodobnie udałoby się go nakłonić do oddania przynajmniej części terytoriów za pokój, jeśli Ukraina otrzymałaby rzeczywiste gwarancje bezpieczeństwa – najlepiej, choć niekoniecznie, w formie członkostwa w NATO – by chronić resztę terytorium, oraz jeśli Ukraina mogłaby wejść na ścieżkę pełnej integracji z Europą. Zełenski przystałby na kompromis, bo nawet mniejsza Ukraina stałaby się wiarygodnym i bezpiecznym krajem, przyciągnęła inwestycje i mogła zadbać o powrót uchodźców.

W tej chwili rzeczywistą przeszkodą jest Putin. Żaden z adwokatów „pokoju", czy to z szacownego think tanku Quincy Institute, czy z grona pracujących przy kampanii Trumpa, czy to z Rady Stosunków Zagranicznych, czy z samego rządu USA, nie umie wyjaśnić, jak wyperswadują Rosji dalszą wojnę i skłonią ją, by zaakceptowała rozwiązanie „ziemia za pokój". A to właśnie Rosjan trzeba przekonać, by zaprzestali walk. To Rosjanie nie chcą skończyć tej wojny.

●

Spójrzmy raz jeszcze na sytuację w terenie. Nawet dziś, dwa i pół roku od początku wojny, która miała się skończyć po kilku dniach, Kreml dąży do tego, by zająć jeszcze więcej terytoriów. Pomimo że Ukraińcy okupują obwód kurski, kompromitując reżim, armia rosyjska wciąż wysyła tysiące mężczyzn na pewną śmierć w walce o obwód doniecki. Wydaje się też, że rosyjskich głównodowodzących nie porusza utrata sprzętu. W długiej bitwie o Wuhłedar, opustoszałe obecnie przemysłowe miasto we wschodniej Ukrainie, w którym przed wojną mieszkało 14 tysięcy ludzi, Rosjanie poświęcili jakieś 1000 czołgów, pojazdów opancerzonych i innego uzbrojenia – to niemal 6 procent wszystkich pojazdów zniszczonych podczas tej wojny.

Rosja nie zmieniła również retoryki. Dyspozycyjni eksperci wciąż wzywają w telewizji publicznej do rozbioru i zniszczenia Ukrainy. Putin nadal nawołuje do „denazyfikacji Ukrainy", przez co rozumie całkowite zniszczenie ukraińskiego języka, kultury i tożsamości – oraz do „rozbrojenia i neutralności", przez co rozumie Ukrainę bez armii i możliwości odparcia wroga.

Decyzje gospodarcze Kremla również nie wskazują na chęć zawarcia pokoju. Prezydent Rosji planuje wydać aż 40 proc. krajowego budżetu na produkcję broni, poświęcając standard życia, opiekę zdrowotną, emerytury i szerszy dobrobyt obywateli, a może nawet stabilność samej gospodarki. Państwo wciąż wypłaca coraz wyższe premie tym, którzy chcą zaciągnąć się do armii. Pracowników brakuje na potęgę, bo armia zagarnia mężczyzn w wieku poborowym, ale również dlatego, że tak wielu opuściło Rosję, by uniknąć poboru.

Negocjacje mogą się rozpocząć, jeśli zmieni się retoryka, kiedy zatrzymają się tryby tej wojennej machiny, gdy próby zdobycia za wszelką cenę jeszcze jednej wioski odejdą w niepamięć. Innymi słowy, ta wojna się skończy tylko wówczas, gdy Rosjanom zabraknie zasobów – a ich zasoby nie są przecież nieprzebrane – lub gdy w końcu zrozumieją, że Ukraina ma prawdziwych sojuszników, że się nie podda i że Rosja nie może wygrać.

Tak jak Brytyjczycy zdecydowali na początku XX wieku, że Irlandia do nich nie należy, jak Francuzi w 1962 r. przyznali sami przed sobą, że Algieria to nie Francja, tak i Rosjanie muszą w końcu zaakceptować fakt, że Ukraina to nie Rosja. Wtedy może nastąpić zawieszenie broni, dyskusja na temat nowych granic, negocjacje o innych kwestiach, takich jak los ponad 19 tysięcy ukraińskich dzieci porwanych i deportowanych przez Rosjan w akcie zaplanowanego okrucieństwa.

●

Jeszcze nie jesteśmy na tym etapie. Rosjanie wciąż czekają, że Stany Zjednoczone się zmęczą, że przestaną bronić Ukrainy, że Amerykanie może wybiorą Trumpa, a Rosja będzie wówczas mogła dyktować warunki i zrobić z Ukrainy ponownie swoją „republikę". Mają nadzieję, że „zmęczenie Ukrainą", o którym tak często mówią, i fałszywe argumenty na temat ukraińskiej korupcji („jachty Zełenskiego"), za których powtarzanie płacą amerykańskim influencerom, w końcu zagoszczą na dobre na amerykańskich salonach politycznych i pokierują strategią USA.

Oczywiście tak też może się stać. A wówczas czeka nas nie powrót do wygodnego status quo, lecz niemiła niespodzianka. Jeśli Ukraina ostatecznie przegra tę wojnę, koszty – wojskowe, gospodarcze, polityczne – dla Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników nie spadną. Wręcz przeciwnie, prawdopodobnie wzrosną, i to nie tylko w Europie.

Od 2022 r. zacieśniły się powiązania w branży wojskowej i obronnej między Rosją, Koreą Północną, Iranem i Chinami. Iran dostarczył Rosji drony i rakiety. Rosja w zamian dostarcza rakiety przeciwokrętowe jemeńskim rebeliantom Huti, sprzymierzeńcom Iranu, którzy mogą ich użyć do ataku na amerykańskie i europejskie statki handlowe i okręty wojenne na Morzu Czerwonym. W niedawnym raporcie agencja Reutersa twierdzi, że Rosjanie właśnie budują dużą fabrykę dronów w Chinach. Chińczycy mogą na tym skorzystać, pozyskają nowe technologie wojskowe stworzone przez Rosjan, w wielu przypadkach imitujące ukraińską myśl techniczną.

Tę porażkę odczuje nie tylko Europa, ale również Bliski Wschód i Azja. Odczuje Wenezuela, gdzie determinacja Putina zainspirowała jego sojusznika, Nicolasa Maduro, by pozostać przy władzy po miażdżącej porażce wyborczej. Odczuje Afryka, gdzie rosyjscy najemnicy wspierają coraz więcej krwawych reżimów.

I oczywiście odczują to kraje ościenne Ukrainy. Szczerze wątpię, by Niemcy czy Francja, nie mówiąc już o Polsce, były przygotowane na prawdziwą porażkę Kijowa, na upadek państwa ukraińskiego, na bezprawie czy rządy rosyjskiej mafii u wschodnich granic Unii Europejskiej, jak również na przemoc i zbrodnie, które byłyby tego konsekwencją.

Środki pozwalające przeciwdziałać tego rodzaju katastrofie międzynarodowej są w naszych rękach, w ukraińskich fabrykach dronów, podziemnym laboratorium dronów morskich, w narzędziach opracowywanych, by pomóc armii ukraińskiej pokonać potężniejszego przeciwnika – ale również w formie naszych własnych możliwości przemysłowych. Demokratyczny świat jest nadal bogatszy i bardziej dynamiczny od świata autokracji. Aby tak było nadal, Ukraina i jej zachodni sojusznicy muszą przekonać Rosję, by przestała walczyć. Musimy wygrać tę wojnę. ●

Przełożyła Małgorzata Suwińska

© 2024 The Atlantic Media Co., as first published in „The Atlantic"
All rights reserved. Distributed by Tribune Content Agency

• 29.07.2024, pole pszenicy w pobliżu linii frontu w okolicach Zaporoża. Żołnierze z ukraińskiej 15. Brygady Gwardii Narodowej uruchamiają drona zwiadowczego
FOT. ANDRIY ANDRIYENKO/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Parlament Europejsk
• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.
• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

„Koncern autokracja" – nowa książka Anne Applebaum w przekładzie Michała Rogalskiego – niedawno ukazała się nakładem Wydawnictwa Agora. Dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz jako e-book i audiobook na Publio.pl. Tam też w formie papierowej i cyfrowej wcześniejsze bestsellery Anne Applebaum – „Gułag", „Czerwony głód", „Zmierzch demokracji" i „Wybór".

eprasa.pl d6338e1d66

Adam Michnik poleca

PUTIN MARZY O NIEŚMIERTELNOŚCI

Rosja to nie kraj. To dom wariatów.

Wiktor Jerofiejew*

Im dłużej trwa wojna, tym bardziej szkodzi przyszłości Rosji. Niedawno rozmawiałem na Łotwie z ukraińskim biznesmenem z obwodu donieckiego, który w wyniku rosyjskiej okupacji stracił swój biznes restauracyjny, a jego dom został wysadzony w powietrze. Cudem przeżył, by na starość stać się bezdomnym. – Ile lat Ukraińcy będą nienawidzić Rosjan? – spytałem. Odpowiedział: – 300.

Nawet jeśli Rosja w wyniku przyszłych rozmów pokojowych odda część terytorium Ukrainy, jej sukces będzie równy moralnej porażce. Czy to wszystko było tego warte z punktu widzenia przyszłości Rosji? Odpowiedź jest oczywista.

• Wojnę w Ukrainie wykorzystać do wewnętrznej czystki i stare rosyjskie elity wymienić na nowych wojennych bohaterów. Czy to kolejny demoniczny plan Putina?

FOT. PAP/EPA/REUTERS/MAXIM SHEMETOV

•

Jednak Putin, głównodowodzący armii rosyjskiej, chce nie tylko zmienić mapę Europy, ale też uporządkować sprawy wewnętrzne. Zależy mu na idei nieśmiertelności, o czym donoszą rosyjscy lekarze zajmujący się problemami starzenia się. Jeśli odniesie sukces na tym froncie, Rosja wiecznego Putina stanie się wzorem autokracji po wsze czasy.

W tym roku ogłosił narodowy projekt „Nowe technologie na rzecz ochrony zdrowia". Władze uważają, że pozwoli on uratować 175 tys. istnień ludzkich do 2030 r. Opozycyjne media twierdzą, że Rosja straciła 120 tys. ludzi w ciągu 2,5 roku wojny z Ukrainą.

Fizyk Michaił Kowalczuk, bliski przyjaciel Putina, jest nazywany lobbystą projektu. Wierzy, że można stworzyć broń biologiczną wymierzoną wyłącznie w Rosjan, bo istnieje „rosyjski genom ludzki". Jeśli chodzi o amerykański genom, pojawia się temat sztucznie stworzonych w USA „ludzi służebnych". Posiadają oni „ograniczoną samoświadomość". Ich reprodukcja jest kontrolowana; spożywają tanią paszę z genetycznie zmodyfikowanych organizmów.

Krytycy Putina uważają, że wierzy w te teorie. W swoim czasie Stalin również szukał eliksiru nieśmiertelności.

•

Putin rozpoczął też budowę nowej elity, która zastąpi obecną nomenklaturę składającą się z lojalnych konserwatystów i ukrytych liberałów, którzy marzą o rychłym zakończeniu wojny. Ten nowy trend z pewnością powinien martwić wszystkich dzisiejszych naczelników. Aktualna elita zasadniczo marzy, by po obecnym dyktatorze pojawił się nowy Chruszczow, który dałby krajowi spokój, ogłaszając kolejną odwilż polityczną. Otworzyłaby ona znowu okno na Europę i ostatecznie zapewniłaby Rosji niezbędny zestaw europejskich wartości. Dzisiaj te wartości są niszczone żywym ogniem, a na ich miejscu ma powstać nowa piramida władzy.

U jej podstaw leży patriotyczna idea oparcia się na tych, którzy stali się bohaterami wojny z Ukrainą. Są to ci wojskowi w wieku od 20 do 60 lat, którzy wyróżnili się sukcesami w bitwach z wrogiem. Oczywiście Ukraińcy powiedzą, że sukcesom tym często towarzyszyło okrutne traktowanie cywilów – w Mariupolu czy w Buczy – ale według rosyjskiej wersji wydarzeń, poza tzw. stratami ubocznymi, nie zginął ani jeden ukraiński cywil. Kandydaci do miejsc w nowej elicie to przede wszystkim posiadacze insygniów Bohatera Federacji Rosyjskiej. Mowa o oficerach z wyższym wykształceniem i niekaranych.

Spoglądając wstecz na świat, któremu jeszcze nie był znany COVID-19 ani konfrontacja między Rosją a Zachodem, myśli się: to utracony raj. Powrót do niego jest niemożliwy

Jeden z nich, 41-letni Jurij Nimczenko, osiągnął wyżyny. Został parlamentarzystą. Jego zasługą było to, że w pierwszych dniach wojny wraz z załogą czołgu zniszczył dziewięć czołgów wroga i jeden transporter opancerzony. Putin przyznał mu za to tytuł Bohatera FR. Dziś reprezentuje Krym. Przed aneksją półwyspu był obywatelem Ukrainy i przeszedł na stronę rosyjską w ślad za zwycięstwami Rosji na Krymie i w Donbasie.

Inni kandydaci na wysokie stanowiska są rozproszeni po całym kraju; wciągają ich w krąg władzy różni gubernatorzy i doradcy prezydenta. Nie ma ich jeszcze tak wielu, liczy się ich w dziesiątkach; są u władzy i nie będzie ich łatwo od tej władzy oderwać.

Ale czy są realnym zagrożeniem dla starej elity, która nocami marzy o zakończeniu wojny? Ich siłą jest młody wiek, słabością to, że są mianowani; nie jest to nowe pokolenie elit z mandatem od ludzi. Są całkowicie zależni od Putina, wdzięczni mu aż po grób. Po jego śmierci albo stracą swoje stanowiska, albo będą grać razem z nowymi władzami.

Jest to raczej imitacja nowych bohaterów, efektowna imitacja, która mówi o priorytetach Putina i o jego ostatecznym zerwaniu z Europą; nie mamy tu do czynienia z prawdziwą zmianą pokoleniową w elitach. Stara gwardia, zakorzeniona u władzy, nie pozwoli nowym wojskowym na przejęcie stanowisk dowódczych i będzie się im opierać z całą siłą swojej biurokratycznej wagi i doświadczenia.

•

Częsta przemiana rosyjskich bohaterów w antybohaterów, charakterystyczna dla rosyjskiej historii od zawsze, została wykorzystana przez Putina podczas wojny z Ukrainą. Tym razem antybohaterami okazali się nie tylko popularni piosenkarze czy pisarze, którzy opuścili kraj w proteście przeciwko wojnie, ale także najwyżsi rangą wojskowi. Wśród budzących zgorszenie antybohaterów znalazło się z tuzin generałów czy wiceministrów obrony, którzy nie kryli się ze swoim dolce vita.

Gdyby rok temu jakikolwiek rosyjski dysydent skrytykował tych wojskowych dygnitarzy, zostałby uwięziony za rozpowszechnianie fałszywych informacji o armii. Teraz prorządowi i opozycyjni blogerzy wspólnie - co jest rzadkością - cieszą się z ich uwięzienia.

Jest takie powiedzenie: nie zmienia się koni, kiedy się przekracza rzekę. A to nie jest zwykła przeprawa, tylko wojenna maszynka do mięsa; wsadzanie tych ludzi do więzienia niewątpliwie podważa autorytet armii i sprawia, że generałowie wszystkich szczebli, zamiast walczyć, drżą o swoją przyszłość.

Były minister obrony Siergiej Szojgu, najbliższy kumpel Putina, towarzysz jego seansów z szamanami, który - jak ironicznie mówią opozycjoniści - musi cierpieć i dogadywać się ze swoimi ukaranymi ostatnio pracownikami, najwyraźniej również źle śpi w nocy. Ukarany za co?

Oczywiście za korupcję. Weźmy Timura Iwanowa, byłego wiceministra obrony, którego styl życia niewiele różnił się od luksusowej egzystencji książąt Monako, a może nawet przewyższał ją pod względem przepychu, bo Iwanow posiadał nie tylko bogactwo, ale też władzę nad podwładnymi, co w wojsku czasami graniczy z sadyzmem. Jego wspaniała żona, w drogich sukniach, z półnagim biustem, królowała w towarzyskim światku rosyjskiej stolicy i podróżowała do światowych kurortów.

Trafiwszy niespodziewanie za kratki, ten szlachetny człowiek nie wierzył w swój upadek, pisał łzawe listy na samą górę, ale potem opadł z sił i zmienił się w przerażonego więźnia, któremu groziła kara do 15 lat. Przemiana godna pióra Lwa Tołstoja.

Co zadziwiające, inni generałowie o grubych, naleśnikowatych twarzach kradli na budowie patriotycznego parku pod Moskwą, gdzie wzniesiona została cerkiew w kolorze kamuflażu. Putin, dzisiaj z szacunkiem odnoszący się do prawosławia jako jednej z podstaw tradycyjnych wartości Rosji, musiał być wściekły, gdy dowiedział się o oszustwach generałów w tym świętym miejscu edukacji patriotycznej. Człowiek, który przedkłada swój gniew, podejrzliwość i mściwość ponad wszystko, nie dbał już o to, czy trwa wojna,

eprasa.pl d6338e1d66

czy nie, nie mógł znieść kradzieży w armii i luksusowego życia Iwanowa w czasie, gdy Rosja walczy z Zachodem. To, czy osłabił armię, było dla niego sprawą drugorzędną.

•

Porywczy prezydent dziesiątkował armię „na żywca". Ale ci skorumpowani generałowie byli fanatycznymi pomocnikami Putina; przyklaskiwali jego wojennym zapędom. Teraz, gdy siedzą za kratkami, jasne jest, że nie mogli powiedzieć prezydentowi „nie", nawet jeśli byli przeciwni wojnie. Związani korupcją na niewiarygodną skalę, wykorzystujący niewolniczą pracę żołnierzy do budowy swoich pałaców, byli pozbawieni swobody wypowiedzi.

Złodziejskie obyczaje zachęcały ich do podążania za hersztem. Ale w końcu herszt wpadł w gniew. Właściwie jaka była różnica między tymi wysokimi dowódcami a uczestnikami słynnej półnagiej imprezy w Moskwie, która początkowo rozwścieczyła Putina? Ci drudzy zorganizowali sobie słodkie życie w kręgu bohemy, oczywiście ku oburzeniu władz, ale takie są ich obyczaje; ci żołnierze zdradzili naszego cara, wbijając mu nóż w plecy.

Ogólnie rzecz biorąc, to nie jest kraj, tylko dom wariatów. Rosja maszeruje na Ukrainę pod hasłem specjalnej operacji wojskowej, ale co to za operacja, skoro część armii walczy teraz w obwodzie kurskim, którego kawałek zajęli Ukraińcy?

Oczywiste jest, że wojna musi się zakończyć jak najszybciej. Setki tysięcy zabitych po obu stronach, ogromna liczba rannych, okaleczonych ludzi, miliony uchodźców - wszystko to stało się możliwe przez kaprys jednego człowieka, który uznał, że jego kraj ukradną Amerykanie i szatańskie NATO.

Zachód oczywiście nie był bez skazy, ani przed wojną, ani w jej trakcie. Przegapił determinację Putina i był raczej obojętny na podbój Krymu. Wraz z wybuchem wojny widoczne było wahanie wszystkich krajów zachodnich: czy pomóc Ukrainie?

Groźba III wojny światowej wciąż wisi nad nami wszystkimi. Ludzie o skrajnie prawicowych przekonaniach prą do władzy w Europie, następuje dewaluacja wartości demokratycznych. Spoglądając wstecz na świat, któremu jeszcze nie był znany COVID-19 ani konfrontacja między Rosją a Zachodem, myślisz: to utracony raj. Powrót do niego jest niemożliwy. A co jest możliwe? ●

przeł. arp

FOT. A.SAVIN\WIKIPEDIA

*Wiktor Jerofiejew

• ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego mroczna baśń dla dorosłych „Różowa mysz" (do kupienia na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl). Tytuł tekstu - „Wyborcza"

1 RP

Córka o Annie Politkowskiej

Odpuść, bo skończysz jak matka

Została zamordowana w urodziny Putina. Jej córka pyta: „Ironia losu czy jasny przekaz?". To drugie

Agnieszka Kublik

Wiera Politkowska wspomina swoją matkę – dziennikarkę, która ujawniała prawdę o Rosji Putina. „7 października 2006 r., w dniu, w którym ją zamordowano, w dniu urodzin Putina, miałam 26 lat i przygotowywałam się do zostania matką. Do tamtej pory pragnęłam wierzyć, że jej popularność na Zachodzie w jakiś sposób uchroni ją od czającego się ryzyka i tragicznej śmierci. Myliłam się" – tak córka Anny zaczyna swoją opowieść o niej.

Wiera urodziła córkę Annę (to jej matka wybrała imię wnuczce dzień przed śmiercią). I one nie uchroniły się od polityki.

•

Anna Politkowska to słynna reporterka niezależnej „Nowej Gaziety". Napisała m.in. książki „Rosja Putina", „Druga wojna czeczeńska", „Udręczona Rosja. Dziennik buntu". Ujawniała zbrodnie Putina w Czeczenii.

„A komu to Politkowska szkodziła, mężnie przypominając światu o tym, że Rosja prowadzi krwawy konflikt w Czeczenii? - pytał przed laty Wacław Radziwinowicz. – Gdyby nie Anna, nie byłoby tej wojny - powiedział mi kiedyś Dmitrij Muratow, naczelny »Nowej Gaziety«. Tak, gdyby nie ona, łatwiej byłoby wmówić opinii publicznej, że na Kaukazie jest pokój i tylko »w ramach operacji antyterrorystycznej« zostanie tam czasem zastrzelony jakiś »bandyta«".

Zamordowana w urodziny Putina... Jej córka pyta: „Ironia losu czy jasny przekaz?". To drugie.

„Jestem przekonana, że człowiek, który zlecił zabójstwo mojej matki, jest w Rosji osobą wpływową. Być może nawet sprawuje jakiś urząd – mówiła Wiera w wywiadzie dla „Wyborczej" jesienią zeszłego roku. – W dzisiejszej rzeczywistości nikt tej osoby nie będzie ścigać ani szukać. Nie powinno to dziwić. Tropy, które przez wiele lat śledztwa udało nam się podjąć i namierzyć, wskazują, że zleceniodawca jest powiązany z organami struktur siłowych. (...)

Dopóki nie ma dowodów, które pozwoliłyby mi z przekonaniem powiedzieć, kto zlecił zabójstwo, nie wymienię żadnego nazwiska, mimo że mam swoje podejrzenia. Mogę tylko powiedzieć, że Władimir Putin ponosi odpowiedzialność za śmierć mojej matki, bo doprowadził do sytuacji, w której to w ogóle mogło się wydarzyć".

•

Wiera pisze w książce, że „pamięta każdy najdrobniejszy szczegół z 7 października 2006 r.".

„(...) spałam u mamy. W domu robiłam remont, więc na jakiś czas przeniosłam się do niej. Wstałam późno, koło południa. Senność i zmęczenie typowe dla pierwszego trymestru bardzo dawały mi się we znaki.

Zjadłyśmy razem śniadanie, wypiłyśmy herbatę, porozmawiałyśmy i zaczęłam się szykować do wyjścia. Miałam kupić materiały potrzebne do remontu i cieszyłam się na myśl o nowym etapie życia. Mama też musiała wyjść, żeby coś załatwiać. Tego ranka podeszła do mnie ściskając coś w ręce, otworzyła dłoń i wręczyła mi zwitek banknotów. »Wydaj na dziecko« – powiedziała.

(...) zbiła mnie z tropu, bo między nami nie było takiego zwyczaju. Żyłam samodzielnie, pracowałam i utrzymywałam się sama. Przecież byłam dorosła. Mimo to odpowiedziałam: »dobrze« i włożyłam pieniądze do kieszeni, nawet nie spoglądając na nie".

Po chwili odkryła, że to było 2 tys. euro. Miały razem robić zakupy, ale Anna była zmęczona i Wiera sama poszła do sklepu.

Anna miała wracać do domu, po drodze kupiła piersi kurczaka. Gdy Wierę w końcu wpuścili do mieszkania matki, zakrwawione opakowanie leżało na schodach, obok windy, gdzie Politkowska została zamordowana.

Sprawców zbrodni zamknięto w więzieniu, ale wciąż nie ustalono, kto zlecił zabójstwo.

„Wieloletnie śledztwa i procesy nie przyniosły żadnych rezultatów. (...) być może specjalnie ich [zleceniodawców] nie szukano. Popełniono tak ogromne błędy, że czasem chciałoby się śmiać. (...) Wtedy zapewniano nas, że grupa zajmująca się sprawą składa się z wykwalifikowanych, kompetentnych członków.

Wciąż pamiętam przesłuchanie, które prowadził jeden z tych wspaniałych profesjonalistów w Komitecie Śledczym Federacji Rosyjskiej. Można powiedzieć, że byłam już »bardzo w ciąży«, mój brzuch był wyraźnie widoczny.

Po serii ogólnikowych pytań o ostatnie dni mojej matki: gdzie była, kiedy i dlaczego, znienacka zaczął mnie atakować, podchodził blisko, okrążał mnie, po czym usiadł, wykrzykując, że jeśli nie pamiętam któregoś tam szczegółu, to do końca życia będę musiała żyć ze świadomością, że zabójstwo mojej matki pozostało nierozwiązane z mojej winy".

•

Wiera pamięta z dzieciństwa „tyk, tyk, tyk, tyk". To maszyna do pisania. Anna zaczynała pisać wieczorami, gdy dzieci (Wiera ma starszego o dwa lata brata, Ilję) już odrobiły lekcje.

Bo Anna od zawsze chciała być dziennikarką. I nią była przede wszystkim. Wiera w beciku była obecna na obronie jej pracy dyplomowej.

„Zabrała mnie ze sobą tylko dlatego, że nie miała mnie z kim zostawić, lecz lubię myśleć, że nie był to przypadek. To zabawne, że w wieku zaledwie miesiąca znalazłam się na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu w Moskwie, a po wielu latach, w tym po długiej przerwie poświęconej muzyce, przeznaczenie zesłało mnie na tę samą ścieżkę kariery" – wspomina Wiera.

Wiera Politkowska, Sara Giudice, **„Matka. Anna Politkowska. Życie w imię prawdy"**, przeł. Alicja Bruś, Rebis 2023.

Anna od zawsze chciała być dziennikarką. I nią była przede wszystkim. Jej córka Wiera w beciku była obecna na obronie jej pracy dyplomowej

Córka matkę podziwiała, choć rozumiała, że dla Anny dzieci „były hamulcem, który krępował jej ruchy, a z drugiej strony impulsem popychającym ku przyszłości, energią, której potrzebowała, by się nie poddawać".

Ale czyż my, rodzice, tak nie mamy?

Anna miała „mało ustępliwy charakter", w pracy to oznaczało „ciągłe kłótnie i utarczki z kolegami i redaktorami". Kłóciła się i z mężem. Aleksander Politkowski też był dziennikarzem, pisał m.in. o tragedii w Czarnobylu. Jeździł tam, szukał ludzi, którzy nie chcieli opuścić domów. Potem wypadły mu włosy, utył – to efekty napromieniowania.

„Gdy mama wyjeżdżała, nie mieliśmy z nią praktycznie żadnego kontaktu, bo jeszcze nie było odpowiednich linii telefonicznych – wspomina córka Politkowskiej. – Nie siedziałam też nigdy w domu, czekając, aż wróci. Zresztą ona by tego nie chciała. Mama była całkowicie niezależną kobietą i nas także wychowywała w tym duchu".

Wiera pamięta, że gdy miała koszmar – zamordowani ludzie, trumny, pogrzeb – mama przyznała, że „za ścianą są kości, które przywiozła z Czeczenii".

Wiera i brat żyli w ciągłym strachu. „Od dzieciństwa towarzyszyły nam groźby wysuwane z różnych stron, wymierzone w któregoś z moich rodziców lub całą rodzinę. Stało się to dla nas codziennością. Zarówno ja, jak i brat wiedzieliśmy, jak się zachowywać w różnych niebezpiecznych sytuacjach, nauczyła nas tego mama, w taki sposób nas chroniła" – wspomina.

Któregoś dnia Politkowska obiecała dzieciom, że gdy będzie miała zostać babcią, przestanie jeździć do Czeczenii. Sami byli wtedy jeszcze dziećmi, ale czekali na spełnienie tej obietnicy.

•

Dzieciństwo dzieci Politkowskiej nie było dla dzieci.

„Mama podchodziła z szacunkiem do podjętych zobowiązań i miała równie rygorystycznie wymagania wobec swoich dzieci. Dotyczyło to wszystkich aspektów naszego życia i czasem sięgało aż do granic absurdu, ale w dzieciństwie wcale nie było nam do śmiechu".

Dlaczego? Bo w wakacje Politkowska robiła dzieciom... szkołę.

Wiera wspomina: „Typowy dzień w wakacje nie przewidywał leniuchowania albo spacerów po lesie, ale przebiegał zgodnie z precyzyjnym planem. Na początek musieliśmy dwie godziny ćwiczyć na skrzypcach, potem mieliśmy się nauczyć na pamięć wybranego utworu z klasyków tzw. srebrnego wieku rosyjskiej poezji, następnie przechodziło się do zadań.

Oprócz tego mama dawała nam książki dla dzieci, które mieliśmy czytać i podkreślać: na przykład wszystkie litery O albo wszystkie litery A. Mówiła, że w ten sposób rozwiniemy umiejętności koncentracji, czytania i pisania. Tak naprawdę nie mieliśmy wolnego czasu i można było odnieść wrażenie, że dokładnie taki był zamiar rodziców, zwłaszcza mamy".

Wiera została dziennikarką. Przez przypadek. Kiedy ukończyła konserwatorium i zaczęła pracować, zrozumiała, że się z tego nie utrzyma, zaczęła więc pisać o kulturze.

„Mama nie bała się śmierci – tak to pamięta Wiera – tylko tego, że spotka ją nagle, zanim my, jej dzieci, będziemy na to gotowi. Nie prowadziliśmy nigdy podniosłych, wzruszających rozmów, niczemu by nie służyły. Gdy moje przyjaciółki wracały po szkole do domu, być może słyszały od swoich rodziców: »Chcesz lody?«. Ja słyszałam: »W tej szufladzie są ważne dokumenty« albo: »Tam są ukryte pieniądze«. Mama patrzyła mi w oczy, milczałyśmy przez ciągnące się w nieskończoność sekundy, po czym dodawała zawsze to samo wyjaśnienie: »Nigdy nic nie wiadomo«".

•

„Jestem obywatelką Rosji, ale brzydzą mnie ślepy nacjonalizm i pseudopatriotyzm, które panoszą się w moim państwie. Kiedy jeden kraj napada na drugi, ten atakowany musi się bronić. Uważam za słuszne, że Zachód aktywnie pomaga Ukrainie odpierać atak" – pisze Wiera.

Po najeździe Rosji na Ukrainę musiała uciekać z kraju, grozili jej śmiercią. – Skończysz jak twoja babcia – tak mówiły inne dzieci małej Annie. Brat został, bo rozchorował się na COVID.

6 maja 2022 r. wyjechała z Rosji. Nie zdradza dokąd. Bo „nigdy nic nie wiadomo". ●

eprasa.pl d6338e1d66

Alain Finkielkraut:

ZACHODNIE ELITY

padają ofiarą własnego wstrętu do Zachodu

– Radykalizm redukuje świat do starcia między dwiema antagonistycznymi siłami, a Izrael, jako rzekomy lider zachodniego imperializmu, znajduje się po złej stronie barykady – ostrzega francuski filozof i publicysta.

Eugénie Bastié

LE FIGARO

Czy po roku, jaki upłynął od ataku Hamasu na Izrael z 7 października 2023, możemy ocenić, w jakim stopniu ta data stanowi traumą nie tylko dla Izraelczyków, ale także dla Żydów na całym świecie? Czy lęk przed zniknięciem państwa Izrael z mapy jest realny?

ALAIN FINKIELKRAUT, FRANCUSKI PISARZ I FILOZOF, CZŁONEK AKADEMII FRANCUSKIEJ, SYN POLSKICH ŻYDÓW URODZONY W PARYŻU W 1949 R.: Gdzie na początku XX wieku znaleźli schronienie ocaleni z pogromów od Kiszyniowa po Odessę? W Palestynie. Ale teraz jeszcze bardziej okrutna i sadystyczna przemoc rozprzestrzenia się w granicach państwa Izrael. „Dzielni bojownicy" Hamasu spustoszyli Kibuc Beeri, którego członkowie zgłaszali się przedtem na ochotnika do przewożenia palestyńskich pacjentów do szpitali w Tel Awiwie.

Syjonizm obiecał położyć kres wielowiekowym masakrom i prześladowaniom. Ale 7 października żydowskie fatum ponownie spadło na Izrael. Jego symbolem jest ten ledwie nastolatek, który w euforii zadzwonił do swoich rodziców i powiedział: „Zabiłem dziesięciu Żydów własnymi rękami, spójrzcie na WhatsAppa i bądźcie ze mnie dumni".

Jak w ciągu tego roku zmieniło się izraelskie społeczeństwo? Jest nadal zjednoczone w obliczu islamskiego terroryzmu, pomimo zarzutów wobec do rządu Benjamina Netanjahu?

– Na początku wszyscy Izraelczycy dzielili ten sam szok i przerażenie. Rezerwiści, którzy wcześniej grozili, że nie odpowiedzą na kolejne wezwanie rządu, skoro rząd przeprowadza zamach na demokrację, bez namysłu zawiesili swoje protesty. Ale ta jedność nie trwała długo. Przez kilka miesięcy setki tysięcy demonstrantów maszerowało ulicami Jerozolimy, Tel Awiwu i Hajfy, domagając się, aby zrobiono wszystko, aby uwolnić zakładników wciąż przetrzymywanych przez Hamas i aby nowe wybory odbyły się tak szybko, jak to możliwe. Tymczasem minister należący do Religijnej Partii Syjonistycznej Bezalela Smotricha ogłosił swój sprzeciw wobec „porozumienia o zawieszeniu broni, które odrzuca cele wojny, tylko po to, by uratować kilkadziesiąt osób. Rząd, który by na to poszedł, nie zasługiwałby na istnienie". W Izraelu są tak naprawdę dwa Izraele, nie do pogodzenia ze sobą.

Czy 7 października był wypowiedzeniem wojny nie tylko Izraelowi, ale całemu Zachodowi i jego podstawowym wartościom?

– Wielu komentatorów twierdzi, że dzięki atakowi z 7 października Hamasowi udało się sprawić, że kwestia palestyńska ponownie znalazła się w centrum uwagi świata. Jest wręcz przeciwnie. Suwerenne państwo palestyńskie istniejące obok Izraela dla narodu, który głośno cieszył się z wielkiego pogromu – ta perspektywa nigdy nie wydawała się odleglejsza niż dziś. Jak słusznie zauważa urodzony w Bejrucie filozof Paul Audi: „Dopóki sprawa palestyńska pozostaje zakładnikiem islamizmu, nie osiągnie żadnego postępu"

Czy Zachód, zachodnia opinia publiczna zareagowała według pana odpowiednio?

– W 1970 roku, w przemówieniu noblowskim, Sołżenicyn napisał: „Duch Monachium z pewnością nie odszedł w przeszłość: to nie był zwykły incydent. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że duch Monachium zdominował XX wiek. Cywilizowany i nieśmiały świat nie znalazł nic, co mogłoby przeciwstawić się brutalnemu i otwartemu odrodzeniu barbarzyństwa, poza uśmiechami i ustępstwami. Duch Monachium jest chorobą woli sytych i zamożnych".

Europa, która twierdzi, że wyciągnęła wszystkie wnioski z kariery Hitlera, pozostaje Europą monachijską. Z godnym podziwu wyjątkiem Ukrainy, opowiada się raczej za ustępstwami. A kiedy Izrael eliminuje przywódcę Partii Boga, organizacji, która zabiła także dziesiątki francuskich żołnierzy, wyraża „zaniepokojenie". Obawia się eskalacji i oskarża kraj, którego istnienie jest kwestionowane przez jego wrogów, o stwarzanie zagrożenia dla światowego bezpieczeństwa. Na szczęście amerykański rzekomy „Wielki Szatan" jeszcze nie widzi tego w ten sposób.

Czy spodziewał się pan, że solidarność z Izraelem tak szybko zmieni się we wrogość? Jak to wyjaśnić? Co to ujawnia o społeczeństwach Zachodu?

– 7 października oznaczał koniec procesu, który rozpoczął się dzień po wojnie sześciodniowej. 12 czerwca 1967 r. pewien uczeń Louisa Massignona, francuskiego badacza islamu i pioniera dialogu katolicko-muzułmańskiego, napisał: „Syjonistyczna okupacja Jerozolimy jest tak bolesna dla chrześcijan na Wschodzie, jak okupacja nazistowska była dla nas". W broszurze opublikowanej w następnym roku dziennikarz Pierre Demeron piętnował „czołgi Dajana" i był oburzony widząc „ostatnich sprawiedliwych popełniających ostateczną niesprawiedliwość". Zwycięstwo ich armii pozbawiło Żydów statusu ofiar. Od tego czasu nienawiść może operować swobodnie. Jest czysta. Jest humanistyczna. Jest moralna. Ma nawet znamiona obowiązku.

Wydaje się, że horror 7 października został wymazany przez bombardowania Strefy Gazy i dziesiątki tysięcy cywilnych ofiar. Czy emocje wywołane reakcją Izraela, tak nieproporcjonalną, nie mogą prowadzić do zrównywania Hamasu z armią izraelską?

– Przez lata armia Izraela przygotowywał się do konfrontacji z Hezbollahem, który był cierpliwie i skrupulatnie infiltrowany przez Mosad. Hamas natomiast był zaniedbywany. Netanjahu wierzył, że niemałe pieniądze wypłacane co miesiąc islamistom w Gazie uspokoją ich wojowniczy zapał. Jego służby nie przewidziały ataku, a wojna prowadzona w Gazie jest o wiele bardziej śmiercionośna i chaotyczna niż operacja wojskowa w południowym Libanie. Co więcej, cel Izraela w Gazy – całkowite zwycięstwo – jest niedoprecyzowany, a zatem iluzoryczny, podczas gdy cel w Libanie jest precyzyjny i jasny: odepchnięcie Hezbollahu na północ od rzeki Litani zgodnie z rezolucją ONZ nr 1701 i umożliwienie powrotu do domu 80 tysiącom izraelskich uchodźców z terenów przygranicznych.

Nie możemy jednak zrównywać Izraela i Hamasu, ani twierdzić, że wprawdzie „terroryzm nigdy nie jest dobry, ale terroryzm uciskanych jest skutkiem terroryzmu uciskających". Przypominam, że Gaza nie znajdowała się pod izraelską okupacją od 2005 roku, a blokada została nałożona na to terytorium w odpowiedzi na nieustanny ostrzał rakietowy. Co więcej, nigdy nie wolno nam o tym zapominać: Hamas wykorzystuje ludność do ochrony własnych arsenałów. Faktem pozostaje, że aby utrzymać swoją koalicję przy życiu, Netanjahu uparcie odmawia rozważania, co będzie jutro, zostawiając to mesjanistycznym zbirom, którzy go otaczają. Ci ideowi spadkobiercy zabójcy premiera Rabina prowadzą kampanię na rzecz masowego transferu arabskiej ludności z Gazy i Zachodniego Brzegu.

> *Zwycięstwo ich armii pozbawiło Żydów statusu ofiar. Od tego czasu nienawiść do nich może operować swobodnie. Jest czysta. Jest humanistyczna. Jest moralna. Ma nawet znamiona obowiązku*

Aby nie dać argumentów antysemityzmowi, który ogarnął świat po 7 października – „Wszyscy jesteśmy Hamasem", skandowali studenci nowojorskiej Columbii – najbardziej prominentne postacie żydowskie odmawiają spojrzenia rzeczywistości w twarz. Tyle że bycie Żydem oznacza bycie zaangażowanym we wszystko, co robi Izrael: oni są częścią nas. Kiedy Izrael przeciwstawia się Iranowi i jego pełnomocnikom, którzy przysięgli zlikwidować „rakowego guza", czyli Izrael, nie tylko podziwiam Izraelczyków, ale jestem z nich dumny. Tym razem sprawcy pogromu nie mieli ostatniego słowa; żydowska bierność dobiegła końca. Ale kiedy ultraprawicowy minister Itamar Ben-Gvir chce uniemożliwić dostarczenie pomocy humanitarnej mieszkańcom Gazy lub kiedy osadnicy podpalają palestyńskie domy na Zachodnim Brzegu, czuję się skompromitowany, skażony, zawstydzony i zły. Brutalizacja części izraelskiego społeczeństwa łamie mi serce.

Po 7 października część lewicy na Zachodzie odmówiła określenia Hamasu organizacją terrorystyczną. Dziś Hezbollah cieszy się podobnym pobłażaniem – jak do tego doszło?

– Na Zachodzie Żyd zawsze był outsiderem, niezasymilowalnym, obcym, który jest tym bardziej niepokojący, że wygląda tak samo. Dziś, dla antykolonialnej i antyimperialistycznej lewicy, uosabia on najgorszą wersję imperializmu: jest niby awangardą drapieżnego i prześladującego Zachodu.

Europa to długa tradycja zwracania się przeciwko tradycji. Krytyka Europy pozwoliła Kantowi, Hume'owi i Diderotowi położyć podwaliny pod nowoczesny świat. Ale my – jak zauważał Octavio Paz, „wypaczyliśmy krytykę: wykorzystaliśmy ją, by znienawidzić siebie i własny świat". A tymi znienawidzonym „nami" winnymi wszelkiego zła, jest przede wszystkim Izrael, a poprzez Izrael – Żydzi.

Przez wiele lat ostrzegał pan przed wzrostem nowego antysemityzmu we Francji. Wydaje się, że 7 października ten wzrost przyspieszył. Czy spodziewał się pan tego? Czy reakcja polityczna jest wystarczająca?

– Nie, reakcja polityczna zdecydowanie nie jest wystarczająca. „Rasizm, antysemityzm i wszelkie formy nienawiści szkodzą każdemu z nas", oświadczył prezydent Macron. A nowy premier obiecał, że „nie będzie tolerancji dla rasizmu i antysemityzmu". Intencje godne pochwały. Ale nasi przywódcy po prostu zapominają, że antysemityzm nie zawsze był rasizmem, a po Hitlerze przestał nim być raz na zawsze. Teraz jest on ubrany w nieskazitelne szaty antyrasizmu. Stąd gwałtowność jego nowych zwolenników.

Wiele zachodnich demokracji, zwłaszcza Stany Zjednoczone i Francja, jest politycznie podzielonych w kwestii konfliktu arabsko-izraelskiego. Czy to symptom poważnej choroby Zachodu?

– W Sciences Po, École Normale Supérieure, na Harvardzie i Columbii, nowa zachodnia elita pada ofiarą własnej nienawiści do Zachodu, która nie ma precedensu w historii. Radykalizm redukuje świat do prostego starcia między dwiema antagonistycznymi siłami, a Żydzi, jako rzekomi liderzy zachodniego imperializmu, znajdują się po złej stronie barykady. Ten radykalizm nie ogranicza się do skrajnej lewicy. Dominique de Villepin, były premier w czasach Chiraca, kipi z wściekłości, gdy potępia „dominację finansową" międzynarodowego syjonizmu!

Czy uważa pan, że od 7 października 2023 Izrael walczy o cały Zachód?

– Wiem, że w każdym razie byłoby błogosławieństwem – dla Izraela, Palestyńczyków, społeczeństw na Bliskim Wschodzie i całego Zachodu – gdyby reżim ajatollahów nie zdecydował się zaangażować bezpośrednio w ten konflikt. ●

LENA LEADING — EUROPEAN NEWSPAPER – ALLIANCE

eprasa.pl d6338e1d66

OBYCZAJE KULTURA

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Męskość na nowo

CYNIZM SOBIE SAM PORADZI

Zawsze zanim zareaguję – w pracy, w życiu, w jakiejkolwiek sprawie – staram się zadać sobie szybko kilka krótkich pytań. Czy to, co chcę powiedzieć albo zrobić, może komuś wyrządzić krzywdę, naruszyć jego harmonię, poczucie wartości

Z **OLAFEM LUBASZENKO** ROZMAWIA **AGA KOZAK**

eprasa.pl d6338e1d66

AGA KOZAK: Ponoć film „Napad", który wkrótce pojawi się na Netflixie, to twój „powrót w nowej odsłonie".
OLAF LUBASZENKO: Mam teraz do wyboru parę sposobów na to, jak zareagować. Bo tak jakoś się złożyło, że hasło „powrót" towarzyszy każdemu mojemu filmowi. Ludzie chyba mają wrażenie, że mnie generalnie nie ma i że w związku z tym każda rola to jest „powrót", nawet jeśli te role dzieli kilka miesięcy.

I filozoficznie rzecz ujmując, to tak jest – bo każda rola jest jakimś „powrotem". Natomiast ciekawsze jest to, dlaczego ludzie tak czują, że mnie nie ma i że wracam.

Bo cię nie ma.
– Jak to nie ma? Mieszkam w samym centrum, ludnym, gwarnym, chodzę do sklepów, mało tego, z punktu widzenia zasad „szpiegowskich" popełniam błąd, bo powtarzam trasy, chodzę wciąż w te same miejsca.

No weź...
– Rzeczywiście, w przestrzeni pozaekranowej i pozateatralnej mnie raczej nie ma. To świadomy wybór i on jest i dobry, i zły. Zły z powodów pragmatycznych, praktycznych, „promocyjnych". Dobry dlatego, że premiery, branżowe imprezy, festiwale a zwłaszcza otwarcia ekskluzywnych butików, to nie jest mój...

Habitat.
... właśnie, habitat *(śmiech)*. Ale jest jeszcze jedna możliwość. Że może robię trochę za mało huku i szumu wokół swoich zawodowych, nazwijmy, to dokonań.

A to, to mówi już twoja skromność.
– Skoro tak to widzisz, nie zaprzeczę – przez skromność.

Nie robię szumu, raczej unikam opowiadania o sobie, jeśli to robię, to rzadko i staram się robić to smacznie, jak mówił w swoim ulubionym cytacie redaktor Adam Michnik. Chodziło o Benię Krzyka, awanturnika i bandytę z Odessy, bohatera prozy Izaaka Babla, który „mówił mało, ale smacznie", a jak już coś powiedział, to chciało się, żeby powiedział coś jeszcze.

Staram się mówić rzadko i z jakimś rozmysłem. Co mi się nie zawsze udaje, bo przy natłoku myśli i pewnej nadmiarowości refleksji dość trudno jednocześnie przeprowadzać selekcję, która z tych myśli ma szanse kogoś zainteresować.

Taka refleksyjność to coś, co może nas napędzać do życia, a z drugiej strony nadmierna – może zabić.
– I mnie próbuje zabić, a ja próbuję się nie dać. Na tym polega ta zabawa. Dość dobrze o niej opowiada piosenka „Jenny" Edyty Bartosiewicz – może z innego punktu widzenia, ale muszę przyznać, że mój punkt widzenia zazwyczaj jest zbieżny z podmiotem lirycznym jej piosenek. „A ja za dużo widzę, zbyt mocno czuję". Jakbym mógł głosować na ksywkę dla siebie – to „Jenny" *(śmiech)*. Tytuł wywiadu już mamy, co? „Lubaszenko: mam na imię Jenny".

Ale wiesz, to wrażenie, że Lubaszenko jest na uboczu, jest fajne, spójne ze mną. Z mojego punktu widzenia to nie deficyt, tylko kapitał. Mainstream jest fajny dla ludzi, którzy lubią, jak się wokół nich dużo dzieje, kiedy jest wokół nich zamieszanie, szum. Ja za to bardzo lubię pracować, podejmować wyzwania, ale szum niekoniecznie.

Ja mam jeszcze jedno rozwiązanie tej zagadki o twoich „powrotach" i myślę, że podpisałoby pod tym wiele osób. My, widzowie, po prostu za tobą – ekranowym, wywiadowanym, opowiadającym anegdoty i refleksyjnym – tęsknimy. Od nastolęctwa, kiedy cię pierwszy raz oglądaliśmy, do teraz.
– Gdyby tak było, to byłbym wielce rad. Taki jest nieuchronny los pary widz i aktor: jeśli zaczynali razem młodo i udało im się trochę przeżyć, to obydwie strony na przestrzeni czasu się zmieniły. I patrząc na dojrzewanie czy starzenie się aktora, musimy się jako widz zmierzyć z naszym własnym odbiciem. Z tym, jak my się sami zmieniamy. Czasem przez tę równoległość możemy zastanowić się nad sobą. Bo jeśli kogoś widzimy po raz pierwszy, kiedy ta osoba ma – załóżmy – 50 lat, to ona może być genialna w swojej roli, ale nie mamy z nią przeszłości, nie mamy tej wspólnej historii.

Tu oczywiście pojawia się kwestia reakcji na przemijanie. Na to, jak się człowiek zmienia i czy inni to akceptują, czy też mają coś przeciwko temu. Może wcale nie chcemy widzieć, że aktor, aktorka zmienił się na niekorzyść, postarzał się, przytył albo postradał zmysły – bo to sugeruje, że może z nami też mogą się dziać albo już się dzieją podobne rzeczy. Tak sobie tłumaczę część gwałtownych, niechętnych reakcji na to, jak na przykład wyglądam.

Twardziel nie płacze i nie prosi po pomoc, stroni od lekarzy, za to myśli o seksie i marzy o władzy, ale ilu mężczyzn naprawdę pasuje do tego schematu? W „Wyborczej" i „Wysokich Obcasach" przyglądamy się współczesnym facetom, pokazujemy wszystkie odcienie męskości. Męskości na nowo.

Skoro Lubaszence się to przytrafiło, skoro nawet Monica Bellucci ma zmarszczki – to mnie też czeka! Nie chcemy konfrontować się z taką możliwością.
– Z drugiej strony te reakcje często pochodzą od osób, które nie miały ze mną tej równoległości, są „nowe" i po prostu reagują nieempatycznie, bezrefleksyjnie i automatycznie. Jest na to sposób, który sam próbuję stosować: zawsze, zanim zareaguję w jakiejkolwiek sprawie – czy w pracy, czy w życiu – staram się zadać sobie szybko kilka krótkich pytań.

Jakich?
– Czy to, co chcę powiedzieć albo zrobić, może komuś wyrządzić krzywdę, naruszyć jego harmonię, poczucie wartości. I jeśli któraś odpowiedź brzmi „tak", to staram się zmienić swoją reakcję. No ale wielu ludzi, zwłaszcza siedzących przed tabletem, laptopem czy w telefonie, które nie sprzyjają namysłowi, tych pytań sobie nie zadaje. A chciałbym, żeby tak było. Świat byłby lepszy. Może też wolniejszy – wszystko by się działo później o te dwie sekundy, ale z tego powodu nic by się strasznego nie stało, prawda?

À propos wyglądu i zmian w wyglądzie. Wymyśliłem taki paradoks: jest postać A i postać B. Postaci poznały się w młodości. Postać B wyjeżdża na koniec świata, gdzie jest odcięta od mediów. W międzyczasie postać A przybiera na wadze 100 kilogramów. A postać B cały czas siedzi w wiosce w Papui-Nowej Gwinei bez internetu, bez informacji o A. Po czym A heroicznym wysiłkiem chudnie 80 kg. W tym czasie postać B wraca, spotyka postać A i mówi, „Boże, ale przytyłeś". Paradoks polega na tym, że B widzi A grubszego o 20 kg.

Mnie samemu się to wydarzyło. Przyjechał ktoś, kto nie widział mnie bardzo długo i mówi „Rany boskie, ale ty przytyłeś!", a ja byłem właśnie w szczycie euforii, bo schudłem 50 kilo *(śmiech)*. Więc to rozumowanie z A i B daje inną perspektywę, pomaga mi w podtrzymywaniu tej uważności, że coś, co nam się wydaje uderzające, w prawdziwym kontekście wcale być może uderzające nie jest. Może je zarejestrujemy jako Paradoks Papuaskiej Wioski?

À propos paradoksów i filozofowania: czy miałeś jakiś wpływ na to, jak się nazywa twoja postać w „Napadzie"? Profesor Tadeusz Gadacz istnieje, jest cenionym filozofem i religioznawcą, byłym prowincjałem pijarów, który z miłości do rodziny zamienił zakon na świeckie życie.
– A filmowy Tadeusz Gadacz, podinspektor, major – też odszedł ze służby... To, że moja postać będzie się nazywać jak słynny profesor, było dla mnie niespodzianką. Oczywiście zastanawiałem się, czy jest w tym jakiś głębszy sens, ale o to chyba trzeba zapytać scenarzystę. Mnie to nazwisko dało pewien komfort – potraktowałem to jako furtkę, delikatne przyzwolenie na „ufilozofowienie" postaci.

Ale lekkie! Dzisiaj nie ma miejsca na większe filozofowanie, bo film jest jednak sztuką bezwzględnie uzależnioną od czasu. Czyli jeśli coś jest za długie, to tego nie ma – bo wylatuje, bo musi zostać ucięte. Gdyż podobno może zniechęcić część osób... Trzeba operować zwartymi komunikatami i nawet jeśli chcemy przeprowadzić jakieś rozumowanie, to musimy, robiąc film, nadać temu możliwie największą zwartość.

Twoja postać też tak „gadaczowo" łączy dużo aspektów, które w chrześcijaństwie są ważne – winę, odkupienie, objaśnianie świata. W tym przypadku młodej aspirantce.
– To jedna z moich ulubionych relacji i więzi w tym filmie, a Kieszonka grana przez Wiktorię Gorodecką jest ciekawą postacią, ponieważ – tak jak i mój bohater – jest wplątana w dwuznaczność, nieoczywistość. Popularnym hasłem zachwalającym zabawki edukacyjne jest „bawiąc, uczy", a Kieszonka ma „pomagając, szkodzić" – tego chcą od niej przełożeni. I też jest w tym rozdarta.

Wy wszyscy tam w dylematach i rozdarciu...
– Jeśli chodzi o mojego bohatera, to słowem, które przychodzi mi na myśl, jest „pęknięcie". Chociaż to też nie jest wystarczające słowo. Jest w Gadaczu coś, co go hamuje. Coś, co sprawia, że on jest wstrzymany, „zamrożony"...

Czyli jakaś trauma.
– Może po tym, co komuś zrobił? Po wyborach, których kiedyś dokonał. Mrok z przeszłości, który dopada – znam to również z własnego życia. I myślę, że na jakimś poziomie każdy człowiek to zna. To nie jest wyjątkowe uczucie: właściwie każdy ma rzecz, której się wstydzi. Jeśli ma jedną, to zazdroszczę, ale generalnie raczej mamy tych rzeczy, których się wstydzimy dużo.

Kolejna trudna postać to Kacper, podejrzany ochroniarz z banku, który z odpowiedzialności za rodzinę robi rzeczy złe. Odpowiedzialność bywa bardzo tricky, pokrętna.
– To faktycznie jest *tricky*: Kacper robi to, co robi, nie z odpowiedzialności, tylko z tego, jak on rozumie odpowiedzialność. To ważny niuans: jednym z haseł tamtego okresu...

...lat 90, w których dzieje się „Napad"...
...takich haseł wyrażanych expressis verbis, powtarzających się w przestrzeni publicznej, jak i niewerbalnie na nas działających, było „Weź swoje sprawy w swoje ręce". To jest postawa Kacpra i jego kolegów – i ona pokazuje, jak bardzo trzeba dbać o rozmowę, dialog ze społeczeństwem, jak dobrze wszystko tłumaczyć, żeby przekazy polityków, guru od ekonomii, od politologii, socjologii były właściwie rozumiane.

Brutalność, przemoc, reforma ekonomiczna, konsumpcja – lata 90. były jak wchodzenie pierwszy raz do dżungli. Nic nie byliśmy przygotowani i do dziś płacimy za to cenę

Bardzo przeżyłam ten odtworzony wiernie obraz lat 90, z mistrzowską sceną przymierzania dżinsów w błocie, na bazarze. Od razu przypomniał mi się „Rojst" i to, co mówił mi Jan Holoubek – że zapomnieliśmy, jak to były brudne i brutalne czasy. Które zostawiły niezłą traumę na tym narodzie.
– To była trauma przechodzenia z brzydkiego kaczątka w łabędzia, z larwy w motyla. A jednocześnie to nie jest szczególnie piękny proces. Stąd często ten moment, kiedy larwa przeistacza się w owada, jest inspiracją dla autorów horrorów, prawda?

Ja wspominam tamte lata jako straszne czasy w wymiarze i estetycznym, i emocjonalnym. Straszne, jeśli chodzi o publiczne emocje i to, co nam towarzyszyło na ulicach. A jednocześnie „strasznie" piękne.

Kolejny paradoks.
– Lata piękne dla mnie, w sferze osobistej, bo to była moja i moich przyjaciół młodość. Klasyczny przykład mieszanych uczuć – zmieszanych nawet i mocno wstrząśniętych jednocześnie. Czyli jak drink Jamesa Bonda, ale bez Jamesa Bonda, bez smokingu i bez eleganckiego kasyna. Właśnie wstrząśnięte i zmieszane były te czasy dla mnie, bo towarzyszył nam wstrząs i permanentna, trwająca wiele lat, a u niektórych do dzisiaj – konfuzja. Które to słowo może się kojarzy z twórczością Fredry – „jestem skonfundowany". Ale mnie chodzi bardziej o to an-

Dziękujemy Galerii Zachęta za udostępnienie wnętrz do realizacji sesji zdjęciowej

eprasa.pl d6338e1d66

gielskie wyrażenie „I'm confused", co może oznaczać trochę więcej.

Pogubienie. Lekkie szaleństwo nawet.
– Bo to było pogubienie i szaleństwo: na ulicach wybuchały bomby, strzelano do ludzi. Można było od tego uciec w zabawę, w alkohol albo się izolować w jakichś swoich światach, natomiast wystarczyło włączyć telewizor albo otworzyć gazetę i zobaczyć rzeczywistość, która krzyczała, wdzierała się w nasze głowy i serca.

A, jeszcze jedno. Wtedy media, które znaliśmy, były sztywne, oficjalne i „grzeczne".

Wyczyszczone z kontrowersyjnych informacji, jeśli tylko nie służyły one władzy. Takie je znaliśmy – nawet jeśli byliśmy dziećmi – z późnego PRL, z lat 80. Ale właśnie w „najntisach" to się zmieniło.
– A myśmy wcześniej nie znali tej brutalności. Może z kina, ale nie w takiej realnej formie, w jakiej ona nagle i wyraziście zaistniała w przestrzeni medialnej. I jest z nami do dziś – tylko teraz już mamy mechanizmy obronne przed bombardującymi nas informacjami. A lata 90. były trudne, bo na nic nie byliśmy przygotowani. To był eksperyment, w takim sensie, w jakim eksperymentem jest wchodzenie pierwszy raz do dżungli. Myśmy wszyscy weszli do dziewiczej dżungli i do dziś płacimy za to cenę. Tą ceną jest rozbicie, niepewność, lęk.

Do tego – musimy pamiętać – doszła naprawdę ostra reforma ekonomiczna. Dziś wiemy, że może nie musiała być tak gwałtowna, ale taką wybrano drogę i to bardzo wiele osób pozbawiło na długo poczucia bezpieczeństwa. Tłumaczę te ówczesne emocje, bo trochę pozwalają zrozumieć chłopaków z „Napadu".

A nie nas wszystkich? Czy to nie są w jakiś sposób źródła naszej tożsamości, zachowań?
– Ja na to nie wpadłem, ale masz rację. Mało tego, ten eksperyment tak naprawdę wciąż trwa – bo czym jest trzydzieści parę lat z punktu widzenia długofalowych przemian społecznych. I ciekawe, co będzie dalej. Czy za naszego życia przydarzy się kolejny przełom? Boję się, że jeśli tak, to nie będzie nic dobrego. Pójdziemy w stronę jakiegoś całkowitego zwrotu, odrzucenia tych zasad, które obecnie funkcjonują – nawet jeżeli ktoś uważa, że nie są idealne, to jednak wciąż są to jakieś zasady.

Ja jako dziecko lat 90. chodząc po ulicach polskich dostatnich, piękniejących miast, ciągle czuję, że coś jest nie tak. Za dużo, za szybko, za dobrze. Czuję...
– ...dysonans? Znam to uczucie. Z jednej strony widzimy, że wszystkiego dużo i że to świeci, wabi, kusi. I że można to sobie kupić, jeśli się posiada środki. A jeśli się ich nie posiada, to już tuż za rogiem jest taki stoliczek, gdzie można wziąć kredycik i już można sobie zaspokoić głód obszaru nagrody w mózgu. Ale obawiam się, że to droga donikąd.

Od paru lat jestem na etapie implementacji „brzytwy Ockhama" we własnym życiu, czyli redukuję rzeczy zbędne, bo już się chyba napatrzyłem, nakupowałem, zobojętniałem. Lecz są ludzie, którzy trwają w tym zachłyśnięciu i nawet ich rozumiem. To jest przyjemne. Nie oceniam, nie wartościuję. Nie wiem, czy moja postawa jest lepsza. W ogóle takiej pokusy nie mam, żeby mówić, kto co robi lepiej. Mogę mówić, co mi się bardziej podoba.

Ty byłeś jako reżyser portrecistą tego naszego zachłyśnięcia, nienasycenia.
– Nie zdając sobie z tego do końca sprawy. Pamiętam taką recenzję „Poranka Kojota". To była dość prawicowa gazeta. Zapamiętałem tytuł: „Parada leniwych karłów". Autor skrytykował ten film za pokazywanie ludzi, dla których tylko względy materialne są motywacją życiową.

I ja się z tą krytyką po latach zgadzam. Tamte lata, w których narodziło się konsumpcyjne szaleństwo i do naszego pejzażu wkroczył bezduszny ład korporacyjny, zasługiwały na taką analizę i sprzeciwy, jak w artykule tego pana. Bo trzeba mówić „hola, hola", jak się coś dzieje za mocno.

Tyle że nawet najbardziej słuszne i uzasadnione „hola, hola" staje się bezwartościowe, kiedy ubrane jest w szaty hejtu, a taka była forma tej recenzji, hejtersko-napastliwa i pogardliwa. Więc wracam do tego, o czym już mówiliśmy, à propos ranienia – trzeba bardzo dbać nie tylko, co się mówi, ale i w jaki sposób.

Twoje filmy z lat 90. i dwutysięcznych – „Sztos", „Chłopaki nie płaczą", „Poranek kojota", „ E=mc²", wielkie przeboje kin – miały być po prostu rozrywką, a my po latach traktujemy je jako „portret tamtych czasów" i robimy na ich podstawie analizę społeczną. To ja zrobię swoją. Oglądałam ostatnio „Chłopaki nie płaczą" i pomyślałam, jak bardzo źle jest, kiedy ludzie nie rozumieją ironii i satyry.
– Ironia jest takim środkiem, który najłatwiej zakwestionować. Ironia używana w słowie pisanym, jeśli ma być odebrana zgodnie z intencją, wymaga bardzo dużego zaangażowania, uważności od czytelnika. Czytanie ironii to kompetencja. Ironia używana w teatrze albo w filmie jest łatwiejsza do rozszyfrowania, ponieważ wzmacniamy przekaz werbalny kontekstem, formą mimiczną, intonacją, w reszcie tym, jak reagują ci dookoła. Współczuję ironii, bo jest łatwa do zakwestionowania. Jeśli się ma złą wolę, można udawać, że się jej nie zauważyło. Wtedy łatwo skrytykować każdy przekaz jako prymitywny i prostacki przekaz wprost.

Tylko że „Chłopaki" to nie był przekaz wprost. Chyba dobrze, że nie reżyseruję tego filmu dzisiaj, bo byłby bardziej zachowawczy, grzeczniejszy, może wręcz bardziej konserwatywny. Nie w sensie poglądów politycznych, tylko braku brawury.

A co ty o takich chłopakach myślałeś wtedy? I w ogóle o chłopakach, mężczyznach, męskości.
– Miałem krótki moment fascynacji taką „męską" męskością. To był czas, kiedy czytałem Hłaskę, Hemingwaya i mi się to podobało, że mężczyzna mówi mało, krótkimi, często brutalnymi słowami, pali papierosa, gasi go i odchodzi, stawiając kołnierz prochowca. Oczywiście jest pijany, ale stylowo, burbonem pitym w chicagowskiej spelunce albo tanią wódą z gwinta w ruinach powojennej Warszawy.

Lecz dość szybko we mnie dominującą stała się właśnie ironia, jako sposób myślenia, który mi towarzyszy właściwie cały czas. Choć z tej naszej rozmowy być może nie wynika, że jestem wesołkiem, to naprawdę trudno mi prowadzić jakieś rozumowanie w stu procentach serio, bez tego upuszczenia powietrza. Więc powiedziałbym, że dmucham balony i od razu sam je przekłuwam *(śmiech)*. Takie działanie wygląda nawet dość efektownie, ale jego suma logiczna wynosi równiuteńkie zero.

A twój Tadeusz Gadacz jest już uosobieniem nowej męskości. Uważny, opiekuńczy, pełen szacunku i partnerski. To tym ciekawsze, że wywodzi się z późnego PRL-u, ze świata męskości nawet już nie maczystowskiej, ale zmęczonej, zrezygnowanej, sfrustrowanej, wyładowującej te emocje na innych.
– Jestem dosyć zdumiony, bo nie myślałem o Gadaczu w ten sposób. To też jest rodzaj deficytu – rzadko wpadam na to, że coś, co robię, jest postrzegane szerzej.

Reżyserujesz komedie, farsy, sam mówisz, że jest w tobie śmieszek, a jednocześnie twoją ulubioną powieścią jest „Idiota" Dostojewskiego, jesteś głęboko refleksyjny i wybacz – raczej smutny. Jak ci się to skleja?
– A skąd pomysł, że mi się to skleja? To jest...

...to pęknięcie.
– To tak jakby stać dwiema nogami na dwóch lodowej kry – te kawałki mają tendencję do oddalania się od siebie, więc musisz włożyć bardzo dużo wysiłku, żeby nie spaść. To da się zrobić, trzeba tylko mieć dobrą „pracę nóg". „Jak wiadomo, praca nóg to podstawa".

A skoro przywołałaś Dostojewskiego, to moją ulubioną powieścią od jakiegoś czasu jest już – bo jakżeby inaczej – „Mistrz i Małgorzata".

Często ostatnio mówisz, że jesteś diametralnie inną osobą, niż byłeś kiedyś.
– Diametralnie. Patrzę na tamtego siebie – i w związku z tym też na te lata 90., kiedy miałem 25 lat – jak na film z czyimś udziałem. Z udziałem kogoś, kto jest podobny fizycznie, ma trochę podobny głos i tyle. A jednocześnie, gdy czasem oglądam filmy ze sobą na kanałach ze starymi filmami, to one są przedstawiane „z archiwum". Kurwa, ja mam 56 lat i jestem już w archiwum?! *(śmiech)*.

Ale tak czy inaczej, oglądam coś, o czym już zapomniałem. Wiem, że było, ale nie pamiętam żadnych szczegółów. I odkrywam, że jeśli chodzi o przekaz, o emocje – to się nie zmieniło. Że ten chłopak zagrał lepiej, niż bym się spodziewał po sobie z takiej zamierzchłej przeszłości, i że to jest ciągle blisko mnie teraźniejszego...

Natomiast to, jak ten chłopak się zachowywał w życiu, jak bardzo daleko mu było do odpowiedzialności, jak bardzo nie wierzył, że życie to jest jednak przedsięwzięcie długofalowe – czyli żył, jakby jutra rzeczywiście miało nie być... To jest mi dzisiaj tak obce, że sam sobie wydaję się postacią egzotyczną. I mamy kolejny tytuł wywiadu.

Marzy ci się, żeby ktoś cię obsadził w czymś albo dał na warsztat coś, na co za kolejne 20 lat mógłbyś tak właśnie spojrzeć?
– Najbardziej chciałbym mieć poczucie, że robię rzeczy, na których mi zależy. Czyli uprawiając zawód, który polega na byciu człowiekiem do wynajęcia, w jak najmniejszym stopniu być człowiekiem do wynajęcia... Dlatego może i jestem trochę nieobecny, może to nie jest tylko wrażenie publiczności. Projektów jest rzeczywiście mniej, bo w wielu proponowanych nie wziąłem udziału. A w jeszcze większym stopniu to dotyczy reżyserii, dlatego praktycznie w ogóle nie reżyseruję. I tu zniknąłem naprawdę. Czasem wchodzę na Wikipedię, żeby sprawdzić, ile to już lat minęło *(śmiech)*. Trzynaście!

Szukam wyzwań, w których będę wierzył, że mogę taki być, że mogę tak siebie wyrażać. A nie wykreować kogoś, z kim nie mam w ogóle nic wspólnego. A próbowałem. Wyobraź sobie, że zagrałem samego Reinharda Heydricha w „Sensacjach XX wieku", bo mi się ta postać wydawała interesująca, ale do tego stopnia była nie dla mnie, że przypłaciłem to problemami kardiologicznymi. Mój organizm odrzucił Heydricha. Po prostu metodą wielokrotnych sprawdzeń aktor – i każdy człowiek w innej dziedzinie życia – dochodzi do tego, że wie, w czym może być prawdziwy, w czym może realizować się w najbardziej wartościowy sposób.

O to chodzi, a nie o tę mityczną „strefę komfortu". Jak mi ktoś na początku współpracy proponuje „wytrącenie ze strefy komfortu", to zazwyczaj jest koniec tej współpracy. Ale nie dlatego, że uważam wytrącanie ze strefy komfortu za coś skrajnie głupiego, tylko dlatego, że ja nie bardzo wiem, co to znaczy, bo nie bywam w strefie komfortu. Nie ma mnie więc z czego wytrącać.

No dobrze, to za jaką rolą tęsknisz?
– Nie tęsknię za rolami, tylko za spotkaniami. Mam głód spotykania – w życiu i w pracy – wrażliwych, uczciwych ludzi. A co do ról, to po takim już dość sporym doświadczeniu – bo ta „zabawa" już trwa 43 lata – wiem, że mogę być wiarygodnym księdzem, mogę być policjantem, sędzią, trenerem, może politykiem...

Czy ja wiem...
– No tak, granie polityka to nieunikniony kontakt z cynizmem. W ogóle spotykamy się z nim coraz częściej, a ja myślę, że trzeba robić wszystko, żeby go unikać. Cynizm i tak sobie świetnie poradzi, nawet bez naszego wsparcia.

Więc wiem, kim mogę być, w jaką rolę wejść i ta świadomość mi wystarcza. Jest takie określenie „być na świeczniku" – to atrakcyjne, pociągające, kuszące, ale warto pamiętać, że na świeczniku jest świeca. Która owszem, płonie pięknym płomieniem, daje ciepłe światło, ale jednocześnie spala się i topi. I tak się jakoś składa, że im większy, im bardziej efektowny jest płomień, tym szybciej ta świeczka znika.

No to mało optymistycznie na koniec.
– Jest bon mot, który wyraża podobną myśl, ale w mniej przygnębiający sposób: „W życiu jak w saunie, im wyżej siedzisz, tym bardziej się pocisz". ●

• „NAPAD" dramat kryminalny, Polska 2024, reżyseria Michał Gazda. Premiera na NETFLIXIE 16 października.

Początek lat 90., wydalony ze służby funkcjonariusz policji, grany przez Olafa Lubaszenkę, dostaje szansę. Odzyska dawne życie, gdy rozwiąże sprawę brutalnego napadu na bank w Warszawie. Z młodą policjantką przydzieloną do sprawy muszą działać szybko – zainteresowanie mediów napadem nie jest na rękę nowej władzy. Śledztwo prowadzi do trzech przyjaciół, którym przewodzi zdesperowany młody ochroniarz. W tej roli Jędrzej Hycnar.

Olaf Lubaszenko

• ur. w 1968 r., aktor, reżyser teatralny i filmowy. Członek Europejskiej Akademii Filmowej. Na przełomie lat 80. i 90. stworzył jedne z najciekawszych kreacji polskiego kina. Zagrał m.in. w „Marcowych migdałach" Radosława Piwowarskiego, „Historii niemoralnej" Barbary Sass i w kultowych dziś filmach Władysława Pasikowskiego: w „Psach", „Słodko gorzkim" i „Demonach wojny wg Goi" oraz tytułową rolę w „Krollu". W koprodukcji „Zabić Sekala" Vladimira Michalka za rolę Jury Barana otrzymał nagrodę na festiwalu w Karlovych Varach, a także Orła i Lwa – nagrody polskiej i czeskiej akademii filmowej.

• W 1997 roku wyreżyserował swoją pierwszą fabułę – „Sztos", po czym nakręcił pięć kolejnych sensacyjnych komedii: „Chłopaki nie płaczą" „Poranek kojota", „E=mc2", „Złoty środek" i „Sztos 2". Wszystkie stały się kinowymi hitami.

• Obecnie Lubaszenkę można zobaczyć w „Ostatniej wieczerzy", „Miłości do kwadratu bez granic", „W lesie dziś nie zaśnie nikt" (Netflix) oraz serialach „Matka", „Rafi", „Lipowo. Zmowa milczenia" i „Krew". Na premierę czeka serial „Czarne stokrotki" produkcji Canal+, który magazyn „Variety" umieścił na liście najlepszych tytułów festiwalu MIPCOM w Cannes.

eprasa.pl d6338e1d66

Wystawa „Obłęd. Przypadek Mariana Henela” jest dużym wydarzeniem. A również źródłem pewnej nerwowości. Bo tak dzieła, jak i ich twórca nie należą do przypadków łatwych.

Lubieżnik z Bra

Emilia Dłużewska

Gobeliny są oszałamiające. Przykrywają niemal całe ściany dawnego pałacu biskupiego, w którym mieści się wrocławskie Muzeum Etnograficzne. Są tu ludzko-zwierzęce i ludzko-roślinne hybrydy, kobiety o obfitych kształtach z demonicznym uśmiechem zadzierają pielęgniarskie fartuchy. Inne postaci są bite, podglądane, krępowane. Gdzieś pręży grzbiet czarny kot, przelatuje nietoperz z ludzką twarzą i wielkimi kłami. Między nimi kłębią się węże, owady, demony. Wszystko to w roślinnej ornamentyce, niekiedy wręcz baśniowych krajobrazach. Horror vacui dopełniają podpisy: Marian Henel, Szpital Branice.

Gobelinów jest jedenaście. Henel stworzył je między 1968 a 1990 r. w Pracowni Ekspresji Sztuki Psychopatologicznej w Specjalistycznym Szpitalu im. Ks. Biskupa Józefa Nathana w Branicach, tuż pod czeską granicą. Znajdują się do tam dziś. Zobaczyć je niełatwo, bo szpital nie wystawia ich publicznie. Po raz pierwszy są pokazywane razem. Mogą je zobaczyć tylko widzowie pełnoletni.

Sadystyczny rys, niejasna przeszłość

– Gdybym miał Henela do czegoś przyrównać, byłaby to ryba głębinowa. Taka, która przyjmuje obrzydliwe formy, ale w gruncie rzeczy walczy o przetrwanie w skrajnie niekorzystnych, okrutnych warunkach – mówi prof. Piotr Oszczanowski, dyrektor Muzeum Narodowego we Wrocławiu i kurator wystawy.

Do zakładu w Branicach Henel został przyjęty w roku 1960, wcześniej odsiedział rok w więzieniu za podpalenie. W szpitalu mieszkał do śmierci w 1993 roku. Od momentu hospitalizacji o jego życiu wiemy wiele. O czasie przed Branicami dużo mniej. W biografii Henela nie brakuje niejasnych wątków. Trudno ocenić, co wydarzyło się naprawdę, a co jest wytworem fantazji; na ile sam wierzył w swoje opowieści, a na ile używał ich do budowania swojej mrocznej legendy.

Wiadomo tyle: urodził się we wsi Przystajnia pod Częstochową w latach 20. XX wieku, najpewniej w roku 1926. Dorastał w biedzie. Ojca nie znał, matka zmarła, gdy miał sześć lat. Osierocony chłopiec trafił do rodziny lokalnych gospodarzy. Praca ponad siły, głód i przemoc były wówczas normą, cudze dziecko z pewnością nie nie miało łatwo. Zwłaszcza odstające od normy – niskie, pokraczne, o dziwnie wykrzywionej twarzy.

Henel skończył sześć klas podstawówki, gdy miał trzynaście lat, uciekł od opiekunów. Najmował się do prac w gospodarstwach. W więzieniu doświadczył przemocy, w tym przemocy seksualnej.

Wiadomo, że po wojnie wstąpił do UB w Kluczborku. Pracował jako palacz, ale

1 RP

eprasa.pl d6338e1d66

FOT. WOJCIECH ROGOWICZ / MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU; ARKADIUSZ PODSTAWKA / MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

Henel grał mistrzowsko. Rozbudzał ciekawość, prowokował, obdarowywał personel pornograficznymi rysunkami, podsuwał słodycze upatrzonym pielęgniarkom. Robił rzeczy absolutnie obrzydliwe, a mimo to spora część personelu szpitala w Branicach wspominała go z sympatią

nic

twierdził, że uczestniczył też w egzekucjach. Przechwalał się, że torturował więźniów, a jego okrucieństwo szokowało nawet innych ubeków.

– Czy naprawdę tak było, nie jesteśmy dziś w stanie rozstrzygnąć. Być może mógłby to ustalić IPN – mówi Oszczanowski. – Nie ma wątpliwości, że Henel miał w sobie sadystyczny rys i w szpitalu znęcał się nad szczurami czy kotami. A jednocześnie wiemy też, że często na temat swojej przeszłości konfabulował. Budował swoją pozycję na permanentnym szoku, podkreślaniu swej demoniczności.

Podglądacz i obiekt pożądania

Jej częścią miał być niezaspokojony instynkt seksualny. Stanisławowi Wodyńskiemu, założycielowi Pracowni Ekspresji Sztuki Psychopatologicznej, Henel opowiadał, że masturbował się od dziewiątego roku życia. Inicjację miał przejść w wieku lat szesnastu, z dużo starszą żoną gospodarza, u którego pracował. Opisywał to tak: w nocy, pod nieobecność męża, wchodzi do sypialni kobiety. Zastaje gospodynię w zadartej białej nocnej koszuli, odwróconą tyłem i pochyloną nad łóżkiem.

Fantazja buzującego hormonami nastolatka? Wykorzystanie chłopaka przez dorosłą kobietę? Obustronnie satysfakcjonujący układ? Niezależnie od odpowiedzi, Henel odtwarzał tę scenę wielokrotnie: na gobelinach, rysunkach, zdjęciach.

• Gobeliny Henela oszałamiają treścią i skalą. Największy ma ponad 6 metrów długości i 3 metry szerokości. Na dużym zdjęciu gobeliny: „Twarze" (1987, 260x485 cm) oraz „Wielkie tyłki" (1981, 240x480 cm) W kółku: fragment „Medalionów" (1979, 260x500 cm)

Fotografie można zobaczyć na wystawie. Czarno-biała klisza, kobiece sylwetki widziane z bliska, w prowokacyjnych pozach, niekiedy obnażone. Część z nich to lalki, którym Henel szył miniaturowe fartuchy. Do części pozował sam, w samodzielnie konstruowanych gorsetach i stanikach. Depilował się, tuczył cukrem, by zbliżyć się do wymarzonej figury.

O ile gobeliny dały Henelowi rozgłos jeszcze za życia, o tyle zdjęcia i rysunki nie budziły wówczas zainteresowania. Po jego śmierci obsługa szpitala wynosiła je na śmietnik wiadrami, uznając za bezwartościowe.

Rysunki zginęły bezpowrotnie, odbitek zachowało się kilkadziesiąt. Pokazują splątaną, nieoczywistą seksualność autora. Henel jest na nich jednocześnie podglądaczem i obiektem pożądania. Pozuje w kobiecych strojach, ale bez zahamowań eksponuje genitalia. Jakby od wytworzenia iluzji płci ważniejsze było jej odegranie. I zaszokowanie tym otoczenia.

Gra, żeby przetrwać

Nie mógł wiedzieć, że w tym samym czasie do sztuki wkracza pojęcie performansu, działania skupionego nie na wytworzeniu materialnego dzieła, a relacji między artystą a odbiorcą. Przez szokowanie widzów, wprawianie ich w niesmak czy dyskomfort, performerzy stawiali pytania o społeczne normy, niewidzialne struktury władzy, ale też o potencjał przemocy i okrucieństwa kryjący się w każdym z nas – jak w słynnym „Rhythm 0" Mariny Abramovic, która przez sześć godzin leżała bez ruchu, pozwalając widzom decydować, czy sprawią jej przyjemność, czy zadadzą ból.

Piotr Oszczanowski unika słowa „artysta". Przestrzega przed przypisywaniem Henelowi intencji, których nie wyrażał. – W jego działaniach były elementy, których nie jesteśmy w stanie w pełni zrozumieć. Całe jego życie było swoistą grą prowadzoną z otoczeniem. Stawką było przetrwanie.

Henel grał mistrzowsko. Rozbudzał ciekawość, prowokował, obdarowywał personel pornograficznymi rysunkami, podsuwał słodycze upatrzonym pielęgniarkom. Robił rzeczy absolutnie obrzydliwe, a mimo to, jak pisze dyrektor szpitala w Branicach Krzysztof Nazimek, przez sporą część personelu zapamiętany został „jako oryginalny pacjent, o którym mówi się z dużą tolerancją i sympatią".

Kiedy oficjalnie przestał być pacjentem, pozostał w szpitalu jako rezydent „ze względów socjalnych" – nie miał zawo-

eprasa.pl d6338e1d66

FOT. WOJCIECH ROGOWICZ / MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU ; ARKADIUSZ PODSTAWKA / MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

du ani bliskich, niekontrolowane obsesje i perwersyjne skłonności uniemożliwiały mu powrót do społeczeństwa. W Branicach miał zaś status jeśli nie celebryty, to przynajmniej oryginała. Z czasem zyskał prawo do opuszczania szpitala. I klucz uniwersalny, dający mu dostęp do wielu pomieszczeń. Jeszcze za życia stał się bohaterem dokumentu Jerzego Boguckiego pt. „Maniuś".

Patoerotyka i zamek Sinobrodego

Henel zaczął fotografować w szpitalu, aparat kupił za pieniądze zarobione na tkaniu szpitalnej bielizny. Sam skonstruował powiększalnik, by wywoływać zdjęcia i system pozwalający uruchomić migawkę sznurkiem. Na kilku fotografiach widać przecinającą kadr białą linię.

– Część osób, które poznały Henela twierdzi, że był osobą z niskim ilorazem inteligencji. Patrząc na te fotografie, trudno w to uwierzyć. Widać, że metodą prób i błędów doskonalił kadry, uczył się wykorzystywać możliwości aparatu – zauważa kurator. – Łatwiej mi uwierzyć w wersję mówiącą, że był nad wyraz twórczy. Choć to twórczość ocierająca się o szaleństwo.

Wystawa we Wrocławiu nieprzypadkowo zatytułowana jest „Obłęd". Oszczanowski nie stawia diagnoz. Podkreśla, że nie jest ekspertem. A w latach 60., gdy Henel został przyjęty do szpitala, możliwości badania były ograniczone, diagnozy stawiało się w oparciu o wywiad. Dziś może byłoby to łatwiejsze, choćby ze względu na narzędzia pozwalające monitorować aktywność mózgu, ale diagnozy nie można stawiać zaocznie.

Unikają jej również inne osoby, które napisały teksty do katalogu wystawy: dr Anna Steliga, malarka, pedagożka i specjalistka od art terapii pisze o „sztuce patoerotycznej". Dr Bogusław Habrat z Instytutu Psychiatrii i Neurologii przywołuje baśniową postać Sinobrodego, ukrywającego w zamkniętej na klucz komnacie poćwiartowane zwłoki żon.

– Henel się nam wymyka – przyznaje Oszczanowski. – Fascynuje nas, chcemy zrozumieć, co działo się w jego wnętrzu. Próbujemy go prześwietlić, zeskanować, znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania, które pozostawił. I ponosimy porażkę.

– Gdybym miał Henela do czegoś przyrównać, byłaby to ryba głębinowa. Taka, która przyjmuje obrzydliwe formy, ale w gruncie rzeczy walczy o przetrwanie w skrajnie niekorzystnych, warunkach

PROF. PIOTR OSZCZANOWSKI
kurator wystawy

FOT. ARCHIWUM SPECJALISTYCZNEGO SZPITALA IM. KS. BISKUPA JÓZEFA NATHANA W BRANICACH

- **Do autoportretów Henel zakładał pielęgniarskie fartuchy i pogrubiająca bieliznę. Nie tyle udawał kobietę, co ją odgrywał.**
- **Na górze z lewej: fragment gobelinu „Wisielec" (1983, 263×620 cm)**
- **Na górze z prawej: fragment gobelinu „Kobieta wamp" (1972, 290×190 cm)**

Pornografia à la Bosch

Mówienie o „obłędzie" ma też inną zaletę: pozwala zobaczyć w Henelu nie tylko przypadek psychiatryczny, ale człowieka, którego twórczość jest fenomenem w skali światowej.

Gobeliny można przypisać do nurtu tzw. art brut, sztuki nieprofesjonalnej, często tworzonej przez osoby wykluczone. Twórczością więźniów i pacjentów szpitali psychiatrycznych w XX w. zainteresowali się dadaiści, surrealiści i inni artyści awangardy. Fascynowało ich połączenie plastycznego talentu z niezgodną z klasycznymi regułami formą, nawiązania do kulturowych archetypów, religii czy baśni, często w połączeniu z wątkami biograficznymi, bieżącą polityką, społecznym komentarzem.

Na ich tle twórczość Henela wyróżnia forma: pełna rozmachu, wykorzystująca tkaninę, a nie, jak w większości przypadków, malarstwo czy szkice. I wyjątkowa, nawet jak na prymitywistów, obsceniczność. Paradoksalnie, szpital w Branicach dawał mu wolność, na którą nie mogli liczyć profesjonalni plastycy – przynajmniej ci, którzy chcieli swoje prace wystawiać. Pozwalał łączyć erotykę z przemocą i groteską, motywy baśniowe z perwersyjną pornografią.

W szpitalnej pracowni Henel miał dostęp do albumów ze sztuką, Stanisław Wodyński pokazywał mu obrazy Marca Chagalla, Teofila Ociepki, Hieronima Boscha. Z pewnością widział reprodukcję „Ogrodu rozkoszy ziemskich", gdzie rajskie sceny przeplatają się z erotyką i wulgarnością, a grzeszników pożerają demony o ludzko-zwierzęcych kształtach. Być może też średniowieczne bestiariusze czy obrazy Rubensa.

Historii o diabłach, wiedźmach i ich posłańcach: czarnych kotach, sowach, wężach, mógł słuchać dorastając na wsi.

Czy można założyć, że inspirował się nimi, świadomie zderzając ze sobą różne dzieła kultury? – Rozumiem tę pokusę, ale byłbym ostrożny. Takie założenie łatwo może nas zaprowadzić na manowce – odpowiada Oszczanowski. – Jako historyk sztuki wiem, jak często doszukujemy się artystycznych intencji tam, gdzie ich nie było. Czy w przypadku Henela mamy do czynienia ze celowym dialogiem z innymi dziełami sztuki, nie da się powiedzieć.

Terapia czy sztuka?

Dyrektor Muzeum Narodowego o gobelinach woli mówić nie jak o sztuce, a formie terapii – nawet, jeśli w przypadku Henela jej skuteczność jest wątpliwa. Tkactwo nie było dla niego drogą powrotu do społeczeństwa, nawet, kiedy przyniosło mu sławę. – Być może odciągało go od innych czynności, ale ostatecznie do końca się nie zmienił – przyznaje prof. Oszczanowski.

Nietrudno zrobić z Henela skandalistę, eksponować jego obrzydliwość, epatować perwersjami. Albo użyć go do innych celów, jak Stanisław Wodyński. Człowiek, który niegdyś zakładał pionierską pracownię dającą pacjentom możliwość ekspresji, namówił skrzywdzonego wyrzutka do tkania i pokazywał mu piękno, dziś na prawicowym portalu pisze: „Henel nie był chory psychicznie, był kanalią od urodzenia", a jego historię wrzuca w homofobiczny monolog o „woke, wymyślonym przez progeniturę Marksa".

Cierpiący w utopii

W katalogu wystawy dr Anna Steliga podkreśla, że pisząc o gobelinach Henela, arteterapeuci powinni kierować się „szczególną ostrożnością i delikatnością", by ich autora nie piętnować. Wrażenie, jakie robią gobeliny, jest niezaprzeczalne, wpisywanie ich w kontekst innych dzieł sztuki – uzasadnione. Łatwo można przy tym zapomnieć, że Marian Henel był nie tylko twórcą, ale też pacjentem. Człowiekiem skrzywdzonym, chorym, najprawdopodobniej cierpiącym.

Prof. Oszczanowski podkreśla, że mroczna historia Henela ma jasny rewers: historię samych Branic. – Tamtejszy szpital od powstania w 1904 r. miał rewolucyjne, wręcz utopijne założenia. Miał być miejscem nowoczesnym, nie tylko izolującym pacjentów, ale dającym im szansę powrotu do zdrowia. Pracownia Ekspresji Sztuki Psychopatologicznej powstała w latach 60., gdy wiele podobnych instytucji opierało się na brutalnym podporządkowywaniu pacjentów. Działa do dziś.

I dodaje: – Wierzę, że sztuka mogła dać Henelowi wytchnienie. Nawet, jeśli nie zaszła w nim trwała zmiana, to może choć na chwilę mógł pozbyć się strachu, zagubienia, cierpienia. Jego prace nie są łatwe w odbiorze, ale nie chcemy ich cenzurować. Potrzeba twórczości jest czymś głęboko ludzkim. Zadaniem muzeum jest pokazywanie całego spektrum człowieczeństwa, i piękna, i jego antypodów. Nawet, jeśli Henel dochodził do jego kresów, pozostawał człowiekiem. ●

„Obłęd. Przypadek Mariana Henela" – wystawa w Muzeum Etnograficznym we Wrocławiu – od 5.10.2024 do 16.02. 2025. Wystawa skierowana jest wyłącznie do osób pełnoletnich.

1 RP

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Dominik Gajda
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl d6338e1d66

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dziękujemy Mecenasom, Partnerom i Patronom medialnym Nagrody Literackiej „Nike" 2024

REKLAMA

Mecenas strategiczny:

PANATTONI

Mecenas:

ROBERT DOBRZYCKI fundacja

Fundator nagrody głównej:

PZU FUNDACJA

Partner Wydarzenia:

TOTALIZATOR SPORTOWY

Współproducent gali:

TVP

Patroni medialni:

ams chillizet GAZETA.PL TOK FM wyborcza.pl

Organizator:

Nike Nagroda Literacka

grupa medialna AGORA

Współorganizator:

GAZETA wyborcza

eprasa.pl d6338e1d66

CZUŁOŚĆ, WOLNOŚĆ, RÓWNOWAGA

Menopauza ale bez pauzy

FOT. ISTOCK

W firmach można już nakarmić dziecko piersią, zagrać w ping ponga, by rozładować stres, poboksować, gdy dokucza nam ADHD lub poćwiczyć jogę dla psychicznej równowagi. Dlaczego więc, gdy mamy menopauzę, musimy się z tym ukrywać?

Iwona Dominik

Policzmy: w Polsce są trzy miliony pracujących kobiet w wieku okołomenopauzalnym, czyli między 40 a 55 rokiem życia. Jak podaje Główny Urząd Statystyczny, to 20 proc. wszystkich pracowników w kraju. Prościej: co piąty pracownik w Polsce musi się ukrywać w firmowej łazience, wycierając pot, wachlować, gdy nikt nie widzi, maskować fluidem lub pudrem zaczerwienienie twarzy, walczyć z migrenami czy z mgłą mózgową.

Aż 94 proc. pracujących kobiet w wieku 40-55 lat odczuwa objawy transformacji menopauzalnej, a niemal połowa z nich doświadcza jednocześnie sześciu lub więcej uciążliwych objawów – wynika z najnowszego raportu Kulczyk Foundation „Niewidzialne w pracy. Kobiety w okresie okołomenopauzalnym". W przypadku 83 proc. pracowniczek dolegliwości te negatywnie wpływają na ich komfort i efektywność w pracy.

Mgła mózgowa i inne objawy

– U mnie zaczęło się od tego, że nagle traciłam przytomność. Byłam przekonana, że to serce lub zatrucie nikotynowe. Potrzebowałam roku, żeby do mnie doszło, że zaczyna się przekwitanie. Byłam zdziwiona, że to już – opowiada Ewa, 50-letnia nauczycielka.

– To się zadziało, gdy miałam 43 lata. Pierwszym objawem była mgła mózgowa – opowiada Kinga Fromlewicz, edukatorka menopauzalna. – Byłam przerażona, bo przecież zarabiam głową. Poszłam do neurologa. Na szczęście trafiłam na świadomego lekarza, który zasugerował objawy perimenopauzy. Wtedy pierwszy raz usłyszałam ten termin. To jest czas bezpośrednio poprzedzający menopauzę.

Choć współcześnie menopauza występuje przeciętnie w wieku 51 lat (taka średnia najczęściej jest podawana), w praktyce dotyka ona kobiet, które mają od 45 do 55 lat. Średnio jedna na sto przechodzi ją w wieku czterdziestu lat lub wcześniej.

Słowo „menopauza" określa ostatnią miesiączkę w życiu kobiety, co stwierdzamy, gdy przez kolejnych 12 miesięcy nie występuje krwawienie. Czas transformacji menopauzalnej jest dużo dłuższy i oznacza szereg zmian zachodzących w ciele kobiety. Oprócz uderzeń gorąca, czy intensywnego pocenia się to także bóle głowy i mięśni, problemy z koncentracją i pamięcią, ale też przewlekłe zmęczenie, bezsenność, tycie, zmiany skórne, a nawet ataki paniki. Lekarze wymieniają 34 różne objawy, które kobiety mogą odczuwać w czasie klimakterium. Szacuje się, że tylko 20 proc. kobiet przechodzi ten etap bez większych problemów lub bezobjawowo.

Dla Małgosi, wziętej prawniczki, najgorsze były nagłe zawroty głowy i zaczerwienienie na twarzy. – Czułam, jak twarz paruje mi z gorąca i spływa makijaż. Nastawiałam klimatyzację w gabinecie na 17 stopni, żeby przetrwać, klientom mówiłam, że się popsuła. Nikomu się nie przyznałam, przez co przechodzę. W moim świecie możesz narzekać na jetlag, zakwasy po treningu czy kaca, ale nie na uderzenia hormonów – zauważa gorzko.

Menopauza to wciąż w pracy temat tabu – jeden z ostatnich związanych z fizjologią kobiety. To sprawia, że kobiety niechętnie o tym mówią pracodawcy czy współpracownikom, bojąc się stygmatyzacji, niewybrednych żartów czy poczucia, że „są schodzącymi, a nie wschodzącymi gwiazdami korporacji".

– Ponad połowa kobiet, z którymi rozmawialiśmy, mówi o tym, że nie czuje się wystarczająco komfortowo, żeby otwarcie mówić w pracy o zdrowotnych potrzebach związanych z transformacją menopauzalną – mówi Joanna Maliszewska-Mazek z Kulczyk Foundation. – Kobiety zdają sobie sprawę, że wsparcie byłoby bardzo pomocne, ale jednocześnie nie mają poczucia, że mogą się o nie upomnieć u pracodawcy. A przecież połowa naszych pracowników to kobiety, które na pewnym etapie życia menstruują, a na kolejnym doświadczają objawów menopauzy. I potrzebują w związku z tym zorganizować swoje miejsce pracy.

Kinga Fromlewicz, która uczy biznes, jak wspierać w miejscach pracy kobiety w transformacji menopauzalnej, wizytę w firmie zaczyna zwykle od prośby skierowanej do działu HR. Chodzi o to, żeby zrobili mini audyt dotyczący struktury wieku. Zwykle słyszy: po co? Nas to nie dotyczy.

– Ostatnio rozmawiałam z korporacją zatrudniającą ponad 800 osób. Okazało się, że ponad 400 ich pracowników to kobiety, a około 200 – kobiety 45 plus. – mówi Kinga. Nie jest lekarzem, nie zaleca metod leczenia, nie prowadzi konsultacji. Jest osobą, która na podstawie zweryfikowanych danych, badań i wiedzy, przekazuje informacje na temat menopauzy.

– Zgłasza się do mnie coraz więcej firm zainteresowanych tematem menopauzy, prowadzę webinary dla pracowników, nie tylko dla kobiet, bo firmy często proszą, żebym wplotła też kilka informacji o andropauzie. Pomagam też przedsiębiorstwom tworzyć banki wiedzy na temat transformacji menopauzalnej, czyli zestaw dokumentów, przewodników, czym jest ten czas w życiu kobiety i jak sprawić, by wszystkim się dobrze pracowało – mówi. – Prowadzę również szkolenia dla osób, które chciałyby w firmach pełnić rolę tzw. meno przewodnika, czyli być pierwszym punktem kontaktu dla osób zmagających się z objawami w miejscu pracy. Napisałam też książkę „Menopauza nie robi sobie wolnego od 9 do 17", poświęconą tematowi menopauzy w pracy i jak nim skutecznie zarządzić – dodaje. – Jest więc coraz lepiej, ale to wciąż margines potrzeb.

Menopauza? A ile to kosztuje?

Tematu menopauzy nie wywołały do tablicy feministki, ale demografowie. Świat się

eprasa.pl d6338e1d66

starzeje. Według danych ONZ w 2050 r. na świecie będzie żyć 1,65 miliarda kobiet po 50 roku życia. W Polsce za 25 lat jedna trzecia społeczeństwa będzie miała więcej niż 65 lat. Badania sugerują, że jeśli zwiększymy udział w rynku pracy dojrzałych kobiet i zatrzymamy ich odchodzenie z rynku pracy, PKB Polski może wzrosnąć o 1,5 proc. Albo spaść na łeb i szyję, jeśli pozwolimy im zniknąć z horyzontu z powodu menopauzy.

A mogą zniknąć, bo spektrum objawów podkopuje pewność siebie wielu kobiet i wpływa na ich efektywność w pracy. Powoduje, że częściej biorą zwolnienia, decydują się na zmniejszenie etatu, likwidują firmy, odmawiają awansów, uciekają na wcześniejsze emerytury.

Jak wynika z badania Mayo Clinic z 2023 roku, tylko w Stanach Zjednoczonych traci się rocznie 26,6 mld dolarów z powodu utraty produktywności i wydatków na opiekę zdrowotną, których źródłem są pracownice zmagające się z objawami menopauzy.

1,8 mld dolarów to koszt tylko zwolnień lekarskich, nieuwzględniający skróconych godzin pracy, utraty zatrudnienia ani wcześniejszych emerytur. W Kanadzie Deloitte oszacowało, że menopauza kosztuje pracodawców 237 mln dolarów rocznie w postaci utraconej produktywności, a kobiety – aż 3,3 mld dolarów, licząc utracone dochody z powodu ograniczenia godzin i wynagrodzenia lub odejścia z pracy.

Nie brakuje też głosów, że to właśnie menopauza jest jedną z nierozpoznanych dobrze przyczyn „nieszczelności" procesu przywództwa i niedoboru kobiet na wyższych stanowiskach. Raport „Women in the Workplace" z 2023 roku McKinsey & Co. i LeanIn.org pisze „Dojrzałe pracownice odchodzą z czołowych stanowisk firm częściej niż kiedykolwiek wcześniej. Na każdą awansowaną kobietę na stanowisku dyrektorskim, dwie dyrektorki decydują się na odejście z firmy".

Firma przyjazna menopauzie

Że „inwestycja w menopauzę" rynkowo się opłaca, pokazuje przykład Wielkiej Brytanii. Na Wyspach jest 5 mln pracujących kobiet w wieku 45 – 60 lat. W ostatnich 5 latach z pracy odeszło na skutek objawów menopauzy aż 300 tys. kobiet. Dlatego brytyjska firma doradcza CIPD, ze wsparciem Izby Gmin, opracowała w 2021 roku profesjonalny przewodnik dla menedżerów działów HR, w którym pokazała, jak w prosty sposób można w każdej organizacji wprowadzić ułatwienia dla kobiet w wieku menopauzalnym. Dziś brytyjskie firmy zatrudniające powyżej 250 pracowników muszą starać się o certyfikat pracodawcy przyjaznego menopauzie. Jedna czwarta firm już wprowadziła tzw. politykę menopauzalną.

Coraz więcej firm w Europie tworzy też huby wiedzowe – foldery internetowe czy podstrony dla pracowników, gdzie wrzucane są różne materiały informacyjne o menopauzie. Organizują też webinary, a nawet powołują ambasadorów menopauzy w miejscu pracy. Taka osoba jest punktem kontaktu dla pracownic, które chcą porozmawiać o swoich doświadczeniach albo napotykają w tym okresie życia na jakieś problemy.

Nie tylko wiatraczek

– Jak sobie radzę? Zmieniłam sposób ubierania, zawsze mam w biurze bluzkę z krótkim rękawkiem i jakieś wdzianko. Jak mi gorąco, to się rozbieram, jak zimno - ubieram się. Kupiłam chusteczki nawilżane dla niemowląt. Nie przeżywam tego aż tak bardzo. Pracuję z rówieśnicami i nieraz mamy niezły ubaw z naszej menopauzy. Na zmiany się czerwienimy i pocimy. A jak psychika siada, to biorę tabletki na uspokojenie. – opowiada Wanda, 53-letnia księgowa.

Jednak oprócz chusteczek do nawilżania, schowanych w szufladzie, można kobietom zaoferować dużo więcej. Konkretnie co?

Najważniejsza jest elastyczność – tak, jak w przypadku ciąży czy karmienia piersią, pracodawcy mogą iść na rękę w sprawie pracy zdalnej lub elastycznych godzin pracy. Jeśli kobiety cierpią z powodu zaburzeń snu, rozwiązaniem może być choćby możliwość przyjścia do pracy później.

– Wszystko się zaczyna od świadomości. Nie chodzi o to, by stawiać przed biznesem następne wymagania i „dawać kobietom kolejne przywileje". Gdy zrobiłam ankietę i zapytałam kobiety, jakiego rodzaju udogodnienie najchętniej by widziały w pracy, 82 proc. powiedziało, że pragną tylko wyrozumiałości – mówi Kinga Fromlewicz.

Wachlarz rozwiązań jest szeroki. Na nagłe uderzenia gorąca pomaga możliwość regulacji temperatury w pracy (termostaty) czy zainstalowanie wentylatorów biurkowych. Można też tworzyć w firmach albo fabrykach tzw. cool roomy, czyli pokoje, gdzie temperatura jest niższa o kilka stopni, więc można się tam schłodzić. Ważny jest swobodny dostęp do łazienki, najlepiej z prysznicem. Tam, gdzie kobiety noszą uniformy, przydaje się zamiana nieprzepuszczającego powietrze poliestru na przewiewną bawełnę. I dostęp do szatni, by móc przebierać się tyle razy, ile jest to konieczne.

– Bardzo często sporo udogodnień menopauzalnych istnieje już w firmach. Mamy przecież w wielu miejscach dostęp do pryszniców, pokoje do odpoczynku, pomieszczenia dla matek karmiących, czy osób neuroróżnorodnych. Wystarczy je „zaadresować" do kobiet w okresie menopauzalnym. – mówi Anna Samsel z Kulczyk Foundation.

Ważniejsza od wiatraczków jest wspierająca kultura organizacyjna firmy. To na przykład obowiązkowe szkolenia, także dla menedżerów, dotyczące równości i różnorodności, uwzględniające menopauzę. Finansowanie badań lekarskich, karnetów sportowych, a także zachęcanie do tworzenia w miejscu pracy nieformalnych sieci wsparcia dla kobiet.

– Najważniejsze jest po prostu rozpoczęcie rozmowy na ten temat. Budowanie otwartego środowiska, w którym kobiety będą mogły bez wstydu powiedzieć, z czym się borykają. A wtedy każda firma będzie mogła dopasować najlepsze dla niej rozwiązanie – mówi Joanna Maliszewska-Mazek

Ale też nie tylko biznes ma do odrobienia lekcję z menopauzy. Porażająca jest też niewiedza na temat przekwitania wśród lekarzy. Wielu z nich nie aktualizuje swojej wiedzy i często opiera się na fałszywych przekonaniach. Raport Kulczyk Foundation „Menopauza bez tabu" wskazywał, że tylko połowa kobiet wiedzę na temat menopauzy czerpie od lekarzy.

Solidna dawka wiedzy przydałaby się też samym kobietom. 93 proc. Polek nie potrafi podać definicji menopauzy.

– Trudno się dziwić naszej niewiedzy. Kobieca dojrzałość ma krótką historię, to „wynalazek" ostatnich 150 lat. Wcześniej do menopauzy dożywało 20 proc. kobiet. A te, które dożywały, po pięćdziesiątce, stawały się obiektem podrzędnej kategorii, bo w patriarchalnym świecie miarą wartości kobiety są jej zdolności reprodukcyjne – mówi Anna Augustyn-Protas, autorka książki „W pełni. Jak zaprzyjaźnić się z menopauzą i brać od życia to, co najlepsze".

MILF kontra WHIP

Zmianę nastawienia kobiet wobec menopauzy kreuje dziś kultura. Klimakterium zagościło na salonach. Być może dlatego, że w okres okołomenopauzalny wchodzą przedstawicielki pokolenia milenialsów, bardziej otwarcie mówiące o swoim zdrowiu i bardziej świadome. Menopauzalny influencing rośnie więc w siłę.

„Miewałam dni, kiedy zerkając rano w lustro, miałam ochotę natychmiast zgasić światło" – przyznawała 60 -letnia Michelle Obama w wywiadzie dla magazynu „People" opowiadając o menopauzie i uderzeniach gorąca, które jej dokuczały, akurat w czasach, gdy była pierwszą damą. O klimakterium otwarcie opowiadają m.in. Oprah Winfrey, Gillian Anderson, Kate Winslet czy Emma Thompson, stając się rzeczniczkami dojrzałych kobiet.

Rośnie też liczba firm zajmujących się marketingiem skierowanym do kobiet wchodzących w okres menopauzy. To zarówno start-upy inwestujące w telezdrowie, jak i wspierane przez celebrytów (albo przez nich zakładane) marki kosmetyczne i wellness, takie jak Stripes Naomi Watts (aktorka doświadczyła pierwszych objawów klimakterium w wieku już 36 lat). Taką samą linię produktów wypuściła też Gwyneth Paltrow. Dziś szacuje się, że rynek menopauzy do 2030 roku będzie wart prawie 25 mld dolarów rocznie.

Sprzyja mu zmieniająca się powoli narracja wokół klimakterium. To nie koniec czegoś, a raczej nowy etap. Pięćdziesiątka to czas, kiedy kobiety mogą poświęcić więcej czasu sobie i swoim planom. Zakładają firmy, przyjmują decyzję o awansie, angażują się w nowe projekty.

– Dla mnie menopauza była darem. Bez niej nie zaczęłabym ćwiczyć, lepiej się odżywiać, dbać o siebie. Dzięki niej stałam się bardziej stanowcza, asertywna, menopauza uwolniła mnie od przymusu bycia miłą i cichą – mówi Anna Augustyn-Protas.

Być może to efekt tzw. wypłaszczenia hormonalnego. Menopauzalny spadek poziomu kobiecych hormonów, niemal do poziomu hormonów męskich – sprawia, że te drugie stają się bardziej słyszalne. U wielu kobiet do głosu dochodzi testosteron, co przekłada się na nasze zachowanie. – Dzięki niemu stajemy się bardziej śmiałe, otwarte, odwaane, stanowcze, asertywne i decyzyjne. I wiele z nas także ochocze w seksie – dodaje Anna Augustyn-Protas.

Przykładem kulturowo-hormonalnej zmiany jest nowy akronim. Na miejsce MILF (akronim od Mothers I'd Like to Fuck, w wolnym tłumaczeniu: „mamuśki, które chciałbym przelecieć"), czyli starszych, atrakcyjnych kobiet pojawiły się WHIP „Women who are Hot, Intelligent and in their Prime" – kobiety, które są pociągające, inteligentne i w swoich najlepszych latach. Może też chodzą do łóżka z młodszymi – ale to już ich wybór.

Jak dojrzewanie, tylko lepiej

– Dla mnie menopauza jest podobna do okresu dojrzewania – mówi 55-letnia Zosia. – Wtedy też była burza hormonów, zmiana wyglądu, spojrzenia na świat, naszego miejsca w nim. Czasem też mam wrażenie, że dość duża część kobiet nie bardzo zdaje sobie sprawę, przez co przechodzi. Tylko, że w naszym wieku moglibyśmy być rozsądniejsze, nie nazywać siebie emerytkami, nie chować się po kątach i udawać, że nas nie ma, biegając równocześnie do lekarzach. I może zamiast dawać się usuwać z rynku, powalczyć o prawo do nienormowanego czasu pracy?

Anna Samsel: – Dużo się mówi o work-life balance. Warto więc powiedzieć, że nasze życie wpływa na naszą pracę. Objawy menopauzy nie kończą się o 9, gdy wchodzimy do biura i zaczynają o 17, kiedy z niego wychodzimy. Dyskusję na temat menopauzy w pracy czas więc zacząć. I czas poszukać wspólnie mądrych rozwiązań. ●

Tematu menopauzy nie wywołały do tablicy feministki, ale demografowie. Świat się starzeje. W 2050 r. na świecie będzie żyć 1,65 miliarda kobiet po 50 roku życia

Czułość, wolność, równowaga

• Menstruacja, menopauza, równowaga w pracy, luka płacowa, rynek dla kobiet 50+, kompetencje przyszłości, siostrzeństwo – z wielką uwagą przyglądamy się naszym relacjom w nowej rzeczywistości. Z czułością i wrażliwością rozmawiamy o kobiecości, ale też męskości i niebinarności. Tworzymy nowy świat i pytamy o nasze miejsce w nim, zachowując balans."Czułość. Wolność. Równowaga" to akcja społeczna „Wysokich Obcasów" i „Gazety Wyborczej".

OGŁOSZENIE Kraj/34334634

Czułość. Wolność.
RÓWNOWAGA

ORGANIZATORZY
wyborcza.pl wysokieobcasy.pl

SPONSOR
KULCZYK FOUNDATION

eprasa.pl d6338e1d66

FOT. CARLOS BARRIA/REUTERS

• **Zapaśnik Hulk Hogan przemowę na Konwencji Republikanów w Milwaukee (18.07.2024) zakończył spektakularnym rozerwaniem koszulki** FOT. JUSTIN LANE/EPA

KTO NA NIEGO NIE GŁOSUJE, NIENAWIDZI AMERYKI

Celebryci, którzy pokochali Donalda Trumpa.

Marta Górna

Gdyby zebrać ich w jednym pomieszczeniu, przedstawialiby sobą niezwykły widok.

Emerytowany zapaśnik z wąsem koloru słomy i bandaną na głowie. Ikona rap rocka owinięta w amerykańską flagę. Telewizyjny gwiazdor lat 90., który pisze na portalu X, że odszedł z Hollywood, bo fabryką snów „rządzą pedofile". Wybitny aktor z pokrytym już patyną Oscarem i licznymi nominacjami do Złotych Malin. I kolejny, którego czasy minęły, jeszcze gdy Madonna była największą gwiazdą muzyki pop.

Wszyscy od lat bez względu na wszystko wspierają Donalda Trumpa. Wpływ na elektorat mają raczej marginalny: żadna z tych sław nie jest na miarę Taylor Swift, którą tylko na Instagramie obserwuje prawie 300 mln osób. To nawet nie drugi garnitur amerykańskich celebrytów.

Można się jednak zastanawiać, w jakim stopniu czasy prosperity skończyły się dla nich z powodu poparcia Trumpa, bo to ma swoje konsekwencje. Choć może stanowić też wygodną odpowiedź na pytanie, dlaczego pierwsza liga show-bizu już ich nie chce.

Penis Hulka Hogana

Zapaśnik to 71-letni Hulk Hogan, ikona wrestlingu, a w erze wypożyczalni kaset VHS gwiazdor nieśmiesznych komedii akcji. Na lipcowej Konwencji Republikanów w Milwaukee (stan Wisconsin), tuż po zamachu na Trumpa w Pensylwanii, teatralnie, jak przystało na wrestlera, rozdarł na scenie szaty. – Próbowali zabić następnego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Miarka się przebrała! Uczyńmy Amerykę znów wielką! – skandował hasło swego idola. Hogan uchodzi na świecie za najsłynniejszego zapaśnika w historii. W Ameryce, gdzie wrestling to sport narodowy, jest ikoną lat 80. W Polsce popularność zdobył dzięki wspomnianym komediom.

Dziś jest głównie celebrytą: miał telewizyjny reality show, a dekadę temu poruszenie wywołała sekstaśma z udziałem jego i Heather Clem, byłej żony prezentera radiowego Bubba the Love Sponge'a, który zresztą ich filmował. Hogan tłumaczył w mediach, że był wtedy na dnie i podjął złe decyzje. Pozwał Clem, radiowca, a także serwis Gawker, który opublikował fragment sekstaśmy. W wyniku ugody dostał od tego serwisu 31 mln dol.

Media często łapały go na kłamstwach. A to twierdził, że jego fanem był Elvis Presley, który zmarł dwa lata przez sportowym debiutem Hogana, a to, że Metallica i Stonesi namawiali go, by grał u nich na basie. Albo chełpił się, że jego penis ma w zwodzie ponad 20 centymetrów, ale w czasie sądowej batalii o sekstaśmę temu zaprzeczył. Penis Hulka Hogana tyle ma, ale penis Terry'ego Bollei – tak Hogan nazywa się naprawdę – niekoniecznie.

Biorąc to wszystko pod uwagę, trudno sobie wyobrazić, że Hogan mógłby popierać kogoś innego niż Trump.

Jezus popiera Trumpa

Zwolennikiem Trumpa jest też Kevin Sorbo, w latach 90. jeden z najpopularniejszych aktorów telewizyjnych. Wcielał się w Herkulesa w popularnym serialu, ale jego passę przerwała seria udarów, po których podupadł na zdrowiu.

Od lat grywa w filmach religijnych powstających na obrzeżach Hollywood. To nisza często okupowana przez gwiazdy popierające Republikanów. Sorbo na portalu X narzeka na to, że USA wysyłają Ukrainie pieniądze, namawia rodziców do rezygnacji ze szkół publicznych na rzecz nauki domowej, potępia aborcję i twierdzi, że „każdy, kto nie głosuje na Trumpa, nienawidzi Stanów Zjednoczonych".

Twierdzi też, że z Hollywood pożegnał się sam, ale to fabryka snów nie nalegała, by został. Po pierwsze, dlatego że jego pierwsza superprodukcja „Kull zdobywca" z 1997 r. słabo poradziła sobie w kinach. Producenci uznali więc, że Sorbo to za słaba marka, by przyciągać widzów. Po drugie, bo Hollywood nie przepada za Republikanami. Jego największe gwiazdy – np. Meryl Streep, Leonardo DiCaprio czy Jennifer Lawrence – popierają Demokratów.

Na dużym ekranie niespecjalnie jest też miejsce na konserwatywne wartości i moralne restrykcje rodem z ery kodeksu Hayesa. Dlatego republikanie wśród hollywoodzkich aktorów występują głównie w filmach, które odzwierciedlają ich sposób myślenia.

• **Elon Musk, m.in. właściciel platformy X, dyrektor generalny firmy Tesla i jeden z najbogatszych ludzi na świecie, na wiecu wyborczym Trumpa w Butler w Pensylwani (5. 10.2024). To tam na początku lipca doszło do zamachu na kandydata Republikanów**

1 RP

eprasa.pl d6338e1d66

Od tej reguły są jednak wyjątki. Ubiegłoroczny film „Sound of Freedom. Dźwięk wolności” – o agencie rządowym, który rezygnuje z kariery, aby ratować dziecięce ofiary handlu ludźmi – był wielkim hitem amerykańskich kin. Przy budżecie kilkunastu milionów dolarów zarobił ponad 300 mln, a jego gwiazda Jim Caviezel (co znamienne, zagrał Chrystusa w „Pasji” Mela Gibsona) w jednym z wywiadów porównał Trumpa do biblijnego Króla Dawida i nazwał go „boskim pomazańcem”.

Od premiery „Sound of Freedom. Dźwięk wolności” Caviezel nie wystąpił w niczym znaczącym. Ma jednak wrócić jako Jezus w drugiej części Gibsonowskiej „Pasji”, w swoich wyborach jest więc konsekwentny. W lipcu wyraził „pełne poparcie” dla Trumpa.

FOT. PAP/UPI PHOTO/NEWSCOM/JIM RUYMEN

• **Dennis Quaid i Jon Voight na premierze filmu „Reagan”.L.A., 20.08.2024**

Donald Trump od zawsze lubił się obracać w towarzystwie sław z Hollywood. Czy to pierwszej, czy tej przebrzmiałej wielkości. Sam też miał wielkie ambicje aktorskie, które zaowocowały Złotą Maliną dla najgorszego aktora drugoplanowego w filmie „Duchy tego nie robią (1989)”.

Trump jak Ronald Reagan

Jon Voight – laureat Oscara z 1979 r. – niedawno wystąpił w „Megalopolis”, spektakularnej klapie finansowej Francisa Forda Coppoli. Część kampanii promocyjnej filmu skupiała się na zaangażowaniu skancelowanych gwiazd. Jeśli Voight kiedykolwiek był w Hollywood objęty ostracyzmem, to właśnie z powodu poparcia Trumpa. Stoi przy nim murem od 2015 r., a Joego Bidena porównał kiedyś do szatana.

Z powodu poglądów politycznych poróżnił się z córką, Angeliną Jolie. Wciąż zdarza mu się pracować w Hollywood, bo talentu Voightowi odmówić nie można. „Nocny kowboj”, „Uciekający pociąg” czy „Powrót do domu” (za rolę w tym filmie dostał Oscara) przeszły do historii kina także dzięki jego aktorstwu.

Voight występuje dziś głównie w filmach chrześcijańskich i tanich thrillerach klasy C. Zapytany niedawno przez serwis Variety o antytrumpowskie tony w „Megalopolis”, odparł, że ich nie dostrzega. – Gdybym je zobaczył, powiedziałbym Francisowi, że przekracza granicę.

Pomiędzy chrześcijańskim a mainstreamowym Hollywood balansuje od lat Dennis Quaid, aktor ceniony za role w „Daleko od nieba” z Julianne Moore i megahicie „Pojutrze”. Niedawno Quaid zagrał republikańskiego prezydenta i konserwatystę Ronalda Reagana. Z tej okazji tłumaczył serwisowi CNN, dlaczego wspiera Trumpa. – To człowiek swoich czasów, tak jak Reagan. Uważam, że ich system wartości jest bardzo podobny.

W rytmach hip-hopu

Trumpa popierają również mniej lub bardziej otwarcie m.in. megagwiazda rapu 50 Cent (po zamachu na Trumpa zagrał koncert na tle twarzy kandydata), znany z komiksowych superprodukcji i serialu „Chuck” Zachary Levi (media przewidują, że to może być koniec jego kariery w liberalnym Hollywood), a także ikona hip-hopu Kanye West i oczywiście Elon Musk, co nie jest zaskoczeniem.

Wiara w to, że Trump uratuje Amerykę, musi naprawdę scalać, skoro w tym towarzystwie odnajduje się też Kid Rock, gwiazdor rap rocka, który wygląda, jakby codziennie przebierał się za amerykańską flagę. Paradoksalnie to on może się wydawać w tym towarzystwie najbardziej stonowany. Popiera homoseksualne małżeństwa i uważa, że „szaleńcy nie powinni mieć dostępu do broni”.

A jednak w lipcu wystąpił na wiecu wyborczym Trumpa ze swoim największym hitem: „American Badass”. Tekst utworu niewiele ma wspólnego z chrześcijańskimi wartościami, piosenka o „dupach” i „fakach” stała się jednak hymnem wkurzonych, konserwatywnych Amerykanów, którzy uważają, że władze zapomniały o ich interesach.

Być może grono sław wokół Trumpa tylko pozornie wygląda na przypadkową, wytartą zgraję, a w rzeczywistości kolektywnie jest w stanie dotrzeć do kilku grup społecznych: milionów Amerykanów, dla których Hulk Hogan wciąż jest kimś, tych wierzących w zepsucie Hollywood, inteligentnych symetrystów, wielbicieli wielkiego kina. A także tych, którzy najbardziej pragną zmiany – do najbardziej rozczarowanych.

REKLAMA

Kraj/34341358

WIELOLETNI KORESPONDENT POLSKIEGO RADIA I AUTOR BESTSELLERÓW

MAREK WAŁKUSKI

„ZAKAMARKI BIAŁEGO DOMU”

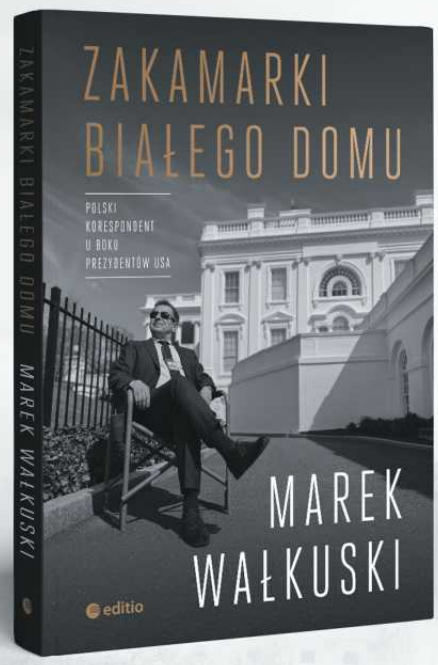

→ **TRUMP I BIDEN Z BLISKA**
→ **POLITYCZNE INTRYGI I ZAKULISOWE NEGOCJACJE**
→ **CIEKAWOSTKI I TAJEMNICE PROSTO Z BIAŁEGO DOMU**

WITAJ W NAJBARDZIEJ STRZEŻONYM BUDYNKU ŚWIATA!

Wydawnictwo EDITIO
Książkę znajdziecie w Empikach i dobrych księgarniach!

Trump miał wrogi stosunek do mediów głównego nurtu. Przedstawiał dziennikarzy jako reprezentantów liberalnych elit, przy każdej okazji atakował reporterów i krytykował ich za rzekome fake newsy. Posunął się nawet do tego, by nazwać prasę wrogiem narodu. Jednak mimo antagonistycznych relacji z dziennikarzami był bardziej dostępny dla mediów niż jego poprzednicy.

Spotkania Trumpa z zagranicznymi politykami w Gabinecie Owalnym niejednokrotnie zamieniały się w spontaniczne konferencje prasowe. Zdarzało się, że wpadał niezapowiedziany do sali konferencyjnej albo odpowiadał na pytania podczas posiedzeń gabinetu. Regularnie zatrzymywał się też przy dziennikarzach zgromadzonych, by obserwować jego odlot helikopterem Marine One. To wtedy uznałem, że uciążliwości związane z pracą zagranicznego korespondenta w Białym Domu mogą być warte dodatkowego wysiłku i zacząłem się tam pojawiać regularnie. Zmiana sposobu wykonywania przeze mnie zadań nie byłaby jednak możliwa bez postępu technologicznego.

(...)
Od początku 2018 roku zacząłem się pojawiać w Białym Domu codziennie, choć na początku było to bardzo uciążliwe i czasochłonne. Jako dziennikarzowi zagranicznemu niejednokrotnie zdarzało mi się czekać godzinę na eskortę przy budce strażników w 40-stopniowym upale albo w siarczystym mrozie, bo akurat wszyscy pracownicy biura prasowego byli zajęci. A gdy już znalazłem się w środku, nie mogłem nawet wyjść po kawę, bo ponowne wejście na teren kompleksu wymagałoby kolejnego długiego oczekiwania. Do tego dochodził brak własnego miejsca pracy, przez co musiałem pisać i montować relacje dla radia, trzymając laptop na kolanach i siedząc na murku przy wejściu do biura prasowego, a w najlepszym wypadku na udostępnionym przez kogoś miejscu w sali konferencyjnej. Niedogodności szybko zostały mi jednak zrekompensowane dzięki możliwości zadawania pytań prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Tylko w ciągu kilku pierwszych miesięcy udało mi się uzyskać komentarze Donalda Trumpa na temat liczebności wojsk amerykańskich w Polsce, jego stosunku do NATO, gazociągu Nord Stream 2 i rocznicy wybuchu powstania warszawskiego. Większość tych odpowiedzi trafiała w Polsce na czołówki serwisów informacyjnych. Codzienna obecność w Białym Domu była też okazją do zawierania znajomości oraz dowiedzenia się, jak pracuje prezydent i jego ludzie. Z czasem uzyskałem stałą przepustkę zwaną hard passem, dającą prawo wchodzenia na teren Białego Domu o dowolnej porze bez eskorty i skomplikowanych procedur.

1 RP

eprasa.pl d6338e1d66

POLAK alkoholik?

Kamil Fejfer

Szymon Hołownia: „Zło w czystej postaci". Ministra edukacji Barbara Nowacka: „Przecież dziecko czy rodzic, kupując mus, może się pomylić". Feministka celebrytka Maja Staśko – „Ci ludzie wprost reklamują alkoholizm i pakują go w przygodę, sztukę i innowacyjność". Influencerka dietetyczno-kulinarna Katarzyna Bosacka – „Mogłabym prześmiewczo napisać, że czekam na wódkę instant albo w drażach". I, najzwięźlej, Borys Szyc – „Nosz k***a mać!". To wszystko reakcje na wieść o, jak to się mówi, rynkowej premierze alkoholu w saszetkach przypominających musy owocowe. Szczególne oburzenie wzbudziło zdjęcie, na którym ktoś – handlowiec lub personel sklepu – ustawił alkoholowe musy, do złudzenia przypominające zwyczajne, uwielbiane przez dzieci żele owocowe w saszetkach, na stojaku producenta soczków Tymbark.

Aż głos zabrał Tusk – „Dzisiaj postawiłem na baczność wszystkich urzędników", aby „zablokować ten proceder związany z alkoholowymi saszetkami". I darmowa kampania reklamowa (bo tym stał się wybuch oburzenia opinii publicznej, który błyskawicznie nakręcił zainteresowanie nowym produktem, a nazwa i opakowanie alko-tubek nie schodziły z czołówek) zmieniła się w katastrofę wizerunkową.

Nic dziwnego, że producent Voodoo Monkey wymiękł. Firma OLV, wytwarzająca popularne musy owocowe Owolovo, najwidoczniej uznała, że ma zbyt dużo do stracenia – nawet jeśli wszystko działo się zgodnie z prawem, nieustanne kontrole, co sugerował gniew premiera, mogłyby praktycznie sparaliżować jej działalność – i wycofała alkohol w saszetkach.

•

Choć social media – a to przede wszystkim one zapłonęły – przyzwyczaiły nas do regularnych erupcji społecznego oburzenia z dowolnego powodu, to ta awantura miała szczególną intensywność. Czy temperatura sporu była adekwatna do tego incydentu? A skoro słupki gniewu poszybowały w górę akurat w kwestii alkoholu – to sprawdźmy, jak w ogóle wygląda polskie picie.

Polacy piją coraz więcej – wynika z oficjalnych statystyk. Dane od lat zbierała Państwowa Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, dzisiaj jej zadania wykonuje Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom. Dzięki tym instytucjom możemy zobaczyć, jak wyglądał trend spożycia alkoholu od lat 90.

W jednostkach czystego alkoholu licząc – tak, pijemy coraz więcej. W 1993 r. Polacy wypijali po 6,52 litra czystego alkoholu na głowę rocznie, w roku 2000 – 7,12 litra, a w 2023 już niemal 9 litrów. Rekordowy był rok 2019 – 9,67 litra. Największy wzrost spożycia nastąpił między 2001 a 2008 rokiem – o 45 proc., prawie o połowę. Wzrost tak duży, że aż... mało prawdopodobny. Ano właśnie.

Dla wielu osób, które pamiętają lata 90., może wydawać się zadziwiające, że w pierwszej dekadzie nowego stulecia spożycie alkoholu wzrosło. I to aż tak. Przecież w „najntisach" widok pijanych w sztok ludzi w tramwaju czy na ulicy, najczęściej mężczyzn, nierzadko wracających z roboty, i nastolatków obalających tanie wina na trawniku, był czymś zupełnie normalnym. Podobnie jak odgłosy awantur dobiegające zza uchylonych okien, szarpaniny na ulicy i w barach.

Te indywidualne wspomnienia alkoholowej agresji, przemocy i jej skutków znajdują potwierdzenie w statystykach policji. Polska sprzed 20 lat z okładem była krajem o wiele bardziej niebezpiecznym niż obecnie. Dr Jarosław Janikowski z Instytutu Prawa i Ekonomii Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy w artykule naukowym „Alkohol jako czynnik kryminogenny" cytuje badania, z których wynika, że w przypadku zabójstw w latach 1998-2014 rozpatrywanych przez sąd w Krośnie niemal 80 proc. sprawców było pod wpływem alkoholu. W sądzie okręgowym w Bydgoszczy (sprawy z lat 2015- 19) odsetek wynosił 40 proc. – ale 60 proc. sprawców było uzależnionych od alkoholu. „80 proc. żon alkoholików oraz ich dzieci doświadcza przemocy ze strony męża lub partnera. Najwięcej przestępstw przeciwko rodzinie dokonywanych jest właśnie pod wpływem alkoholu" – stwierdza Janikowski. W przypadku 100 losowo wybranych spraw, w których ofiarą było dziecko (analiza za okres 1997 – połowa 2010) 94 sprawców było pod wpływem alkoholu.

> **Podobno.** Ale Duńczykom, Szwedom i Norwegom może być przykro z powodu takiej uzurpacji.

Przy czym to nie sam alkohol, lecz osobowość sprawcy była najsilniejszym predyktorem przestępstw. Alkohol pełnił rolę wyzwalacza. „Stanowił rolę pośrednią w ułatwieniu podjęcia czynu poprzez obniżenie lub znoszenie hamulców moralno-etycznych" – stwierdza badacz.

•

Spójrzmy znów na liczby. W roku 2000 popełniono niemal 1300 zabójstw. W roku 2023 zaledwie 560. Innym przestępstwem, gdzie alkohol odgrywa istotną rolę pośredniczącą, są bójki i pobicia. Tych w roku 2000 zgłoszono 14 tys. W roku 2023 – niecałe 2,5 tys. Spadek niemal sześciokrotny. Jeśli chodzi o rozbój i kradzież rozbójniczą, spadki są jeszcze bardziej drastyczne. W roku 2000 zanotowano ich 53 tys., a w 2023 niecałe 4 tys. Spadkowy trend, choć niestety nie tak znaczący, obserwujemy również, jeśli chodzi o przemoc domową. Policja rejestruje liczbę osób, wobec których istnieje podejrzenie, że stosują przemoc w rodzinie, będąc pod wpływem alkoholu. W 2014 r. takich ludzi było ok. 50 tys. W 2022 – o niemal 20 tys. mniej. Liczby podaję od roku 2014, ponieważ wcześniejsze są niemiarodajne z uwagi na zmiany w przepisach o niebieskiej karcie.

Mało tego, wypadki drogowe – czyli ten typ przestępstwa z udziałem nietrzeźwych kierowców, który po tragedii na Trasie Łazienkowskiej, gdzie pijany i już karany odebraniem prawa jazdy młody kierowca w wypożyczonym luksusowym volkswagenie arteonie zabił ojca dwójki dzieci i ciężko poranił swoją dziewczynę, znalazł się pod lupą komentatorów i polityków – spadły z 7 tys. w roku 2005 do niecałych 2 tys. w 2023.

Publicysta Galopujący Major w komentarzu na Facebooku zwrócił uwagę, że te zmiany są związane z przesunięciami demograficznymi. Przestępstwa zazwyczaj popełniają młodzi mężczyźni. Jeśli liczba mężczyzn spada, to maleje również liczba przestępstw. Jednak w przypadku rozbojów musielibyśmy mieć do czynienia z ponad 57-proc. ubytkiem w grupie, która popełnia znaczną większość czynów zabronionych. W przypadku pobić – z 82-procentowym, a w przypadku rozbojów z aż 92-procentowym spadkiem. Mało prawdopodobne.

Można zatem wnioskować, że jeśli chodzi o korelacje picie-przestępstwa, alkohol stanowi coraz mniej istotny „trigger" w zachowaniach najbardziej szkodliwych społecznie. Co oczywiście nie oznacza, że pijemy coraz mniej. Jak to możliwe?

•

– Zmieniła nam się kultura picia alkoholu. Wydaje się, że w niektórych środowiskach przyzwolenie na ekscesywne picie zmniejszyło się. Nie ma przyzwolenia na picie w pracy. Przecież jakiś czas temu nie było czymś nadzwyczajnym spożywanie alkoholu podczas prozaicznych wydarzeń w biurach, takich jak czyjeś urodziny, czy imieniny. I już nie ma przyzwolenia na picie i siadanie za kierownicę. A przynajmniej się ono zmniejszyło – mówi mi dr Marta Zin-Sędek z Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom. – W pewnym sensie ta zmieniająca się kultura picia spowodowała, że pijemy nieco, z braku lepszego określenia „bezpieczniej".

Ale obraz „bezpieczniejszego" picia burzą badania na temat śmiertelności spowodowanej chorobami związanymi z alkoholem. Według badań opisanych w artykule naukowym Witolda Zatońskiego, Mateusza Zatońskiego i Kingi Janik-Koncewicz opublikowanym w prestiżowym czasopiśmie naukowym „JAMA", w Polsce między rokiem 2002 a 2017 śmiertelność mężczyzn z powodu chorób związanych z alkoholem wzrosła z 3256 do 7604! W przypadku kobiet liczba zgonów wzrosła z 429 do 1879.

Naukowcy zwracają jednak uwagę na ograniczenia badania, między innymi na „średnią jakość danych dotyczących przyczyn zgonów". Tak WHO określiło nasz system raportowania w latach 1999-2015. Możliwe więc, że przynajmniej za część efektu, który zaobserwowali badacze, odpowiada poprawiająca się z czasem jakość samych danych. Innymi słowy – być może na początku lat 2000 (przypomnijmy – byliśmy wtedy krajem niżej rozwiniętym, borykającym się z szeregiem problemów strukturalnych) znacznie większa liczba osób niż po 2015 umierała z powodu nadużywania alkoholu, ale dla statystyk ci ludzie byli białymi plamami.

No i jest jeszcze jedna ważna zmienna – bimber, samogon i tak dalej, czyli alkohol nierejestrowany. Znów możemy odwołać się do pamięci ubiegłych dekad, kiedy tego rodzaju trunków było zatrzęsienie. Wesela z wódką z tzw. mety na stołach i wieczorne imprezy zakrapiane lewym, nierzadko przemysłowym spirytusem z bazarku, były czymś powszechnym. Z obiegu znika też słowo „samogon". Znacznie więcej osób niż dzisiaj pędziło w domu – do regularnego spożycia, nie konesersko-lifestylowo, w postaci nalewek czy win domowych, jak obecnie – wysokoprocentowy bimber vel siwuchę. Do tego dochodził zapomniany problem „mrówek", czyli drobnych, niezawodowych przemytników – osób, które do nędznej pensji lub zasiłku dorabiały, kilka-kilkanaście razy dziennie przekraczając wschodnią granicę z dopuszczalnymi przez przepisy celne porcjami taniego białoruskiego i ukraińskiego alkoholu.

– Najwyższe spożycie notowano w latach 80., kiedy legalny alkohol był trudno dostępny, a silnie obecny był ten nierejestrowany. W czasach PRL nawet do 50 proc. spożycia stanowił alkohol spoza oficjalnego obiegu. Z czasem ta wartość spadała. Szacuje się, że dzisiaj nierejestrowane spożycie to około 10 proc. – mówi dr Zin-Sędek.

W kwestii alkoholu nierejestrowanego niestety pojawia się spory problem z danymi. Otóż wydaje się, że nikt w Polsce nie szacował trendu jego spożycia tą samą metodologią przez lata. Nie mamy więc ujednoliconego zbioru danych, które doszacowywałby wódkę (to właśnie mocne alkohole są i były domeną szarej strefy) spoza oficjalnego obiegu. O tym, jak trudne jest szacowanie tego rynku, pisał Leszek Wiwała w artykule naukowym „Metodologia badań służących szacowaniu skali nielegalnego rynku napojów spirytusowych" zamieszczonym w czasopiśmie „Prawo w działaniu".

Alkohol nierejestrowany nie jest ujęty w raportach GUS-u. A właśnie stamtąd dane zaciąga Krajowe

eprasa.pl d6338e1d66

Ze mną się nie napijesz?

Ile pije mieszkaniec Polski

Spożycie poszczególnych rodzajów napojów alkoholowych w przeliczeniu na 100-proc. alkohol*. Dane w litrach na mieszkańca Polski

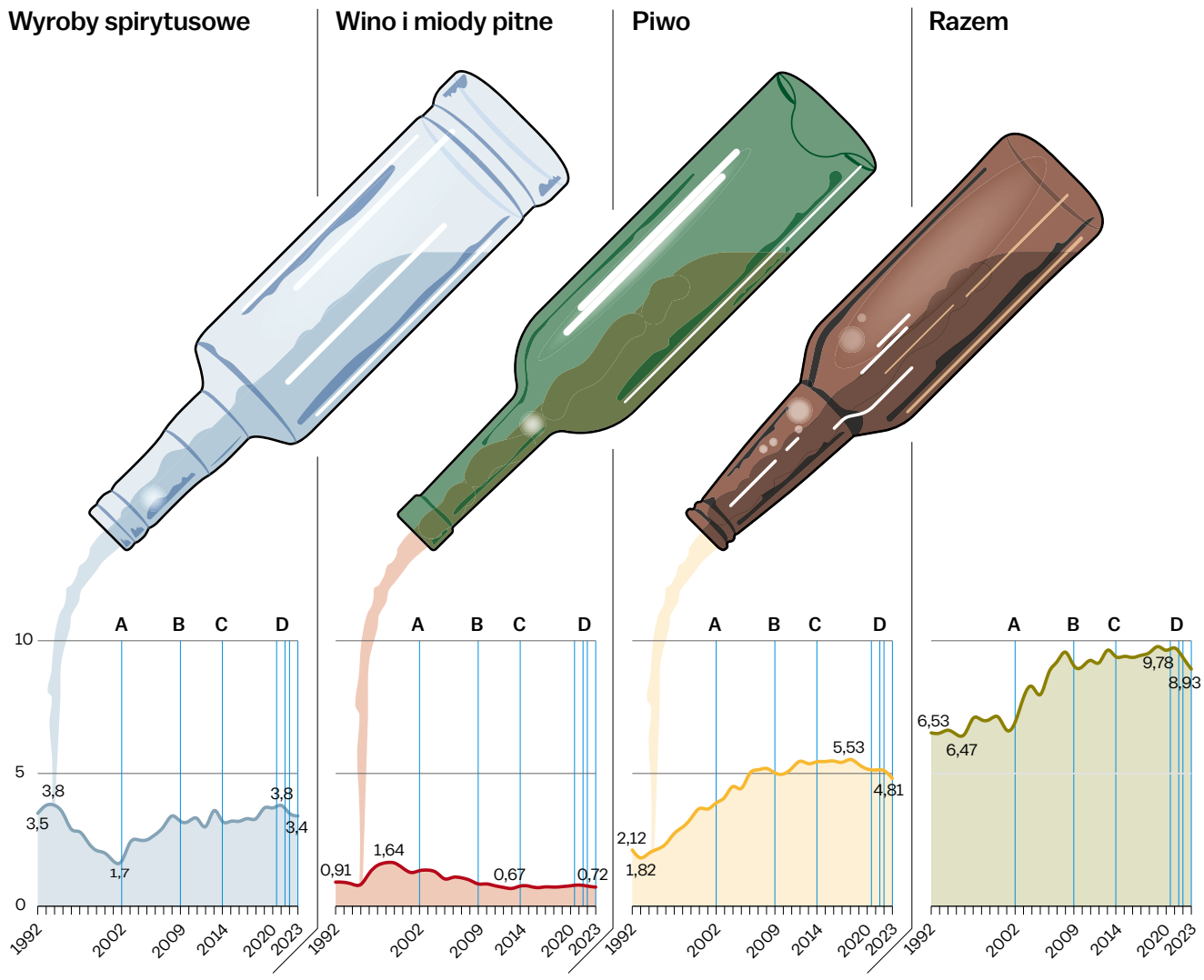

A – Obniżenie podatku akcyzowego na alkohol etylowy;
B – Podniesienie podatku akcyzowego na wszystkie rodzaje alkoholu
C – Podniesienie podatku akcyzowego na alkohol etylowy
D – Podniesienie podatku akcyzowego na wszystkie rodzaje alkoholu (lata 2020, 2021, 2022, 2023)

*Dane na temat wielkości spożycia napojów spirytusowych publikowane są w przeliczeniu na 100-proc. alkohol. W przypadku pozostałych rodzajów napojów alkoholowych obliczono ilość 100-proc. alkoholu, przyjmując założenie, że w jednym litrze piwa zawartych jest 5,5 proc. alkoholu, a wina (miodu pitnego) zawartych jest 12 proc. alkoholu

ŹRÓDŁO: KCPU ZA GUS

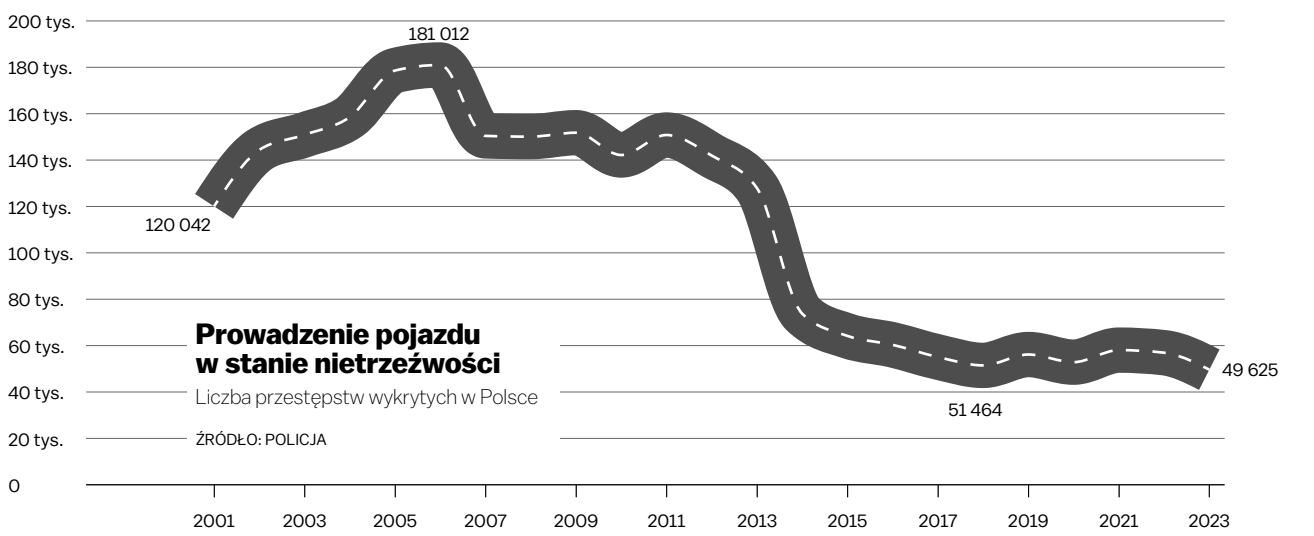

Prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości

Liczba przestępstw wykrytych w Polsce

ŹRÓDŁO: POLICJA

Stężenie alkoholu we krwi

Dane w promilach

0,2–0,5	Upośledzenie koordynacji wzrokowo-ruchowej, zaburzenia równowagi, euforia
0,5–0,7	Zaburzenia sprawności ruchowej, pobudliwość, gadatliwość, obniżenie samokontroli, błędna ocena własnych możliwości
0,7–2,0	Zaburzenia równowagi, spadek sprawności intelektualnej, opóźnienie czasu reakcji, wyraźna drażliwość, wzrost ciśnienia krwi
2,0–3,0	Zaburzenia mowy, przewracanie się, wzmożona senność, obniżenie zdolności do kontroli własnych zachowań
3,0–4,0	Spadek ciśnienia krwi, obniżenie temperatury ciała, zanik odruchów fizjologicznych
4,0+	Śpiączka, śmierć

ŹRÓDŁO: PARPA

Mieszkanki Polski pijące alkohol w ciąży

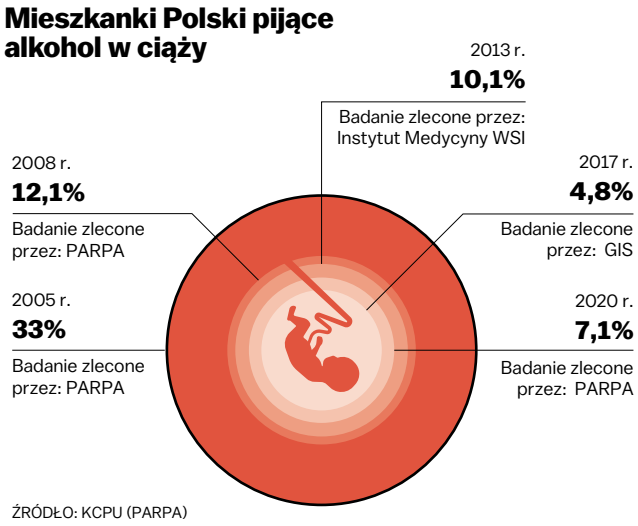

ŹRÓDŁO: KCPU (PARPA)

INFOGRAFIKA: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA

Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom. „Większość dostępnych międzynarodowych opracowań na temat wzorców spożywania alkoholu nie uwzględnia danych dotyczących nielegalnych wyrobów” – zauważa Wiwała. W krajach wysoko rozwiniętych i zamożnych nie jest to problemem, ponieważ szara strefa – nie tylko alkoholowa – jest tam niewielka. Problemy zaczynają się, jeśli staramy się zmapować kwestie związane z konsumpcją w państwach, gdzie szara strefa jest duża. A potransformacyjna Polska lat 90. i wczesnych 2000 takim miejscem była.

•

Nie możemy też pomijać kwestii psychologicznych. Ludzie niezbyt chętnie przyznają się do spożywania nierejestrowanego alkoholu. Nawet osoby z tzw. marginesu lub z różnych przyczyn balansujące na granicy społecznego wykluczenia – te, o których w neoliberalnych latach 90. pisano „patologia” – niekoniecznie powiedzą to ankieterowi. Z jednej strony się wstydzą, z drugiej – obawiają konsekwencji prawnych.

Ale to nie znaczy, że w ocenie nielegalnego spożycia jesteśmy bezradni. Leszek Wiwała przedstawia sprytne pośrednie sposoby szacowania problemu. Możemy np. posiłkować się liczbą ujawnionych przypadków naruszania prawa w postaci nielegalnego gorzelnictwa – liczbą przyłapanych drobnych bimbrowników, a przede wszystkim rozbitych grup przestępczych, i wolumenem zarekwirowanego towaru. Można też wyciągać wnioski ze statystyk zużycia surowców wykorzystywanych do produkcji napojów alkoholowych. „W czasach stanu wojennego eksperci Polmosu na bieżąco monitorowali poziomy sprzedaży cukru i drożdży, które były porównywane z wielkością legalnej sprzedaży wódek” – pisze Wiwała.

Wyłapać trend nielegalnego spożycia trunków próbuje dr Lech Grochowski w artykule naukowym „Nielegalny rynek alkoholu”. Obecnie jest ono niższe niż na przełomie XX i XXI wieku. Maleje też ujawniony przez policję i straż graniczną przemyt – w 2008 164 tys. litrów, w 2015 jedynie niecałe 60 tys. To spadek o 64 proc. Badacz zauważa, że nielegalny rynek alkoholu, który w latach 2002-05 stanowił nawet do 40 proc. rynku legalnego, po 2010 r. drastycznie się skurczył.

•

Ale dlaczego tak zafiksowałem się na spożyciu nierejestrowanym? Bo bez niego – nawet jeśli spada – nie da się zrozumieć dynamiki picia w Polsce, nie popadając w łatwe uogólnienia lub przesadę. Dysponując całą powyższą wiedzą, przyjrzyjmy się raz jeszcze danym GUS.

W 2002 r. oficjalne spożycie wynosiło niemal 7 litrów czystego alkoholu na głowę każdego Polaka (również noworodka). Dodajmy do tego optymistyczne 20 proc. spożycia procentów z nielegalnych źródeł i samogonu. W dodatku badacze, zestawiając wyniki ankietowe ze sprzedażą rejestrowanego alkoholu, zauważają, że ludzie zazwyczaj zaniżają ilość spożywanych trunków o 40-60 proc. A więc realne spożycie wynosiłoby co najmniej... 9,8 litra. Mniej więcej tyle – nawet biorąc pod uwagę, że aktualne dane również nie uwzględniają spożycia nielegalnego, szacowanego, podług wartości typowych dla Unii Europejskiej, na 10 proc – co w ostatnich latach. Które w obiegowej opinii lansowanej przez publicystów i komentatorów są rozpite wyjątkowo, a na pewno bardziej niż niegdyś.

Nie będzie więc bardzo niebezpiecznym założenie, że Polacy od lat 90. piją mniej więcej tyle samo, z małymi wahnięciami.

•

Tym, co się zmieniło naprawdę, jest tzw. struktura, czyli to, czym się raczymy i czym się upijamy. Pijemy więcej piwa i prawdopodobnie mniej wódki. Dlaczego mniej, skoro wykres Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom wskazuje, że również najmocniejszych trunków spożywamy coraz więcej? Ponieważ nielegalne spożycie niemal w całości stanowiły mocne alkohole. A ono zostało przycięte.

Ale jeśli mniej więcej tyle samo, co w takim razie z niepijącymi? Czemu ich liczba zmienia w czasie?

CBOS cyklicznie pyta Polaków o spożywanie alkoholu. Ostatni raz w 2019 r. Wtedy około 16 proc. ankietowanych odpowiedziało, że „nigdy nie bierze alkoholu do ust”. Tyle samo było abstynentów w 1997 roku. A najwięcej, bo 22 proc., w 2010 roku. Lecz tu znów pojawia się kwestia wiarygodności deklaracji. Alkohol jest, podobnie jak zresztą inne zjawiska ze sfery obyczajowej, niezwykle trudną materią do badania sondażowego z powodu stygmatyzacji. Deklaracje ankietowanych są bardzo podatne na społeczne oczekiwania – a te ewoluują. To dlatego, liczba abstynentów w Polsce potrafi wahać się od 5 do 28 proc.

eprasa.pl d6338e1d66

Wiemy natomiast, że zmniejsza się popularność alkoholu wśród młodzieży. „Mimo że napoje alkoholowe są najbardziej rozpowszechnioną substancją psychoaktywną wśród młodzieży szkolnej, po którą sięgano częściej niż po papierosy czy narkotyki, to widoczny jest systematyczny trend spadkowy spożywania alkoholu w ciągu ostatnich 30 dni przez 15–16-latków, z odsetka 65 proc. w 2003 r. do 47 proc. w 2019 r." – czytamy w raporcie „Uzależnienia w Polsce 2023" przygotowanym przez Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom. A opartym na danych solidnych, bo pochodzących z projektu badawczego ESPAD (European School Survey Project on Alcohol and Other Drugs), który od 1995 r. przygląda się dwóm grupom: 15-16-latkom oraz 17-18-latkom.

Tylko jak to możliwe, skoro używki i generalnie zachowania ryzykowne są, wbrew utyskiwaniom moralistów na „tę dzisiejszą młodzież", od stuleci atrybutem wchodzenia w dorosłość – elementem buntu (pozornego) przeciwko zastanym normom świata rodziców, demonstrowania własnej podmiotowości, próbowania owocu zakazanego?

Cytowany przez portal Termedia prof. Andrzej Fal, prezes Zarządu Polskiego Towarzystwa Zdrowia Publicznego, zauważa, że wśród osób młodych rodzi się nowa moda znana pod hasłem NoLo, od „no alcohol", „low alcohol". A potwierdza tę obserwację nie byle kto, bo Jean Twenge, profesorka psychologii z Uniwersytetu Stanowego w San Diego. W głośnej książce „Pokolenia. Prawdziwe różnice między pokoleniami X, Y, Z, baby boomersami i cichym pokoleniem" na podstawie danych o zachowaniach i postawach amerykańskich nastolatków dochodzi do wniosku, że młodzi piją mniej niż ich rodzice.

Inna rzecz, czy powinniśmy się z tego cieszyć. Bo również: później rozpoczynają współżycie seksualne, rzadziej i później robią prawo jazdy, później idą do pierwszej pracy. Nic w tym złego, przeciwnie – młodzi ludzie mają szanse uniknąć życiowych wpadek, jednocześnie dłużej ciesząc się względną beztroską. A swoje i tak przeżyją, doświadczą i odpracują, bo przecież wraz z wydłużającym się życiem w dobrym zdrowiu wydłuża również nasza aktywność.

Lecz tzw. wydłużanie trajektorii życiowych to część wyjaśnienia. Drugą są smartfony. Spadek spożycia alkoholu można wiązać ze spadkiem czasu poświęcanego na spotkania twarzą w twarz w ogóle. Trend NoLo można więc traktować jako reaktywny w stosunku do zmian technologicznych.

•

No dobrze, ale to jak w końcu jest z tym naszym alkoholizmem? Nieistniejąca już Państwowa Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych szacowała, że około 600-800 tys. Polek i Polaków jest uzależnionych od trunków. Brzmi alarmistycznie, lecz i tu warto dokonać rozróżnienia. Otóż istnieje kilka kategorii nadmiarowego picia.

Uzależnienie według stosowanej przez PARPĘ międzynarodowej klasyfikacji chorób ICD-10 „jest przewlekłym zaburzeniem charakteryzującym się występowaniem co najmniej trzech z sześciu typowych objawów w okresie ostatniego roku". Należą do nich: silna potrzeba picia lub kompulsywne picie alkoholu; trudności w kontrolowaniu zachowań związanych z piciem; objawy abstynencyjne – spowodowane przerwaniem picia lub zredukowaniem dawki alkoholu; występowanie tolerancji polegającej na tym, że do wywołania efektu powodowanego poprzednio mniejszymi dawkami, konieczne jest wypicie większych dawek alkoholu; postępujące zaniedbywanie alternatywnych przyjemności lub zainteresowań z powodu picia; picie alkoholu mimo wiedzy o jego szkodliwości (np. o uszkodzeniu wątroby spowodowanym alkoholem, stanach depresyjnych po dłuższym piciu).

Kolejną kategorią jest „picie szkodliwe". Jest ono „przyczyną lub współprzyczyną wystąpienia szkód zdrowotnych (somatycznych, psychicznych lub zaburzeń zachowania), które mogą prowadzić do niesprawności lub negatywnie wpływać na stosunki międzyludzkie".

I wreszcie mamy kategorię „picia ryzykownego" – które nie jest ujęte ani w ICD10, ani w DMS V, czyli amerykańskiej „biblii psychiatrów" – zaczynające się powyżej 40 g czystego alkoholu (odpowiednik 2 piw) w przypadku mężczyzn lub 20 g (jedno piwo) w przypadku kobiet przez co najmniej 5 dni w tygodniu. Tego rodzaju picie „aktualnie nie pociąga za sobą negatywnych konsekwencji, ale jest związane z ryzykiem szkód zdrowotnych, które mogą pojawić się, o ile sposób picia alkoholu się nie zmieni" – czytamy w raporcie PARP. Picie ryzykowne to również „picie alkoholu w dowolnych ilościach, ale w sytuacjach potencjalnie niosących ryzyko wystąpienia gwałtownych szkód, np. prowadzenie samochodu, praca na wysokości, obsługiwanie urządzeń mechanicznych".

I jeśli chodzi o to ostatnie, najgroźniejsze ujęcie – pijemy mniej ryzykownie. Co rzecz jasna nie znaczy, że możemy zbyć wzruszeniem ramion ryzyka i długofalowe skutki, te jednostkowe i te społeczne, pozostałych, mniej niebezpiecznych i drastycznych rodzajów picia.

Prawdopodobnie obserwowany w latach 2001-08 40-procentowy wzrost spożycia alkoholu był pozorny – po prostu w miarę bogacenia się Polacy przerzucili się z alkoholu nierejestrowanego – szmuglowanego spirytusu, bimbru czy samogonu – na rejestrowany

•

To – z czystej ciekawości, nie żeby się biczować lub wybielać, skoro już zgodziliśmy się, że każde picie jest potencjalnie ryzykowne – jak wyglądamy na tle innych narodów?

Jeśli chodzi o rejestrowane spożycie, to cóż, jesteśmy w światowej czołówce. Według danych OECD, Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, skupiającej 38 najwyżej rozwiniętych krajów, na które powołuje się Bank Światowy, Polacy wypijają rocznie 11,7 litra czystego alkoholu w przeliczeniu na każdą osobę powyżej 15 roku życia (GUS-owi i KCPU wychodzi poniżej 10 litrów, bo podają dane dzielone na wszystkich mieszkańców kraju). Na podium się nie dostaliśmy, ale jesteśmy blisko, bo na 5 miejscu na świecie. Przed nami: Niemcy, Czesi, Litwini, i Łotysze. Za nami: Austriacy, Luksemburczycy i Irlandczycy.

Ale jak to? Niech będzie, że Rosjanie do OECD dopiero aspirują, legendarne fińskie popijawy to, wskutek polityki państwa i zmieniającej się obyczajowości już przeszłość. Ale naprawdę tacy Meksykanie czy Grecy piją mniej niż my? Jak już wiemy, dane na temat spożycia opierają się na rejestrowanej konsumpcji. A ta nierejestrowana – ach to domowe ouzo w plastikowych butelkach po napojach gazowanych – jest domeną krajów słabiej rozwiniętych.

Ale znaczenie równie duże, co ilość, ma intensywność spożywania alkoholu. Eurostat porównuje kraje pod kątem tzw. ciężkiego epizodycznego picia. *Heavy episodic drinking* zaczyna się od 60 gramów czystego alkoholu (około 3 piw) za jednym razem. W 2019 r. co najmniej raz w miesiącu pozwalało sobie na takie zachowanie 19 proc. Europejczyków. W tym jedynie 17 proc. Polaków – górę tabelki zajmowali Duńczycy, Rumuni i Luksemburczycy. Co ciekawe, powyżej średniej byli również Szwedzi i Norwedzy, choć kraje te – zwłaszcza Norwegia – słyną z surowych ograniczeń rynku alkoholowego.

•

Jak jest więc z tym alkoholem w Polsce? Pijemy na pewno sporo, ale... Prawdopodobnie obserwowany w latach 2001-08 40-procentowy odczyt rejestrowanego wzrostu spożywanego alkoholu był pozorny z uwagi na przerzucanie się części Polaków z picia alkoholu nierejestrowanego na legalny. Niewykluczone wręcz, że mieliśmy do czynienia z – co prawda bardzo delikatnym – spadkiem.

Pijemy również „bezpieczniej". Choć spożycie do 2021 utrzymywało się na zbliżonym poziomie, to przez ostanie dekady spadały wszystkie „zewnętrzne" wskaźniki szkodliwego picia, takie jak pobicia, przemoc w rodzinie czy prowadzenie pod wpływem. Alkohol więc stał się – znów, być może – raczej sączonym towarzyszem Netflixa lub lekko musującym ziomkiem podczas sąsiedzkiej posiadówki w letni wieczór na balkonie niż kompanem ciężkiej wódczanej libacji kończącej się zaleganiem pod klatką, w przydrożnym rowie i/lub mordobiciem.

W dodatku w ostatnim czasie widoczny jest delikatny spadek spożycia. Oraz – co może wydawać się szokujące w kontekście alarmistycznych doniesień o epidemii całodobowych alko-szopów – trend spadku liczby punktów sprzedaży napojów alkoholowych. Według raportu „Uzależnienia w Polsce 2023" w 2008 było ich ponad 200 tys., w 2022 – 120 tys. Czyli 16 lat temu na jedne „Alkohole 24" przypadało 190 osób, dwa lata temu – ponad 300. Co nie znaczy, że aktywiści i publicyści zabiegający o ograniczenie liczby alko-szopów i godzin sprzedaży, robią z igły widły – według zaleceń WHO na jeden punkt powinno przypadać 1000-1500 osób.

A czy burza o saszetki z alkoholem może coś zmienić w tym bardzo złożonym temacie?

•

I zwyczajni fejsbukowicze, i autorytety podkreślały, że najbardziej skandaliczne – pomijając podsuwanie np. wysoko funkcjonującym alkoholikom nośnika jeszcze dyskretniejszego niż „małpki" – jest „ufajnianie" alkoholu, bo to prowadzi do większego spożycia.

Lecz to jest hipoteza. Owszem, są badania, że reklama alkoholu przyczynia się do wzrostu jego sprzedaży wśród osób młodych – i dlatego powinno się jej zakazać. Ale w tym przypadku mieliśmy do czynienia po prostu z nową formą samego alkoholu. Reklamy doczekał się mimochodem, właśnie za sprawą burzy. Niemniej producent wycofał produkt – a więc „presja ma sens". Ale niewykluczone, że to również będzie obiegowa mądrość. Samo wycofanie jednego produktu nic nie zmienia w dużych trendach, nie wiemy też, czy chwilowe oburzenie opinii publicznej – a zauważmy, że temat już przestaje „grzać" i media, i polityków, i obywateli – przełoży się na jakieś systemowe kroki.

Nie jesteście państwo przekonani? To wyobraźmy sobie, że nikt nie wpadł na pomysł alko-saszetek i cała awantura nie wybucha. Czy mielibyśmy do czynienia ze wzrostem spożycia albo ryzykownego picia?

Żeby zakończyć optymistyczną nutą – obserwatorom umyka, że „rozwiązania systemowe", których się domagają, już są wdrażane. Mowa o wzroście akcyzy na produkty alkoholowe (i tytoniowe). Chodzi o tzw. mapę drogową, która określa, że od 2023 do 2027 r. akcyza na alkohol będzie wzrastać co rok o 5 proc. A pierwsza podwyżka była w 2022 roku, i to niebagatelna – o 10 proc. To fiskalne podejście wpisuje się w rekomendacje ekspertów – WHO jest zdania, że polityka cenowa jest jednym z najskuteczniejszych sposobów na moderowanie zachowań związanych z alkoholem.

Co prawda świeże badanie (przepraszam za żargon) wstępnie ewaluujące tę politykę podważa owo optymistyczne założenie – jak piszą Jacek Moskalewicz i Janusz Sierosławski z Instytutu Psychiatrii i Neurologii, „podwyżka akcyzy nie przyniosła znaczących zmian w konsumpcji alkoholu w Polsce" – ale nie powinniśmy wyciągać z tego daleko idących pesymistycznych wniosków. W naszym przypadku zadziałał zbieg okoliczności – otóż „stopa inflacji obserwowana w tym czasie dotknęła wszystkie inne towary i była prawie dwa razy wyższa niż skala podwyżek cen napojów alkoholowych".

Na tym przykładzie widać, jak bardzo złożone i trudne jest tworzenie tzw. polityk publicznych i systemowe oddziaływanie na ludzkie wybory. ●

• Właśnie ukazała się książka **„Ile trzeba zarabiać, żeby być szczęśliwym. Oraz 12 innych pytań o ekonomię i naszą przyszłość",** w której **Kamil Fejfer i Łukasz Komuda** opowiadają o problemach współczesności. Czy ZUS wkrótce upadnie? Dlaczego na świecie rodzi się coraz mniej dzieci? Dlaczego uważamy, że Polska zmierza wprost do piekła, skoro od dekad w naszym kraju poprawia się niemal wszystkim? Od czego zależą nasze pensje? Czy sytuacja mieszkaniowa jest tak zła? To tylko niektóre z setek pytań, na które autorzy szukają odpowiedzi, starając się wyjść poza bańki informacyjne.

1 RP

eprasa.pl d6338e1d66

Duda skontuzjowany, czyli jaki?

Dlaczego nie może być kontuzjowany? Może jednak chodziło o konsternację, a więc być skonsternowanym? A może wręcz konfuzję i bycie skonfundowanym? Oto, co mieli na myśli autorzy tytułu.

Michał Rusinek

Gdy siadam do pisania tego felietonu, to w uszach brzęczy mi zdanie z szekspirowskiego „Jak wam się podoba" (akt IV, scena 1) o tym, co „the bird hath done to her nest", czyli — w wielu polskich przekładach, o złym ptaku, „co własne gniazdo kala". Tak się bowiem czuję, zamierzając napisać o tytule zauważonym na stronie internetowej Gazety Wyborczej.

Brzmi on — a właściwie brzmiał, bo już został usunięty — „Skontuzjowany Andrzej Duda. Podano nieoficjalną przyczynę". Najpierw, jak każdy patriota, przejąłem się losem głowy państwa, a nieoficjalność przyczyny jego kontuzji kusiła mnie, by kliknąć i przeczytać, co się takiego stało i czy aby nie tylko los Andrzeja Dudy, ale i ojczyzny naszej nie jest w niebezpieczeństwie. Na zdjęciu widać było zaledwie niewielką ortezę, ale przecież niewielkie ortezy mogą być wierzchołkami gór lodowych, jak wiemy z innych nagłówków i clickbaitowych tytułów. Potem jednak zadumałem się nad awangardowym imiesłowem „skontuzjowany", któremu warto się przyjrzeć baczniej.

Nie wygląda on bowiem na zwykłą literówkę (pierwsza, w dodatku wielka litera, zwykle stawiana jest z rozmysłem). Nie wygląda też na kreatywny neologizm, który — zgodnie z powiedzeniem profesora Jerzego Bralczyka, że jeśli ktoś użył jakiegoś nowego słowa, to słowo to właśnie zaczęło istnieć — wzbogaci od dziś wybrakowaną pod wieloma względami polszczyznę. Wygląda za to na czynność pomyłkową, kontaminację kilku wyrazów, dającą wyraz temu, co kłębi się w podświadomości autora lub autorki tego tytułu.

●

Załóżmy więc okularki Freuda. Prezydent oswoił nas — a więc także zapewne dziennikarzy Gazety — z poczuciem zażenowania swoimi decyzjami i zachowaniem, stąd najczęstszym imiesłowem pojawiającym się w jego kontekście jest forma „skompromitowany" i rzeczownik „kompromitacja". To trochę tak, jak z Chopinem. Profesor Henryk Markiewicz tak opisywał pierwszy dzień stanu wojennego: „Włączam radio. Słyszę: Chopin. Myślę: niedobrze". My dziś, kiedy czytamy nazwisko „Duda", spodziewamy się, że zaraz będzie mowa o kompromitacji. Nawet jeśli mowa jest o kontuzji, to owa kompromitacja ciśnie nam się na usta, jak w przypadku głęboko zakorzenionego frazeologizmu i poniekąd wpływa na kontuzję (wyrazy nieco podobne). Duda nie może być więc po prostu kontuzjowany, ale musi być s... kontuzjowany.

Może jednak chodziło o — jakże pożądaną w tym przypadku — konsternację, a więc być skonsternowanym? A może wręcz konfuzję i bycie skonfundowanym? Oto, co mieli na myśli autorzy tytułu, a właściwie co kołatało się w ich podświadomości, jako stany, których oczekują od głowy naszego państwa. Przecież po wielu wypowiedziach czy zachowaniach, my czujemy, delikatnie mówiąc, zakłopotanie. Może gdyby on odczuł zakłopotanie, to by ich w końcu zaprzestał? Być może więc doszło do kontaminacji pełnych nadziei oczekiwań co do odczuć pana prezydenta względem swoich zachowań — z banalną kontuzją?

Banalną i na szczęście — dla prezydenta, a więc i dla Polski — niegroźną. Ponoć nadwerężył się przy majsterkowaniu lub w czasie ćwiczeń na siłowni. W obu przypadkach to tylko dobrze o nim świadczy: dba bowiem o gospodarstwo domowe i/lub o tężyznę fizyczną. Przyznam, że napełnia mnie to zazdrością, a nawet poczuciem lekkiego skonfundowania.

●

Zdejmijmy okularki Freuda. Wróćmy do podejrzanej sugestii co do wybrakowania polszczyzny. Brzmi ona jak ojkofobiczne pomówienie! A jednak: nie istnieje forma dokonana czasownika „kontuzjować", poprzedzona stosownym przedrostkiem, jak w przypadku czasowników: „łamany"/„złamany", czy „bity"/„zbity". Nie istnieje — a powinna! Być może dziennikarz czy dziennikarka nie chcieli, byśmy powzięli podejrzenia, że pan prezydent jest permanentnie kontuzjowany, że jest ofiarą codziennej przemocy domowej, że w czasie cosobotniego majsterkowania uderza się młotkiem w kciuk, że w czasie porannych ćwiczeń na orbitreku ciągle skręca sobie nadgarstek, że co wieczór, czytając przed snem Konstytucję, przecina sobie palec wskazujący jej stronicami. Zresztą — powściągnijmy wodze fantazji. Chodziło o to, by podkreślić jednorazowość i incydentalność owej kontuzji. Zamiast się użalać, że polszczyzna jest wybrakowana, językoznawcy mówią o czasownikach (oraz imiesłowach) dwuaspektowych: mających albo formę dokonaną, albo niedokonaną. O którą formę w danym przypadku chodzi? Musimy się sami domyślić. Tej samowoli autorzy tytułu nie zamierzali tolerować, wprowadzili więc formę w słownikach nieistniejącą, ale zgodną z zasadą obowiązującą w podobnych przypadkach. Nie jest wykluczone, że forma ta pojawiać się będzie coraz częściej i w rzeczonych słownikach się niebawem pojawi. Tak przecież powstają nowe słowa: z potrzeby ich używania.

●

Wróćmy do Szekspira. Polscy tłumacze przełożyli zdanie z jego komedii w taki a nie inny sposób, żeby odwołać się do znanego polskim czytelnikom i czytelniczkom wiersza Norwida (który posłużył się zresztą łacińskim i niemieckim przysłowiem; precyzyjni Niemcy mają nawet osobny rzeczownik — „Nestbeschmutzer"), bo to w nim przecież pojawia się „kalanie", którego w oryginale nie ma. Ale cytat dokładnie brzmi tak: „Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala,/ czy ten, co mówić o tem nie pozwala?". Czuję się więc nieco rozgrzeszony przez Norwida. I mam nadzieję, że redakcja mi moje kalanie gazetowego gniazda wybaczy. ●

WIERSZE POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Jarosław Mikołajewski

Rozmowa

beatrice wczoraj powiedziała
księżyc
za moim oknem może i za twoim

czy masz beatrice swoje okno też dzisiaj
kiedy księżyc zabrała brudna woda w nysie?

po mojej stronie jest jesienny powiew

światło już innych powitań
pożegnań

udręki z trudem odtworzonych światów

Marii Ruszeckiej

znać teraz niewidomą wokalistkę w nysie
to jak homera
syna rzeki meles

i jak tu nie pytać esemesem o smyrnę
o przyszłe pieśni i powrót do domu
odyseusza i o rolę jaką
w wędrówce miały żony i syreny

o plecak pakowany na wszelki wypadek
w chwili kiedy gasną kości na rentgenach

REKLAMA

Kraj/34337848

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

1 RP

eprasa.pl d6338e1d66

ALEHISTORIA

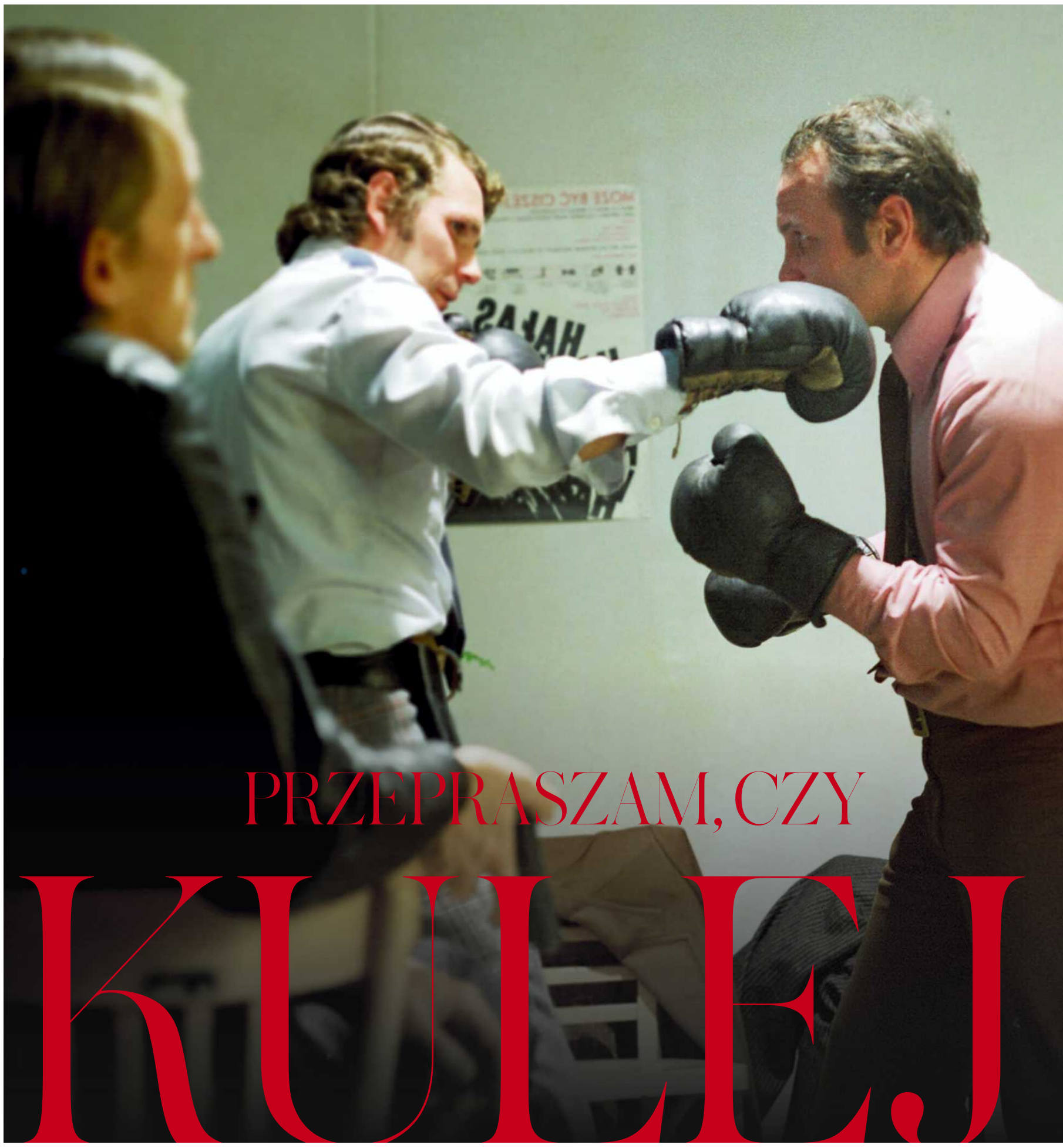

PRZEPRASZAM, CZY KULEJ tu bije?

DOMINIK WIERSKI
PIOTR ZWIERZCHOWSKI

W PRL-u polscy bokserzy byli bożyszczami tłumów. Świetnie spisywali się w ringu, przywozili medale z igrzysk, ale nieźle radzili sobie też na ekranie.

1 RP

eprasa.pl d6338e1d66

• **Jerzy Kulej i Jan Szczepański w rolach oficerów Milicji Obywatelskiej w filmie „Przepraszam, czy tu biją" (1976) Marka Piwowskiego. By rozładować napięcie przed planowaną akcją, toczą sparing bokserski na komendzie** FOT. INPLUS/EAST NEWS

Czego zazdrościmy twórcom amerykańskim? Wiarygodnego obrazu codzienności. Perfekcyjnego warsztatu. Aktorów o osobowościach tak odległych od dawnego modelu gwiazd ekranu, jak odlegli są od niego Gene Hackman i Al Pacino. Teraz powstał u nas film, który jest tamtym dokonaniom bliski w sferze warsztatowej perfekcji, precyzji dialogów, a także sztuki aktorskiej. Połowa ról w »Przepraszam, czy tu biją?« to prawie krajowe Hackmany! Kulej, Szczepański – a zwłaszcza Zdzisław Rychter, doskonale uwierzytelniający postać Belusa. Wraz z nimi wkroczyło samo życie. Tego nam brakowało. Nie zamiast Łomnickich, Łapickich – lecz obok" – zachwycała się na łamach „Kina" Alicja Iskierko.

W „Przepraszam, czy tu biją?" Marka Piwowskiego na ekranie pojawili się dwaj mistrzowie ringu – Jerzy Kulej i Jan Szczepański. Grani przez nich oficerowie Milicji Obywatelskiej (Kulej był nim naprawdę) zdecydowanie wyróżniali się na tle dotychczasowych portretów PRL-owskich stróżów prawa. Sposób realizacji czy aktorstwo kojarzyły się zdecydowanie bardziej z amerykańskim lub wzorującym się na nim francuskim filmem policyjnym niż dotychczasowymi dokonaniami polskiego kryminału.

Dotyczyło to również nieoczywistej granicy między dobrem i złem, prawem i bezprawiem. Groźny przestępca Belus chce obrabować Spółdzielczy Dom Handlowy „Sezam" w Warszawie. Nie wie jednak, że inspektorzy Jerzy Milde i Jan Górny (bohaterowie noszą imiona bokserów) przygotowują prowokację. Zatrzymali studenta ze sfałszowaną maturą i szantażując go, zmusili do przyłączenia do grupy Belusa, dzięki czemu kontrolują przygotowywania do napadu.

Milde i Górny byli niejednoznaczni etycznie, co zresztą budziło wówczas niepokój, ale za to wiarygodni. Przyczyniły się do tego zarówno konstrukcja postaci, jak i odtwórcy ról.

W reportażu z planu Bogdan Zagroba pisał, że sukcesy sportowe i nie tylko sportowe obu odtwórców głównych ról „są najlepszym dowodem, że są ludźmi z charakterem, o mocnej osobowości". Bohaterowie są twardzi, zdecydowani, walka jest dla nich codziennością. Noszą ze sobą broń, ale bez problemu radzą sobie także bez niej. Czekając na rozpoczęcie finałowej akcji, krążą po pokoju jak dwa niespokojne drapieżniki. Aby rozładować emocje, zakładają rękawice bokserskie i przeprowadzają krótki sparing. Była to swoiste puszczenie oka przez Piwowskiego do widza. Kulej i Szczepański dobrze się zresztą w tej scenie bawią. Ale ma ona jeszcze inne znaczenie, wprowadza kontrast między czystością przypisywaną regułom walki w ringu i postawą milicjantów, dla których skuteczność stanowi większą wartość niż zasady fair play. Świadomie jednak podejmują taką formę walki ze złem.

Traktatami o moralnej odpowiedzialności i etycznej uczciwości, jak nazwała film Piwowskiego Ewa Wróblewska, bywały przecież nierzadko również filmy o boksie. Wybór Kuleja i Szczepańskiego miał więc dodatkowe znaczenie, nie wynikał jedynie z wielkiej popularności obu sportowców.

ŻYCIE, CZYLI WALKA

Xawery Żuławski w obrazie „Kulej. Dwie strony medalu", który właśnie wszedł na ekrany kin, przypomina legendarnego pięściarza, mistrza olimpijskiego z Tokio (1964) i Meksyku (1968), który na 348 stoczonych walk przegrał tylko 25, nigdy nie znalazł się na deskach ani nie był liczony.

Jego filmowa biografia uświadamia, jak niezwykłą popularnością cieszył się w PRL-u boks. Międzynarodowe sukcesy nie tylko Kuleja czy Szczepańskiego, ale też Zygmunta Chychły, Zbigniewa Pietrzykowskiego, Mariana Kasprzyka, Józefa Grudnia, Leszka Drogosza, Tadeusza Walaska, Henryka Średnickiego, Jerzego Adamskiego, braci Grzegorza i Pawła Skrzeczów budowały poczucie narodowej dumy.

Szczególne emocje wywoływały zwycięstwa nad zawodnikami radzieckimi. Niektóre przeszły do historii, na przykład walka Kasprzyka z reprezentującym ZSRR Litwinem Ričardasem Tamulisem o złoty medal na olimpiadzie w Tokio, w której polski bokser wygrał mimo złamanego kciuka.

Przekładało się to na obecność boksu w filmie, który wykorzystywał jego dramaturgię i walory widowiskowe, starcie jeden na jednego w zamkniętej przestrzeni, możliwość budowania metafory życia jako nieustannej walki, upadania, ale też odradzania się po kolejnych ciosach, tryumf mimo słabości. Z drugiej strony korupcję i wypaczenia, nieprzystawalność ideałów i rzeczywistości, nieoczywistą granicę między sportem i przemocą.

Polskie kino chętnie do tych skojarzeń się odwoływało, np. w „Trzech startach" (1955) Ewy Petelskiej, Czesława Petelskiego i Stanisława Lenartowicza, „Niewinnych czarodziejach" Andrzeja Wajdy, „Mężu swojej żony" (oba 1960) Stanisława Barei, „Walkowerze" (1965) Jerzego Skolimowskiego, „Jowicie" (1967) Janusza Morgensterna, „Klinczu" (1979) Piotra Andrejewa, telewizyjnych „Ślepym bokserze" (1981) Marka Nowickiego czy „Ringu" (1989) Andrzeja Barszczyńskiego.

Bokserów grali w nich np.: Wiesław Gołas, Daniel Olbrychski, Jerzy Skolimowski czy Tomasz Lengren. Na ekranie pojawiali się jednak także prawdziwi mistrzowie ringu.

DZIECI „PAPY" STAMMA

Do sal bokserskich chętnie wybierali się operatorzy Polskiej Kroniki Filmowej, filmy poświęcili pięściarzom dokumentaliści. Bogusław Rybczyński w 1968 roku zrealizował reportaż „Mistrz szuka następcy", którego bohaterem był Tadeusz Pietrzykowski. Z kolei Piotr Andrejew, zanim wyreżyserował emblematyczny dla kina moralnego niepokoju „Klincz", jeden z najlepszych polskich filmów fabularnych o boksie, w krótkometrażowym dokumencie „Za ciosem" (1976) przyjrzał się początkom kariery Jana Szczepańskiego.

Szczególne miejsce wśród polskich filmów o boksie zajmuje fabularyzowany dokument „Papa Stamm" (1978) Krzysztofa Rogulskiego. Reżyser w nostalgicznym tonie powrócił do lat świetności polskiego boksu, a przy tym zrekonstruował emocje towarzyszące trenerowi i zawodnikom w chwilach zwycięstw i momentach zwątpienia. Film przybliża Stamma z kilku perspektyw: narracji czytanej przez Bohdana Tomaszewskiego, fragmentów archiwalnych kronik, a przede wszystkim scen, w których pojawiają się najsłynniejsi podopieczni Stamma, w tym także Kulej.

Legendarni pięściarze mówią o znaczeniu, jakie w ich życiu i karierze miał Stamm, przywołują ważne momenty z treningowych sal, szatni i ringów. Szczególnie zapada w pamięć fragment z udziałem Kuleja, który powraca do igrzysk w Meksyku, ostatnich w trenerskiej karierze Stamma. Opisuje zmęczoną twarz trenera przygnębionego brakiem spodziewanych rezultatów, a także słowa, które usłyszał od niego przed samą walką: „Jurek, jesteś ostatni. Jak ty już nie, to tego [hymnu] chyba nie usłyszymy na tej olimpiadzie. Jest koniec olimpiady, ostatnia szansa. Pamiętaj".

Dla Kuleja słowa Stamma, które przywołuje też w swoim filmie Żuławski, miały wielkie znaczenie:

„Było to tak szalenie mocne i takie wymowne... No niewiele tych słów, ale forma, w jakiej to powiedział... Czułem, że gdyby mi dwóch przeciwników postawili wtedy tam i jeszcze jakąś przeszkodę, to też bym się na to rzucił, żeby pokonać, żeby usłyszeć ten hymn i żeby zrobić temu starszemu panu tę przyjemność wysłuchania tego hymnu" – wyznaje w filmie Rogulskiego.

Siła tej przejmującej sceny tkwi w prostocie. Wybitny bokser, kadrowany w dużym zbliżeniu, w zwięzłych, oszczędnych zdaniach przywołuje moment sportowego zwycięstwa o wyjątkowym znaczeniu: to sukces sportowy, ale i dowód emocjonalnej, nieomal ojcowsko-synowskiej więzi trenera z podopiecznym. Jednocześnie zaś Kulej wskazuje na moment zakończenia pewnej epoki.

„Papa Stamm" zawiera też sceny ukazujące minione wydarzenia na nowo inscenizowane przed kamerą. W trenera wciela się aktor Witold Gałązka, natomiast Kulej, Drogosz, Pietrzykowski i Kukier odgrywają samych siebie – są już dużo starsi, grają bez charakteryzacji, co daje niezwykły efekt ponownego zanurzenia się w przeszłości. Drogosz odtwarza np. scenę burzliwej rozmowy ze Stammem na temat łączenia kariery z nauką i życiem rodzinnym oraz trudnego powrotu na ring po przerwie.

ZAGRAĆ WŁASNĄ PORAŻKĘ

Polscy mistrzowie ringu mocno zaznaczyli swą obecność w filmach fabularnych. W socrealistycznej komedii „Sprawa do załatwienia" (1953) Jana Rybkowskiego i Jana Fethkego Adolf Dymsza zagrał osiem ról szkodników społecznych. Jednym z nich był Fronczak, bokser nieprzykładający się do treningów, polegający na swoim talencie i wierze w szczęśliwą marynarkę. Nic więc dziwnego, że ponosi porażkę na ringu, walcząc z młodym, pracowitym Jóźwiakiem. Gra go Antoni Kolczyński, emerytowany już wówczas mistrz Europy z 1939 roku, który po wojnie nigdy nie odzyskał pełni formy. Ringowym sędzią jest sam Feliks Stamm, napominający Fronczaka za nieczystą walkę.

Bez wątpienia najsłynniejsze ekranowe występy gwiazd ringu w polskim kinie przyniosły kolejne dekady. Inspiracją dla „Boksera" (1966) Juliana Dziedziny, chyba najlepszego do tej pory filmu o tematyce bokserskiej, był życiorys Mariana Kasprzyka. Jego filmowy odpowiednik, Tolek Szczepaniak, dzięki pięściarstwu wydostaje się z destrukcyjnego środowiska, a później, po chuligańskim wybryku i pobycie w więzieniu, otrzymuje drugą szansę. Żeby pojechać na igrzyska, musi wygrać rywalizację z doświadczonym kolegą z kadry narodowej, Jackiem Walczakiem.

Leszkowi Drogoszowi występ w „Bokserze" przyniósł niespodziewane konsekwencje. Został zdyskwalifikowany przez Polski Związek Bokserski za to, że biorąc pieniądze za udział w filmie, naruszył status sportowca amatora.

eprasa.pl d6338e1d66

Tolka Szczepaniaka brawurowo zagrał Daniel Olbrychski, którego perfekcyjnie przygotowali do tej roli Feliks Stamm i Leszek Drogosz. Ten drugi również zagrał w „Bokserze", i to właściwie samego siebie – to on bowiem przed igrzyskami w Tokio ustąpił miejsca w kadrze Kasprzykowi.

Drogosz, brązowy medalista olimpijski z Rzymu (1960) i trzykrotny mistrz Europy, który na 377 walk przegrał tylko 14, dobrze wywiązał się w „Bokserze" z niełatwego zadania odtworzenia własnego sportowego niepowodzenia. Wniósł do filmu pięściarskie umiejętności, tak ważne dla realistycznego oddania atmosfery i przebiegu ringowych zmagań. Pod tym względem obraz Dziedziny wyróżnia się na tle nie tylko polskich narracji o tej tematyce.

Drogoszowi występ w „Bokserze" przyniósł niespodziewane konsekwencje. Został zdyskwalifikowany przez Polski Związek Bokserski za to, że biorąc pieniądze za udział w filmie, naruszył status sportowca amatora. Było to o tyle ironiczne, że amatorstwo w ówczesnym sporcie było fikcją.

Drogosz i później pojawiał się na ekranie, m.in. w „Polowaniu na muchy" (1969) i „Krajobrazie po bitwie" (1970) Wajdy, a w dwóch odcinkach serialu „Dwie strony medalu" (2006) zagrał samego siebie.

• **Daniel Olbrychski jako Tolek Szczepaniak w filmie „Bokser" (1966) Juliana Dziedziny. Pierwowzorem tej postaci był mistrz olimpijski z Tokio Marian Kasprzak** FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

POD GÓRKĘ NA RING

Partnerujący Kulejowi w „Przepraszam, czy tu biją" Jan Szczepański filmu autobiograficznego doczekał się już w 1976 roku. Zagrał wtedy główną rolę w paradokumentalnym telewizyjnym „Powrocie" Filipa Bajona. Obraz ukazuje wyboistą drogę do sukcesu pięściarza, który zmaga się z problemami zdrowotnymi, środowiskowymi konfliktami oraz życiowymi trudnościami powodowanymi niełatwym charakterem.

Większość sytuacji pokrywa się z wydarzeniami z życia Szczepańskiego. Zanim bokser zdobył złoto w Monachium, stracił kilka lat kariery z powodu problemów z sercem, a już po powrocie na ring został zdyskwalifikowany za wyrzucenie w stronę publiczności medalu za mistrzostwo Polski. Odtwórcą roli trenera w „Powrocie" jest inny słynny bokser, trzykrotny medalista olimpijski Zbigniew Pietrzykowski.

Obaj „polscy Hackmanowie" spotykali się jeszcze z Piwowskim na planie – Szczepański w „Uprowadzeniu Agaty" (1993), natomiast Kulej w spektaklu telewizyjnym „Nóż w głowie Dino Baggio" (1999).

Połowa ról w »Przepraszam, czy tu biją?« to prawie krajowe Hackmany! Kulej, Szczepański. Wraz z nimi wkroczyło samo życie. Tego nam brakowało. Nie zamiast Łomnickich, Łapickich – lecz obok" – zachwycała się Alicja Iskierko

Pojawiali się także w innych filmach: Szczepański w „Człowieku z żelaza" (1981) Wajdy i „Mojej krwi" (2009) Marcina Wrony, w której oprócz niego i Drogosza wystąpili także inni medaliści olimpijscy: Józef Grudzień, Paweł Skrzecz i Wojciech Bartnik. Kilkanaście tytułów znajduje się w filmografii brata bliźniaka Pawła – Grzegorza Skrzecza. W pamięci widzów zapadły epizody zagrane przez niego w „Sztosie" (1997) i filmie „Chłopaki nie płaczą" (2000) Olafa Lubaszenki.

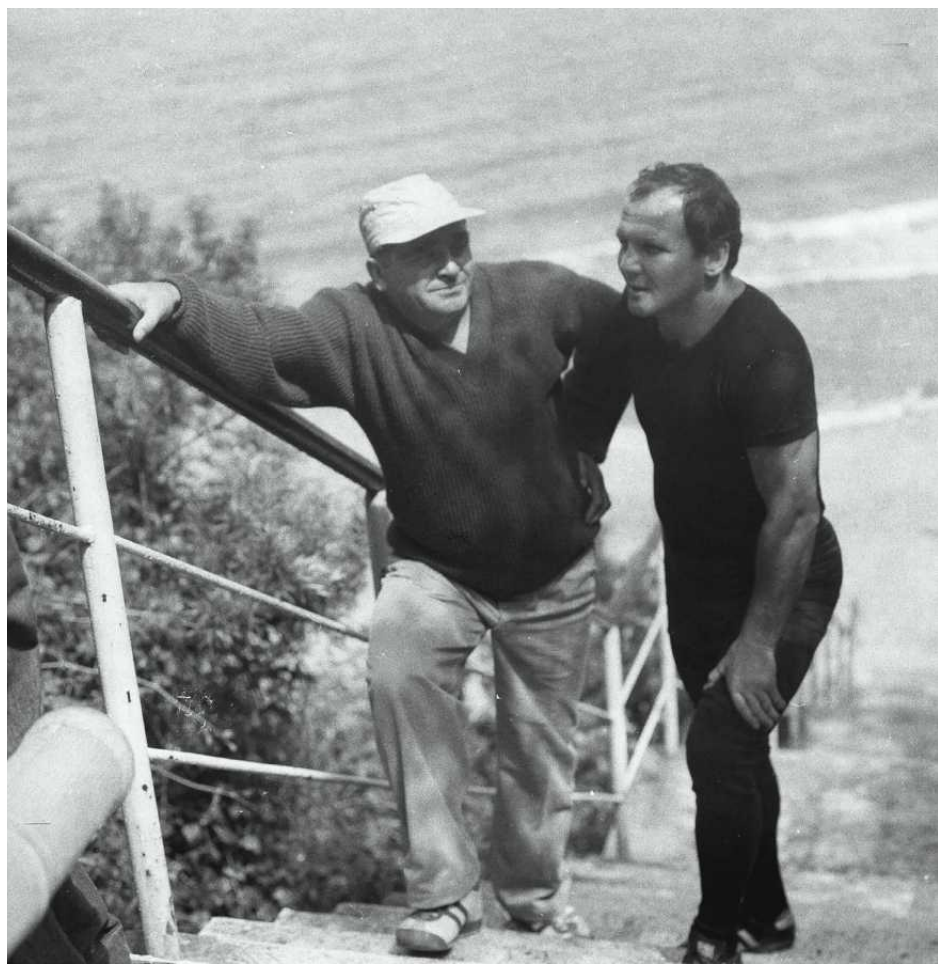

• **Jerzy Kulej i legendarny trener Feliks Stamm w filmie dokumentalnym „Papa Stam" (1978) Krzysztofa Rogulskiego** FOT. INPLUS/EAST NEWS

KULEJ JAK ŻYWY

Paweł Skrzecz znalazł się także w obsadzie „Kuleja. Dwóch stron medalu". Zagrał epizod, ale znaczący – sędziego na igrzyskach w Tokio. Kulej zdobył tam pierwsze złoto, a sukces ten powtórzył cztery lata później w Meksyku. Te dwa wydarzenia wyznaczają zakres filmu Żuławskiego. Sportowa legenda i sukcesy olimpijskie stanowią jeden z jego fundamentów. Zgodnie z podtytułem twórcy starają się przedstawić bohatera jako wybitnego i uwielbianego sportowca, kochającego męża i ojca, ale też mężczyznę niestroniącego od dziewczyn i alkoholu, nieustannie pakującego się w różne kłopoty.

Jest postacią barwną, duszą towarzystwa, znakomicie czuje się na parkiecie. Potrafi rozmawiać z dygnitarzami, a jednocześnie cały czas zadaje się z kumplami prowadzącymi nielegalne interesy. Musi radzić sobie z olbrzymią popularnością i własnymi namiętnościami zagrażającymi jego karierze i małżeństwu. Sportowy wymiar filmu schodzi często na dalszy plan, a główną bohaterką staje się żona Kuleja znakomicie zagrana przez Michalinę Olszańską.

Helena, która całkowicie poświęca się dla jego kariery, w pewnym momencie postanawia jednak zadbać również o siebie. Film oddaje jej sprawiedliwość, przyznaje, że bez niej Kulej nie odniósłby tylu sukcesów. To z jej perspektywy w dużej mierze jest prowadzona opowieść, a relacje między małżonkami są najważniejszym wątkiem.

Tomasz Włosok w tytułowej roli stworzył postać spójną i przekonywającą, jego charyzma i energia doskonale pasują do granego przez niego bohatera. Wcześniej trenował boks i kick-boxing, panuje nad ciałem, udanie naśladuje Kuleja, jego styl i choreografię poszczególnych walk.

Boks, jego dramaturgia, poetyka pojedynku, doświadczenie samotności w szatni odgrywają jednak w filmie role drugorzędne. Choć sceny bokserskie są dynamiczne, także dzięki montażowi, kamera jest w ruchu razem z aktorami, nie zapadają w pamięć, brakuje im napięcia i dramaturgii. Najwięcej emocji budzą nie mistrzowskie walki, ale starcie ciężko chorego Kuleja z Sylwestrem Kaczyńskim z Legii Warszawa, choć większe znaczenie mają tam konteksty pozaringowe. Kulej jako zawodnik interesuje twórców przede wszystkim w kontekście ambicji każącej mu walczyć za wszelką cenę o kolejne zwycięstwa lub zmagań z PRL-owską rzeczywistością oraz własnymi słabościami: alkoholem, zazdrością, niewiernością, temperamentem, nieodpowiedzialnością.

Film Xawerego Żuławskiego nie jest stricte sportowy, przywołuje jednak wspaniałe karty z historii polskiego boksu. Oddaje hołd wielkiemu mistrzowi i całemu pokoleniu pięściarzy wychowanych przez Feliksa Stamma. Słynny trener i mentor młodych zawodników w świetnej interpretacji Andrzeja Chyry bywa nawet narratorem, choć ten akurat zabieg jest mało przekonywający i niekonsekwentny. W epizodach pojawiają się też inne bokserskie legendy: Józef Grudzień, Marian Kasprzyk, Tadeusz Walasek, Zbigniew Pietrzykowski, Artur Olech i Lucjan Trela.

„Kulej" jest nie tylko opowieścią o zwycięstwie i miłości, ale także portretem czasów, w których boks był polskim sportem narodowym, a bokserzy zajmowali poczesne miejsce wśród bohaterów masowej wyobraźni. ●

Dominik Wierski – doktor nauk humanistycznych. Autor książki „Sport w polskim kinie 1944-1989" oraz licznych tekstów i opracowań o tematyce filmowej. Pracownik Pałacu Młodzieży w Bydgoszczy, koordynator AFF-Ery Filmowej i DKF „Niespodzianka", miłośnik kina, sportu i muzyki.

Piotr Zwierzchowski – prof. dr hab., filmoznawca, kulturoznawca, dziekan Wydziału Nauk o Kulturze Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. Zajmuje się przede wszystkim historią kina polskiego. Ostatnio opublikował m.in. „Kino nowej pamięci. Obraz II wojny światowej w kinie polskim lat 60." oraz „Filmowe reprezentacje PZPR"

eprasa.pl d6338e1d66

Jasne strony dziejów

Miotła, kreska i lampasy

Naturalne zmiany kadrowe czy polityczna zemsta?
Tylko polityczni mistrzowie potrafią umiejętnie obchodzić się z miotłą.

Brzeziecki

Dyskusja wywołana odwołaniem Roberta Kostry z funkcji dyrektora Muzeum Historii Polski nie przysłuży się obecnej ekipie. Głosy historyków będących na bakier z poprzednią władzą i zarazem krytykujących tę dymisję są tak liczne, że trudno je zignorować. Szczególnie ważny jest głos prof. Pawła Machcewicza, który – tak po ludzku – mógłby zacierać ręce. To jego PiS odwoływał z funkcji dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, próbując go do tego upokorzyć, a nawet wysyłał na niego CBA. Machcewicz zbyt dobrze zna historię i problemy związane z rozliczaniem się nawzajem przez kolejne obozy polityczne, by triumfować na zasadzie „a dobrze mu tak".

Zmiana władzy w 2023 roku nie była zwykłą zmianą, które w demokracji następują cyklicznie. Tak samo było w 2015 roku. W obu przypadkach władzę przejmowali ludzie, którzy mieli zupełnie inne, wykluczające się nawzajem wizje Polski. Nie wydaje się jednak uprawnione porównywanie roku 2023 do 1989, gdy społeczeństwo odebrało władzę komunistom. Pewne mechanizmy, zjawiska i emocje są jednak podobne, a wśród nich chęć odwetu. Rozliczanie i wyciąganie konsekwencji wobec ludzi dopuszczających się nadużyć to jedno, a upokarzanie ich elektoratu i wycinanie ludzi, którzy nie stali na pierwszej linii politycznego frontu, jak Kostro, to co innego.

W 1989 roku obóz przejmujący władzę zaniechał tępej czystki i zamiast miotły wziął skalpel – choć krytycy z prawicy widzieli raczej kredkę do kreślenia grubej kreski (na marginesie dodajmy, że obecna koalicja posłuchała prawicy i uznała, że wszelkie okrągłe stoły, grube kreski i tak dalej są błędem...).

Weźmy kadrowe decyzje Krzysztofa Skubiszewskiego – szefa MSZ w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Prof. Andrzej Friszke, politykę zagraniczną tego rządu, przedstawia ją jako głęboką zmianę, ale dokonaną z wykorzystaniem fachowych kadr poprzedniej ekipy „pod warunkiem zupełnej lojalności wobec państwa".

W tekście w tomie „Polska Polityka Zagraniczna 1918-2023" (wyd. Scholar, red redagowanym przez Ryszard Stemplowski) Friszke pisze, że Skubiszewskiemu udało się „stworzyć zespół fachowych i lojalnych wobec państwa i wobec siebie dyplomatów, którzy prowadzili spójną politykę zagraniczną, wolną od wpływów i ingerencji jakiejkolwiek partii politycznej". Osiągnął to, ściągając do MSZ zarówno ludzi z opozycji, jak i stare wygi z PZPR. Przykład? Na ambasadora do Moskwy Stanisława Cioska – ważnej partyjnej figury. Nikt lepiej nie spisałby się wtedy na tamtej placówce.

Skubiszewski, endek z Poznania, jak o nim pisał Mieczysław F. Rakowski, nie miał kontaktów w bloku wschodnim, a ten blok wtedy wciąż stanowił najważniejszy punkt odniesienia. Szybko jednak rozważną i zdecydowaną polityką zyskał autorytet. Znał prawo międzynarodowe na wyrywki, był pragmatykiem, respektował zawarte układy, zarazem podkreślał suwerenność Polski i przesuwał ją uparcie na Zachód.

Podobnie działali inni ministrowie w rządzie Mazowieckiego – wyłuskiwali ze starego obozu profesjonalnych ludzi, pozwalając im odnaleźć się w nowych czasach. Kto umiał z tej szansy skorzystać, ten mógł zrobić jeszcze wiele pożytecznego. Ale do takiej polityki trzeba ludzi z klasą i doświadczeniem, niechętnych, by otwierać zbyt wiele frontów naraz. Właśnie ukazały się „Protokoły posiedzeń rządu 1989-1991" (Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2024). Ukazują ogrom pracy ekipy Mazowieckiego i spraw, którymi się zajmowała. Szef MSW w tym gabinecie Krzysztof Kozłowski mawiał za Eugeniuszem Kwiatkowskim, że rząd, który się czasem myli, nie jest najgorszy, bo najgorszy jest ten, który zajmuje się szerokością lampasów. Zaiste tamten rząd nie zajmował się lampasami. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

Antypolityka historyczna

Zła zmiana

Wymiana szefów muzeów to standard dyktatur.
Potem zmienia się zawiadowców stacji i naczelników poczt.

Janowski

Niedawna wiadomość o odwołaniu Roberta Kostry ze stanowiska dyrektora Muzeum Historii Polski wywołała, jak wiadomo, oburzenie dużej części środowiska historycznego, w tym wielu osób jak najdalszych od popierania PiS-u. Do tych głosów oburzenia przyłączam się w całej pełni.

Sprawa ma jednak pewien szerszy kontekst. Odwołanie Roberta Kostry nie jest jedyne. Poprzedziło je odwołanie prof. Wojciecha Fałkowskiego ze stanowiska dyrektora Zamku Królewskiego w Warszawie – na dwa miesiące przed końcem kadencji. Nic nie przeszkadzało, aby doczekać do jej końca, a potem rozpisać konkurs.

Minister kultury być może ma poważne merytoryczne zastrzeżenia wobec obu dyrektorów. Jeśli tak, to opinia publiczna nie została o nich poinformowana. Jednak nawet gdyby istniały takie zastrzeżenia (o których nic nie wiem), nie usprawiedliwiałyby one ministerialnych decyzji. Wprawdzie były one – o ile wiadomo – zgodne z literą prawa, ale prawo to coś więcej niż litera.

Przecież głosując 15 października na rządzącą dziś koalicję, miałem nadzieję – a właściwie byłem przekonany, że kończy się epoka, w której można odwoływać dyrektorów muzeów przed upływem kadencji, bądź zatrudniać ich bez konkursu.

Nieprzedłużenie zatrudnienia przez poprzednią władzę Dariusza Stoli w Muzeum Polin i niezatrudnienie Małgorzaty Omilanowskiej na Zamku Królewskim mimo wygranych konkursów było skandalem, nie mówiąc już o odwołaniu Pawła Machcewicza i przejęciu przez PiS Muzeum II Wojny Światowej.

Koalicja, która doszła do władzy pod hasłem praworządności i obrony konstytucji (hasłem, branym przez niektórych co naiwniejszych wyborców za dobrą monetę) powinna być szczególnie uważna w działaniach, które muszą być odebrane jako posługiwanie się wytworzonymi przez PiS metodami działania dla własnej korzyści.

Fakt, iż wymowa światopoglądowa tej czy innej ekspozycji może nie odpowiadać nowym władzom, nie jest żadnym argumentem. Paweł Machcewicz bardzo słusznie napisał, że nie chodzi o to, aby „ichnią" wizję zastąpić „naszą", tylko aby wprowadzić pluralizm przekazów różnych muzeów. Powiedziałbym więcej.

Jeśli dany dyrektor jest kojarzony z prawą stroną sceny politycznej, to fakt ten powinien być – jeśli w ogóle ma jakoś wpływać na ministerialne decyzje – raczej argumentem, aby go utrzymać, niż zwolnić. Żeby w ten sposób zademonstrować społeczeństwu standardy życia politycznego wyższe, niż były stosowane dotąd.

Żeby rozpocząć drogę, która kiedyś w przyszłości będzie mogła, jeśli będziemy mieli dużo szczęścia, prowadzić do stopniowego załagodzenia polaryzacji politycznej w Polsce (polaryzacja nie jest wyrokiem przeznaczenia, tylko szkodliwym zjawiskiem społecznym, z którym da się walczyć).

Ważne jest także, by nie dać żadnego pretekstu do myślenia, że stosuje się w polityce system łupów. System łupów (spoils system), czyli obsadzanie swoimi zwolennikami przez każdorazowo zwycięskie partie jak największej liczby stanowisk, jest bardzo złym systemem zarządzania państwem. Wymiana dyrektorów muzeów wraz ze zmianą rządu to standard dyktatur, nie państw praworządnych.

Następny etap na tej drodze to wymiana zawiadowców stacji i naczelników poczt według kryterium lojalności politycznej. Co do zasady, im mniej funkcjonariuszy jest wymienianych w wyniku zmiany rządu, tym stabilniejszy i dojrzalszy jest system demokratyczny.

Zawłaszczenie państwa przez PiS postawiło przed rządzącą dziś koalicją niezwykle trudne zadanie przywrócenia neutralności instytucji państwowych.

Odebranie PiS-owi telewizji publicznej, podobnie jak działania Ministerstwa Sprawiedliwości na rzecz usunięcia skompromitowanych funkcjonariuszy sądownictwa są dla odbudowy zaufania do państwa absolutnie kluczowe.

Odwoływanie dyrektorów instytucji kulturalnych szkodzi temu celowi. Niezależnie od intencji ministra, musi być odebrane jako obsadzanie stanowisk „swoimi" (i muszę przyznać, że bardzo dziwię się następcy Roberta Kostry, że przyjął to stanowisko). Mam wielką nadzieję, że to tylko incydenty. Nadal pozostaję zwolennikiem obecnej koalicji i nadal bym na nią głosował gdyby jutro były wybory, choć może miałbym do tego głosowania nieco mniej serca. Ale świadomość, że tylekroć rycerze wolności niepostrzeżenie i stopniowo przejmowali sposoby działania tych, których obalili, powinna być ciągłym ostrzeżeniem dla rządzących. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

eprasa.pl d6338e1d66

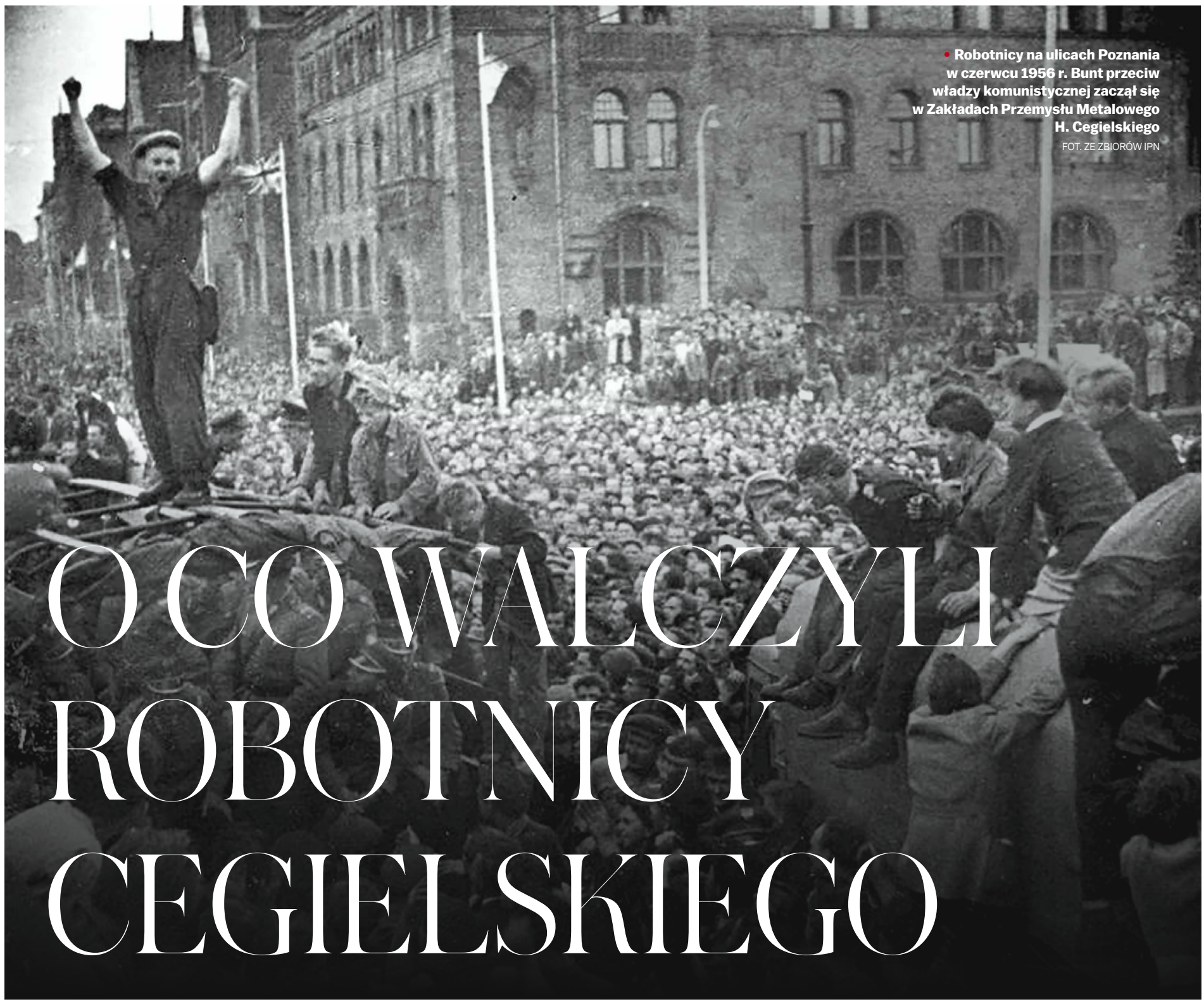

Robotnicy na ulicach Poznania w czerwcu 1956 r. Bunt przeciw władzy komunistycznej zaczął się w Zakładach Przemysłu Metalowego H. Cegielskiego
FOT. ZE ZBIORÓW IPN

O CO WALCZYLI ROBOTNICY CEGIELSKIEGO

Chciałbym, żeby czytelnicy mieli świadomość, że historia ruchu robotniczego się nie zakończyła. Walka ciągle trwa. Obietnica tego, że zakończy się spór klasowy, jest mniej aktualna niż dawniej.

Z **JAROSŁAWEM URBAŃSKIM*** ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

WOJCIECH SZOT: Dlaczego historię strajków pracowniczych opisałeś na przykładzie poznańskiej fabryki Cegielskiego?
JAROSŁAW URBAŃSKI: Powodów jest wiele. Na pewno ważne było to, że mój ojciec pracował jako palacz w Cegielskim. Bardzo wielu mieszkańców Poznania przeszło przez H. Cegielskiego, a oddziaływanie firmy było dużo większe, niż pokazują to statystyki zatrudnienia w fabryce.

Pod koniec lat 70. XX wieku pracowało w niej ponad 20 tys. osób.
– Cegielski był dla wielu – nie tylko poznańskich – robotników punktem odniesienia. Tam wielu dowiedziało się, czym są prawa pracownicze, jak powinny być przestrzegane. To lekcja, która ułatwiała im działanie w innych miejscach. Standardy przez lata wypracowywane w Cegielskim, są na wysokim poziomie.

Jakie to standardy?
– Na przykład dostęp do informacji o wysokości zarobków, zakładowy układ zbiorowy pracy, który wymusza prowadzenie negocjacji ze związkami zawodowymi. Ustalił się pewien model, który pracownicy mogą przenieść do innych, zwłaszcza nowo powstających zakładów. Oczywiście ludzie zmieniają pracę, przechodzą do innych firm choćby dla lepszych pensji, ale często słyszałem, że doświadczenie pracy w Cegielskim było dla nich formujące.

To ważne, żeby pracownik wiedział, że są związki zawodowe i ma z kim rozmawiać o swoich problemach, ma kto się za nim wstawić. Niezwykle istotne są też coroczne negocjacje płacowe, na których wyniki czekają wszyscy pracownicy. Albo jak powinna wyglądać procedura postępowania, kiedy dochodzi do wypadku przy pracy, zwolnienia itd.

To nie znaczy, że w Cegielskim nie ma i nie było protestów, ciągle jakieś się pojawiają.

Kiedy po raz pierwszy strajkowano w Cegielskim?
– Tego do końca nie wiemy. Do pierwszego odnotowanego strajku doszło w 1872 roku. To było spore wydarzenie – w fabryce zatrudniano już ponad 300 osób, a do protestu dołączyła minimum jedna trzecia załogi. Nie trwał długo, w sumie kilka godzin. Jego efekty też nie były spektakularne – nie udało się wywalczyć podwyżek, ale skrócono załodze czas pracy. W większości zakładów pracowało się wtedy od 12 do 14 godzin. Robotnicy z Cegielskiego domagali się skrócenia o godzinę.

W drugiej połowie XIX wieku pracowało się zupełnie inaczej niż dzisiaj. Efektywnie nie pracowano przecież przez 14 godzin. Dzisiaj, choć teoretycznie pracujemy krócej, pracujemy nie mniej ciężej. Czasem wydaje mi się, że nawet ciężej.

Dlaczego?
– Kiedyś praca nie była tylko miejscem zaspokojenia potrzeb ekonomicznych. Czeladnik i jego mistrz pracowali na jednej posesji domowej. Miejsce pracy to było miejsce życia. Potem budowano osiedla robotnicze w okolicach zakładów pracy, a na miejscu urządzano ludziom życie. Dzisiaj wiele osób uważa, że praca to miejsce, w którym jesteśmy tylko dla dochodu i ewentualnie spełnienia indywidualnych ambicji. Ale zakład pracy to też miejsce, w którym tworzy się społeczność o funkcjach szerszych niż tylko ekonomiczne.

Dzisiaj wiele się mówi o work-life balance, oddzieleniu pracy od życia tak, by jedno nie kolidowało z drugim.
– To pojęcie, które wprowadza dualizm między pracę a życie. Jakby jedno z drugim miało się nie przenikać. Work-life balance byłoby pojęciem o wiele bardziej użytecznym, gdybyśmy na jego podstawie ustalali jakąś wizję tego, jak będzie wyglądał ustrój pracy w przyszłości. Czy np. czas pracy będzie radykalnie skracany? Gdybyśmy mogli pracować sześć, a może cztery godziny dziennie, wtedy możemy szukać balansu. Niestety, tendencja jest odwrotna. Od początku lat 90. czas pracy w wielu krajach na Zachodzie zaczął się wydłużać. Zwłaszcza biorąc pod uwagę liczbę godzin przepracowanych w ciągu całego życia. W Polsce – według danych OECD – pracujemy obecnie dłużej niż przed pandemią.

Kiedyś, gdy po 14 godzinach człowiek wychodził z pracy, to po prostu szedł spać. Dlatego do pracodawcy należał obowiązek zapewnienia zatrudnionym pewnych elementów związanych z życiem. Oprócz tego znaczna część kobiet nie pracowała „na zewnątrz" i zajmowała się domem oraz dziećmi. Dzisiaj, gdy pracownik lub pracownica (udział kobiet w rynku pracy znacznie się zwiększył) wychodzi po modelowych ośmiu godzinach, cała tak zwana akomodacja została przerzucona na niego. Musi zorganizować sobie dojazd do pracy, powrót, przygotować do niej jedzenie, ubranie, które często musi kupić. Czyli bardzo dużą część swojego czasu wolnego poświęca się temu, by pracować. Czas wolny jest podporządkowany pracy. Z różnych badań wynika, że skracaniu godzin pracy towarzyszyło wydłużanie czasu dojazdu.

Praca wymaga wydajności, ale żeby ją osiągnąć, musisz być wyspany, skoncentrowany, zdrowy. Na to poświęcasz godziny, podczas których – przynajmniej oficjalnie – nie pracujesz.

1 RP

eprasa.pl d6338e1d66

Dla pracowników podmiejskich centrów logistycznych work-life balance to często abstrakcja, skrócenie czasu pracy – to konkret.

Czas wolny przeznaczamy na konsumpcję. Im więcej wolnego, tym więcej szans na wydawanie pieniędzy. Kapitalizm to lubi?
– W jakimś sensie jak konsumujesz, to też pracujesz. Najpierw idziesz do pracy do jakiegoś magazynu, gdzie przerzucasz towary, potem wracasz do domu, idziesz do supermarketu i kupujesz towar, który niejako sam pomogłeś tam dostarczyć. Ustawiasz się na końcu tego łańcucha dostaw. Nie da się zatem oddzielić naszego życia od pracy.

Badania antropologów pokazywały, że chłopi w Europie Wschodniej po uwłaszczeniu nie pracowali dłużej. Gdy zaspokoili swoje skromne potrzeby, nakarmili pana, woleli nie pracować i cieszyć się czasem wolnym. Dziś jeżeli chcemy więcej konsumować, musimy mieć na to czas i paradoksalnie musimy więcej oraz ciężej pracować.

Dyskusja o work-life balance wydaje mi się krzykiem rozpaczy spowodowanym tym, że wszystko nam się zaczęło zlewać. Tracimy kontrolę nad życiem, które jest podporządkowane pracy i konsumpcji.

Wróćmy jeszcze do „Strajku". Prześledziłeś historię strajków w Cegielskim przez 170 lat jego istnienia. Nie ma tu jednak zbyt wielu opowieści o bohaterach tych wydarzeń.
– Staram się patrzeć na zbiorowość, nie na bohaterów. To historia pracowników jako grupy, pewnej wspólnoty pracy. Gdy zaczynamy opowiadać z perspektywy „bohaterów", zaczynamy mówić o poświęceniu jednostki dla dobra ogółu. Zaczynamy ważyć – kto bardziej się poświęcił. A tu chodzi o walkę zbiorową, w której każdy wkład jest cenny.

Oczywiście były wybitne postaci, jak Marcel Szary zmarły w 2010 roku działacz Inicjatywy Pracowniczej, ale najważniejszym bohaterem tej książki są pracownicy Cegielskiego jako całość.

Całość, która miała wspólną świadomość?
– Jest taki inteligencki pogląd, że wspólna świadomość spaja ludzi. Niekoniecznie. W miejscu pracy podstawową kwestią jest to, że razem pracujemy, działamy. To, jak jesteśmy w tym miejscu pracy zorganizowani, tworzy wspólnotę. Często zupełnie niezależnie od naszych społecznych korzeni, idei, w które wierzymy, kościoła, do którego chodzimy po pracy.

Historia i tradycja ruchu pracowniczego pokazują, że to sposób organizacji pracy i na ile podporządkujemy się pracodawcy są kluczowe. Dlatego przez lata nie pozwalano czeladnikom organizować się w osobne stowarzyszenia, mogli funkcjonować tylko pod patronatem mistrzów. Czeladnicy często występowali przeciwko temu paternalistycznemu układowi. Kwestia indywidualnych poglądów jest dużo mniej istotna niż poczucie wspólnoty pracy.

Oczywiście pracownicy korzystają z różnych doktryn, sięgają do różnych tradycji ruchów socjalnych czy filozoficznych, ale to też nie układa się w oczywiste podziały. Bywa to bardzo eklektyczny zbiór. Z punktu widzenia socjologii trudno w ogóle stwierdzić, czym jest świadomość społeczna robotników. Pojawia się choćby koncepcja partii robotniczej, która ma wyrażać kwintesencję świadomości robotniczej.

A tobie jak się wydaje, czym jest świadomość społeczna
– To coś amorficznego, zmiennego. Zrozumienie jej pluralizmu pozwala na dynamiczniejszy rozwój walki o prawa pracownicze. Dobrze, że do pracowników docierają różne koncepcje, nad którymi mogą dyskutować i z których mogą wybierać to, co dla nich w danym momencie przydatne. Potrzebujemy różnorodnego doświadczenia, świadomości tego, jak sytuacja praw pracowniczych wygląda w innych systemach politycznych itd. Nigdy nie będzie jednej świadomości pracowniczej, do której mamy dążyć, jakbyśmy szukali Świętego Graala.

Walkę pracowników przedstawia się często jako dążenie do jednego, mitycznego celu. Klasa robotnicza nie jest czymś – jak wiele razy w historii próbowano sugerować – homogenicznym. To grupa zróżnicowana, z której można wyodrębnić zwykle kilka segmentów mających autonomiczne cele. Oczywiście mogą i powinny zjednoczyć się w jedną organizację, w jeden ruch, jeżeli dostrzegą, na jakich zasadach mogą ze sobą współdziałać. Ale nie jest to proces, który uda się za każdym razem.

Ciągle bowiem zmienia się to, co w moim środowisku politycznym, nazywamy „składem klasowym".

W 1920 roku Sejm uchwalił dodatek drożyźniany, którego jednak nie wypłacono. 26 kwietnia doszło do strajku. Władze wprowadziły stan wyjątkowy, a policja i wojsko spacyfikowały protest. Do protestujących otworzono ogień

Jarosław Urbański

Strajk. Historia buntów pracowniczych

Wydawnictwo RM, 2024

Jak się zmienił w ostatnich latach?
– Jeszcze 20 lat temu stopa bezrobocia sięgała w Polsce 20 procent. Kwestia bezrobotnych, obrony miejsc pracy była kluczowa. Dziś bezrobocie jest dużo mniejsze. Natomiast na rynku pracy pojawili się np. pracownicy z Ukrainy czy Białorusi, ale też z innych krajów. To zmieniło sytuację. Pracownicy z zagranicy często nie funkcjonują na takich samych zasadach co Polacy. Są najmowani do pracy na dużo gorszych warunkach, zatem jeśli planujemy działania, musimy w nich uwzględnić również pracowników z innych krajów. Trudniej wtedy mówić na przykład o obronie „polskich miejsc pracy".

Teraz obserwujemy napływ do Polski pracowników z krajów Ameryki Łacińskiej. To są tysiące ludzi, zwłaszcza z Kolumbii. Ich sytuacja jest jeszcze gorsza niż sytuacja ukraińskich pracowników. To też spore wyzwanie dla organizacji takich jak Inicjatywa Pracownicza, które muszą choćby umieć się komunikować w ich języku.

Nie możemy czekać na budowanie jakiejś jednej świadomości klasowej, lecz potrzebujemy działać tu i teraz. Cała oferta ideologiczna może być twórczo wykorzystywana, dyskutowana i przeobrażana. Chociaż sam mam poglądy lewicowe, anarchosyndykalistyczne, to jednak w książce dużo miejsca poświęciłem zmarginalizowanej w historiografii PRL-owskiej narodowej koncepcji klasowej.

W Wielkopolsce to musiało być dopiero ciekawe.
– Decydował pragmatyzm. Robotnicy funkcjonowali – w uproszczeniu – na dwóch rynkach pracy – niemieckim i polskim. Zachowanie polskiej tożsamości narodowej było bezpieczniejsze. Po pierwsze, polscy imigranci zarobkowi zawsze byli gorzej traktowani niż robotnicy niemieccy. Wspólnie walczyli o polepszenie swojego statusu. Po drugie, nigdy nie wiadomo było, czy kiedyś się do tej Polski nie wróci. I wracamy, kiedy straciło się zatrudnienie w okresie bessy.

Trzeba też pamiętać, że robotnicy robią wiele, żeby przestać być robotnikami. Lepiej mieć własne pole, swój warsztat, dzięki czemu odzyskują kontrolę nad życiem. Pracując w Niemczech, myśleli o powrocie do kraju na swoje. Oczywiście to często była iluzja, ale jednak wiele osób wierzyło (i wierzy) w taką przyszłość.

Na początku lat 90. XX wieku ta iluzja stworzyła tysiące prywaciarzy.
– Wiele osób myślało, że w ten sposób się dorobi i nie będzie musiała pracować dla kogoś. W praktyce okazało się to nie takie łatwe i wiele osób wróciło do fabryk. Dużą część rynku zagarnęły korporacje, mali upadali. W Cegielskim i innych tego typu firmach spotkałem wiele takich osób. Okazywało się, że czasami fabryka też ma swoje zalety – są urlopy, jest stała pensja, większe bezpieczeństwo. Przeciwieństwem tego stało się natomiast to, co nazywamy dziś pekaryzacją: śmieciowe umowy, niestabilność zatrudnienia, migracja. Standardy pracy takie jak wywalczone w Cegielskim były w wielu miejscach niszczone.

Jak się potoczyły losy samych Cegielskich?
– Hipolit Cegielski z ubogiego, spauperyzowanego szlachcica stał się człowiekiem bardzo zamożnym, choć nie była to fortuna na miarę tych budowanych w Łodzi. Jednak na regionalną skalę był człowiekiem bogatym i wpływowym. Zmarł w 1868 roku. Jego syn Stefan miał wtedy 16 lat. Firmę przejął dopiero w 1880 roku, w momencie gdy minął boom na produkcję narzędzi rolniczych, wzrosła konkurencja, pojawiły się też problemy w rolnictwie.

Stefan Cegielski miał o wiele mniej możliwości niż ojciec, nie był też postacią tego formatu. Gdy zmarł w 1921 roku, fabryka była już kontrolowana przez akcjonariuszy i management. Jedna czwarta jej kapitału należała do belgijskiej firmy. W okresie międzywojennym nie postrzegano już Cegielskiego jako fabryki rodzinnej, wpływ potomków był bardzo ograniczony. Po II wojnie światowej fabryka została znacjonalizowana.

Grzegorz Gauden pokazał w książce „Lwów – kres iluzji", że nastaniu Polski we Lwowie towarzyszył pogrom. Ty pokazujesz, że w Poznaniu zaczęło się od krwawo stłumionego strajku.
– To był strajk pracowników Warsztatów Kolejowych, którzy nie dostali podwyżek. Na początku 1920 roku Sejm uchwalił tzw. dodatek drożyźniany, którego jednak nie wypłacono. 26 kwietnia doszło do strajku. Władze wprowadziły stan wyjątkowy, a policja i wojsko spacyfikowały protest. Do protestujących otworzono ogień – zginęło dziewięciu demonstrantów, a 13 zostało rannych. Po nim nastąpiły kolejne strajki, zdarzało się, że ginęli w nich ludzie.

Gdy kilka lat temu zacząłem opowiadać ludziom o tym, jak wiele było wystąpień pracowniczych zaraz po powstaniu wielkopolskim, to nawet osoby, które studiowały historię, były zaskoczone. Ludzie czuli się rozgoryczeni tym, że z jednej strony obiecuje się sprawiedliwe, polskie państwo, a z drugiej – sytuacja robotników zupełnie się nie poprawia, wręcz pogarsza. Co mnie zaskoczyło to to, że nigdy dokładnie nie policzono wszystkich ofiar ówczesnych strajków czy wystąpień pracowniczych.

Dwudziestolecie międzywojenne, które czasem jest pokazywane jak jakiś raj, było de facto dwoma dekadami ostrych walk społecznych.

Czytając prasę z połowy lat 20. XX wieku, człowiek odnosi wrażenie, że to był świat wypełniony przemocą – ciągłe walki uliczne, protesty, ale też olbrzymia przestępczość. Oczywiście prasa wyolbrzymia, ale skala musiała być zupełnie inna niż dzisiaj.
– Konflikty układały się nie tylko na linii władza – społeczeństwo czy władza – pracownicy, ale też między poszczególnymi ugrupowaniami. Były też konflikty etniczne czy religijne. Wymazano to ze zbiorowej świadomości. W sierpniu 1937 roku doszło do olbrzymiego strajku rolników zwanego strajkiem chłopskim. Podczas jego tłumienia zginęły 44 osoby. To była niezwykle brutalna pacyfikacja.

Na lekcji historii się tego nie dowiemy.
– Dlatego też warto mieć krytyczny stosunek do wszelkiego rodzaju narracji historycznych, podręczników, muzeów, obchodów; wszystkiego, co nam próbuje sprzedać jakąś jedną opowieść o przeszłości. Nie warto ich bezrefleksyjnie przyjmować.

Doskonale to widać na przykładzie przemian narracji o wydarzeniach 1956 roku i losach Pomnika Poznańskiego Czerwca 1956, do którego w 2006 roku doklejono sformułowanie „O Boga", choć zdjęcia z protestów nie pokazują żadnych haseł religijnych.

Ta książka jest czymś na kształt manifestu?
– Trochę.

Na pewno chciałbym, żeby czytelnicy mieli świadomość, że historia ruchu robotniczego się nie zakończyła, wciąż się tworzy, a walka ciągle trwa. Obietnica tego, że zakończy się spór klasowy i nastanie jakaś forma bezklasowego społeczeństwa, jest mniej aktualna niż dawniej. Oczywiście w Polsce ta walka nie jest tak brutalna jak w przeszłości, ale w innych krajach wciąż mamy do czynienia z brutalnymi rozprawami z robotnicami i robotnikami.

To też książka o tym, czym jest dla mnie aktywizm. Aktywiści powinni być też badaczami, którzy analizują rzeczywistość. Nie jestem naukowcem zatrudnionym na uniwersytecie, nie mam doktoratu. Pracą badawczą zajmuję się jako zwykły związkowiec, nie mogę konkurować z tymi, którzy pracują wyłącznie naukowo. Ale wiedza, która nie jest akademicka, lecz aktywistyczna, jest nam potrzebna, żeby skutecznie bronić społeczeństwa przed różnego typu reżimami. Badania pomagają nam – w ruchu pracowniczym – budować strategię działania i argumentację. Na przykład podczas jakiegoś sporu zbiorowego, gdzie trzeba przedstawić nie tylko opinie, ale także fakty poparte badaniami. Gniew i poczucie sprawiedliwości nie zawsze wystarczają.

Jednocześnie badanie przeszłości jest dla mnie de facto badaniem teraźniejszości, pozwala zrozumieć, skąd wzięły się różne funkcjonujące współcześnie instytucje – w sensie socjologicznym – i ułatwia dobieranie argumentów w sporze.

Osoby aktywistyczne często są uciszane, słyszą, że nie są badaczami czy badaczkami, więc nie powinni się wypowiadać. To się dzieje teraz choćby w dyskusjach z osobami upominającymi się o działania wobec kryzysu klimatycznego. Jednocześnie oczekujemy, że społeczeństwo będzie uświadomione, będzie miało wiedzę – skąd mają czerpać, jeśli rozdzielamy te dwa światy: nauki i społecznej praktyki. Akademia może spełniać funkcję emancypacyjną tylko wtedy, kiedy wychodzi na zewnątrz, do społeczeństwa. Zamknięta w swoich murach jest jedynie kuźnią dyskursów potrzebnych władzy. ●

Jarosław Urbański

• (Ur. 1964), socjolog i aktywista związany m.in. z Inicjatywą Pracowniczą i poznańskim Rozbratem. Autor książek: „Globalizacja a konflikty lokalne" (2002), „Odzyskać miasto. Samowolne osadnictwo, skłoting i anarchitektura" (2005), a także wielu artykułów naukowych i publicystycznych.

eprasa.pl d6338e1d66

Jaki był kapral Stanisław Huskowski „Ali”

Bojowy, ideowy, opanowany

Odnalazły się kolejne dokumenty, które przeczą lansowanej po wojnie tezie, że uczestnik zamachu na Kutscherę był nieudacznikiem, który zawiódł w walce.

Waldemar Stopczyński

5 października w dodatku do „Gazety Wyborczej” „Ale Historia” opublikowano wywiad, jaki przeprowadził ze mną Wojciech Szot. Pretekstem był mój artykuł „Raport »Alego« z akcji na Kutscherę, czyli o fałszowaniu historii”, który ukazał się na portalu Historiabezkitu.pl. Pozwalam sobie skreślić te kilka słów uzupełnienia z dwóch powodów. Po pierwsze, trzem historykom obwinionym przeze mnie o fałszowanie historii stworzono możliwość odniesienia się do postawionych im zarzutów. Dwóch skorzystało z tej możliwości i chciałbym krótko się odnieść do ich odpowiedzi. Drugi powód jest ważniejszy. Między rozmową z red. Szotem, która odbyła się w czerwcu, a jej publikacją w sferze archiwalnych odkryć stało się coś, co bez wielkiej przesady można nazwać sensacją o istotnych konsekwencjach dla naszej wiedzy o historii „Parasola”.

•

Doktorowi Łabuszewskiemu wyjaśniam, że praca historyka nie polega na pokazywaniu bohatera wydarzeń historycznych w sposób naruszający lub nienaruszający jego dobre imię, ale na pokazywaniu o nim prawdy, jaka wynika z aktualnego stanu badań. A to, co w sprawie zamachu na Kutscherę opublikował w 2012 r., a ostatnio dodrukował IPN, prawdą nie jest. Powinno wybrzmieć jeszcze jedno: o tym, że IPN dopuszcza do kolportażu fałsz, informowani byli: prezes IPN Karol Nawrocki, jego doradca ds. naukowych Sławomir Cenckiewicz oraz Sebastian Pilarski, dyr. BBH IPN. Nie zrobili nic, aby do fałszerstwa nie dopuścić.

Mariusz Olczak, dyr. Archiwum Akt Nowych, wprowadził do społecznego obiegu obraz dowódcy „Parasola” przede wszystkim zatroskanego o stworzenie naukowo rzetelnego opisu historii swojego oddziału. Ten obraz jest oczywiście fałszem. Na wiele miesięcy przed opublikowaniem albumu o Adamie Borysie dyr. Olczak wiedział o sformułowanych w naukowym artykule dowodach na fałszerstwo dokonane przez dowódcę „Parasola”. Nie uznał ich za błahe, bo z łatwością rozprawiłby się z nimi w „pierwszej tak pełnej biografii Adama Borysa”. Uważam, że uznał ich znaczenie za pierwszorzędne, a jedynym wyjściem umożliwiającym realizację kaprysu opublikowania „hagiografii” Borysa było przemilczenie kluczowej informacji. To mechanizm nazwany w kodeksie etycznym pracownika naukowego fałszerstwem. Na obszernie i szczegółowo przedstawiony wywód dyr. Olczak ma jedynie zaprzeczenie. To stanowczo za mało.

•

W tym fałszerstwie dyr. AAN poszedł za ciosem i zaangażował się w realizację pomysłu, aby Adama Borysa uczynić patronem polskich żołnierzy, bo jeżeli ktoś uwierzy w jego zapewnienia, że „nie zajął stanowiska w sprawie patronatu”, będzie musiał uznać, że kłamało ówczesne dowództwo WOT z gen. Kukułą na czele, bo to stamtąd przyszła pisemna informacja: „Odbyliśmy wiele rozmów z dyrektorem AAN p. Olczakiem i patron nie budzi wątpliwości”.

W innych swoich odpowiedziach dyr. AAN równie oszczędnie gospodaruje prawdą. Stwierdza np., że raport „Alego” dr Piskunowicz odnalazł, ale nie w AAN, tylko w Centralnym Archiwum KC PZPR. I niżej dodaje, zniechęcając do drążenia sprawy nazbyt dociekliwych, że nie da się ustalić, gdzie i kiedy doszło do rozdzielenia raportu i pisma przewodniego. Odpowiadając dyr. Olczakowi, zacytuję dyr. Olczaka, który w 2016 r. napisał w artykule dotyczącym pisma przewodniego: „Nikt z badaczy nie dotarł jednak do niedostępnego wówczas, bo przechowywanego w zasobach komunistycznego MSW do 1990, a następnie w Centralnym Archiwum KC PZPR, raportu zastępcy dowódcy (...). Dopiero wraz z przekazaniem go do zasobu AAN na początku lat 90. dotarł do niego i opublikował dr Henryk Piskunowicz”.

Doktor Piskunowicz rzeczywiście odnalazł obydwa dokumenty złączone ze sobą w Centralnym Archiwum KC PZPR, ale nie w budynku Centralnego Archiwum KC PZPR, jak chce mało subtelnie nam wmówić dyr. Olczak, ale w zasobie archiwalnym Centralnego Archiwum KC PZPR, który w 1990 trafił do Archiwum Akt Nowych. M. Olczak uporczywie, choć niezgodnie z faktami zrzuca odpowiedzialność za to, że Adam Borys nie powiedział prawdy, a następnie historycy nie mogli jej ustalić – na komunistów. Ale komuniści w tym wypadku mieli czyste ręce, czego nie można powiedzieć o dyr. Olczaku. Jak wiadomo, nic tak nie plami jak atrament.

W tym, co napisał dyr. Olczak, tylko jedno jest niewątpliwie prawdą: raport „Alego” nie potrzebuje i nie potrzebował nigdy jakiegoś dowodu zewnętrznego potwierdzającego, że jest dokumentem oryginalnym i wiarygodnym. Tym jednym słowem prawdy dyr. Olczak mocno bije m.in. w dr. Łabuszewskiego i cały IPN.

Nic z tego, co M. Olczak i T. Łabuszewski napisali, nie skłania mnie do zmiany czegokolwiek, co o ich fałszerstwach napisałem i powiedziałem.

•

Jedną z konkluzji tekstu opublikowanego na portalu Historiabezkitu.pl było stwierdzenie, że w świetle ujawnionych w ostatnich dekadach dokumentów zabetonowana, zdawało się, historia zamachu z 1 lutego 1944 r. wymaga rzetelnego audytu i napisania jej właściwie na nowo. W lipcu br. do Archiwum Muzeum Powstania Warszawskiego został przekazany zbiór oryginalnych dokumentów tego plutonu, którego żołnierze przygotowali i wykonali akcję na Kutscherę. To archiwalne znalezisko nie tylko potwierdza sformułowaną przeze mnie konkluzję, ale też ją wzmacnia i rozszerza na inne akcje oddziału. Wspomnę o trzech dokumentach spośród kilkudziesięciu i tych tylko, które dotyczą akcji na Kutscherę.

W zbiorze znajduje się 37 kart ewidencyjnych żołnierzy. Są sporządzone na kartkach małego formatu według jednolitego schematu. Podają dane o żołnierzu, takie jak pseudonim, sytuację rodzinną, szkolenia wojskowe, udział w akcjach oraz „charakterystykę ogólną” i opinię o predyspozycjach żołnierskich („sylwetka żołnierza”). Zachowała się karta Stanisława

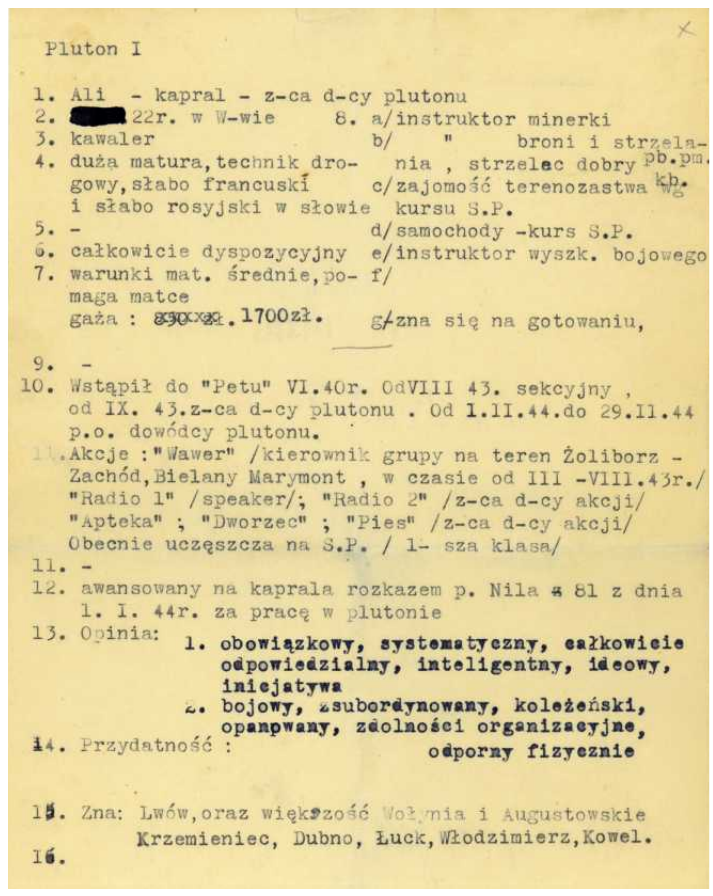

Pluton I

1. Ali - kapral - z-ca d-cy plutonu
2. [redacted] 22r. w W-wie
3. kawaler
4. duża matura, technik drogowy, słabo francuski i słabo rosyjski w słowie
5. -
6. całkowicie dyspozycyjny
7. warunki mat. średnie, pomaga matce
   gaża : ~~xxxx~~ 1700zł.
8. a/instruktor minerki
   b/ " broni i strzelania, strzelec dobry pb.pm. kb.
   c/zajomość terenozastwa wg kursu S.P.
   d/samochody -kurs S.P.
   e/instruktor wyszk. bojowego
   f/
   g/zna się na gotowaniu,
9. -
10. Wstąpił do "Petu" VI.40r. OdVIII 43. sekcyjny, od IX. 43.z-ca d-cy plutonu. Od 1.II.44.do 29.II.44 p.o. dowódcy plutonu.
11. Akcje : "Wawer" /kierownik grupy na teren Żoliborz - Zachód, Bielany Marymont, w czasie od III -VIII.43r./ "Radio 1" /speaker/; "Radio 2" /z-ca d-cy akcji/ "Apteka" ; "Dworzec" ; "Pies" /z-ca d-cy akcji/ Obecnie uczęszcza na S.P. / 1- sza klasa/
11. -
12. awansowany na kaprala rozkazem p. Nila # 81 z dnia 1. I. 44r. za pracę w plutonie
13. Opinia:
    1. obowiązkowy, systematyczny, całkowicie odpowiedzialny, inteligentny, ideowy, inicjatywa
    2. bojowy, zsubordynowany, koleżeński, opanpwany, zdolności organizacyjne, odporny fizycznie
14. Przydatność :
15. Zna: Lwów, oraz większość Wołynia i Augustowskie Krzemieniec, Dubno, Łuck, Włodzimierz, Kowel.
16.

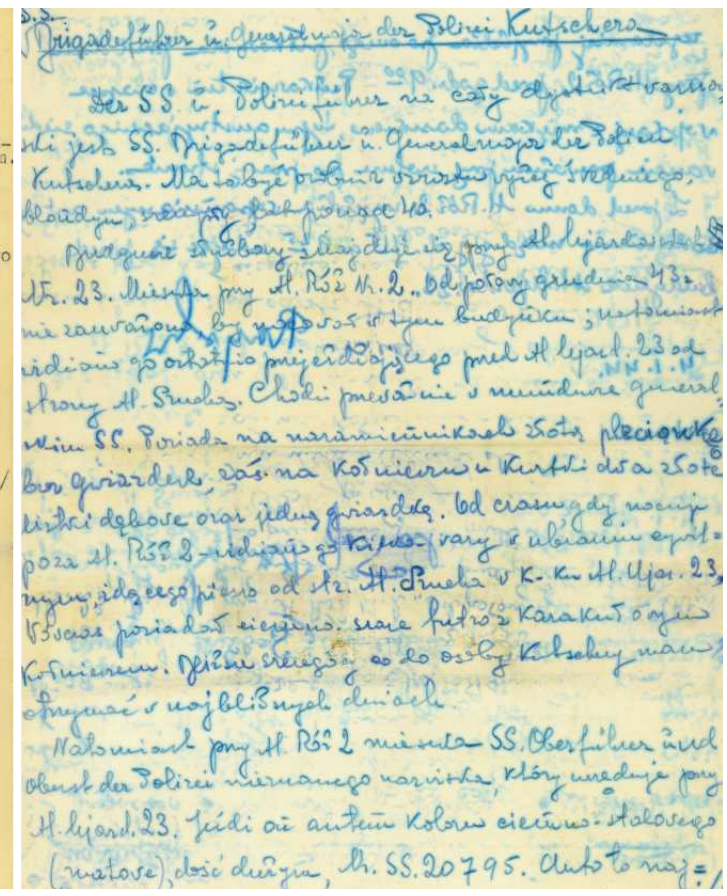

Przydział pana Kutschera

Ok. 23. Miejsca przy ul. Rśź 2 nr. 2 „Odjeżdżający” 43.

Kutschera. Ma [illegible] 23 [illegible] Ujazd. 23 [illegible] Kutschera [illegible] 23 [illegible] Ujazd. 23, [illegible] Kutschera [illegible] 23 [illegible] Ujazd. 23

• **Stanisław Huskowski „Ali" (1922-44), żołnierz Armii Krajowej, poległ w lipcu 1944 podczas nieudanej próby zamachu na Wilhelma Koppego** FOT. DOMENA PUBLICZNA

Huskowskiego „Alego". Ukształtowana po wojnie narracja zaaprobowana expressis verbis przez dowódcę „Parasola" uczyniła z niego delikatnego intelektualistę, który nie nadawał się na żołnierza i w walce brać udziału nie powinien. Ale wziął, bo rzekomo skorzystał z protekcji przyjaciół. I w tej walce kompletnie zawiódł. Tchórzliwie umknął z pola walki. Z jego winy zginęli inni i on sam.

Dysponowaliśmy dotąd trzema dokumentami z lutego 1944, które nie tylko nie potwierdzają tej powojennej narracji, ale wręcz jej przeczą: meldunek Adama Borysa do dowódcy Kedywu z 2 lutego 1944, raport z akcji i pismo przewodnie Adama Borysa do niego dołączone. Teraz mamy czwarty. Karta „Alego" została sporządzona w marcu 1944, najpóźniej w pierwszych dniach kwietnia, zatem niedługo po akcji na Kutscherę. W punkcie 13. w podpunkcie charakteryzującym „Alego" jako człowieka napisano: „obowiązkowy, systematyczny, całkowicie odpowiedzialny, inteligentny, ideowy, inicjatywa". W podpunkcie „sylwetka żołnierza": „bojowy, zsubordynowany, koleżeński, opanowany, zdolności organizacyjne, odporny fizycznie".

Nie wiem, czy jest inny przykład równie radykalnej różnicy między ukształtowaną po latach narracją o jakimś wydarzeniu a dokumentami wytworzonymi tuż po nim. Stanisław Huskowski „Ali" zginął wysłany przez swojego dowódcę do walki. Już po wojnie ten dowódca zabił go po raz drugi, skazując na niezasłużoną infamię. „Ali" nie doczekał się żadnej formy państwowej rehabilitacji. Dowódca, który go oczernił, jest nie tylko patronem jednego z batalionów WOT, ale także patronem najważniejszego dzisiaj oficera w Wojsku Polskim – gen. Wiesława Kukuły, który do zachowania swojego idola względem poległych podkomendnych nie zgłosił zastrzeżeń.

•

Dwa kolejne dokumenty z tego zbioru datowane są 4 stycznia 1944. Pierwszy to pisemny rozkaz Adama Borysa (podpisany pseudonimem „Pal") zlecający Bronisławowi Pietraszewiczowi „Lotowi" przygotowanie akcji na Kutscherę: „Przekazuję panu sprawę p. K. do wykonania", pisze dosłownie dowódca i nakazuje rozpoczęcie tych przygotowań z chwilą „przekazania osoby p. K. przez p. Rayskiego". „Rayski" to pseudonim Aleksandra Kunickiego, szefa wywiadu oddziału „Pegaz". Wiedza o wywiadowczym rozpracowaniu Kutschery była dotąd oparta na relacji właśnie „Rayskiego". Kunicki podkreślał w niej własną inicjatywę oraz nieomylną intuicję, które na początku grudnia 1943 r. wprowadziły w orbitę jego zainteresowania wysokiego oficera SS w skórzanym płaszczu regularnie jeżdżącego samochodem o nr rej. SS-20795 między al. Róż 2 a Al. Ujazdowskimi 23. W toku rozpracowania ten właśnie oficer okazał się według relacji Kunickiego Franzem Kutscherą. Okazuje się, że istotne fragmenty tej dotąd niekwestionowanej opowieści można włożyć między bajki. Zapewne w ślad za rozkazem przygotowania akcji do „Lota" dotarła notatka sporządzona przez „Rayskiego" sumująca jego wiedzę o Kutscherze. Okazuje się, że 4 stycznia 1944 „Rayski" wiedział jedynie, i taką informację przekazał „Lotowi", że regularnie autem o nr rej. SS-20795 jeździ z al. Róż 2 do komendantury policji i SS niezidentyfikowany z nazwiska pułkownik SS „w czapce wojskowej z miękkim daszkiem, typu austriackiego". Natomiast oficer identyfikowany przez „Rayskiego" jako Kutschera, choć zajmuje lokal w kamienicy przy al. Róż, to w ciągu minionych niemal trzech tygodni nie nocował tam, a na pewno tego nie stwierdzono. Był natomiast widziany, jak chodzi pieszo, czasami po cywilnemu „w szarym futrze z karakułowym kołnierzem".

W zbiorze, który trafił do MPW, jest więcej dokumentów, które wymuszą wprowadzenie istotnych korekt do naszej wiedzy o działalności „Parasola", dlatego postulat dokonania naukowego audytu naszej wiedzy o tym wycinku historii, jakim była walka żołnierzy słynnego batalionu, pozostaje bardziej aktualny, niż był, gdy wyrażałem go w artykule o fałszerzach historii. Mariusz Olczak w zeszłym roku zapowiedział, że AAN zorganizuje konferencję o zamachu na Kutscherę. Dodał jednak, że do udziału w niej zaproszeni zostaną jedynie zawodowi historycy. Ktoś mógłby powiedzieć, że to dobrze, bo rozmawiać będą fachowcy, ale tak się składa, że najważniejsze rzeczy w tej sprawie i takie, które podważają uczciwość i rzetelność historyków (w tym dyr. Olczaka), napisał podpisany niżej absolwent filologii polskiej. Mam mimo wszystko nadzieję, że znajdą się, jeżeli nie w Warszawie, to poza nią, takie gremia naukowe, które wolne od środowiskowych uwarunkowań zechcą w tej sprawie dochodzić prawdy, a nie chronić nadwątloną reputację historycznych hochsztaplerów. ●

Waldemar Stopczyński

• Prezes Stowarzyszenia im. Bolesława Srockiego; nauczyciel języka polskiego w Pierwszej Społecznej Szkole Podstawowej w Gdyni; autor artykułów naukowych o zamachu na Kutscherę oraz wydanej przez Muzeum II Wojny Światowej książki „W kręgu Bolesława Srockiego. Ludzie „Petu". Relacje-wspomnienia-polemiki".

Historia krzepi

Powódź 1924

Sto lat temu też nas zalało, ale klęski żywiołowe nie rodziły wtedy hien politycznych.

Notatecz

Powódź na Opolszczyźnie i Dolnym Śląsku zdarzyła się sto lat po tym, jak Polskę doświadczył jeszcze groźniejszy kataklizm. Wywołały go wiosenne roztopy z początku kwietnia 1924. „Do 20 marca – zanotował w diariuszu 5 kwietnia 1924 senator Juliusz Zdanowski – duże mrozy i śniegi. Potem potop".

W dorzeczu Wisły sytuację dramatycznie pogorszyły zaniedbania infrastruktury przeciwpowodziowej z czasów zaborów. Płynąca przez Austrię, Rosję i Niemcy Wisła nie miała gospodarza i była jedną z najdzikszych rzek europejskich. Pilnowały tego rosyjskie i austriackie sztaby, dla których Wisła była ważną przeszkodą utrudniającą działania nieprzyjacielowi. Łatwo więc zamieniała się w nieokiełznaną bestię.

Tak było wiosną 1924, gdy po wyjątkowo śnieżnej zimie przyszły roztopy, które doprowadziły do gwałtownego wezbrania wód. Zmorą okazały się zatory lodowe blokujące rzeki. Najpotężniejszy utworzył się na Wiśle pod Modlinem, co doprowadziło do zalania stolicy. Nie pomogło ostrzeliwanie mas lodu przez artylerię. Tereny leżące poniżej skarpy wiślanej znalazły się pod wodą. Najbardziej ucierpiały okolice ulicy Czerniakowskiej, gdzie woda wdarła się do domów. Groźnie było też na prawym brzegu, głębiej zalanym, ale rzadziej wtedy zaludnionym. Z podtopionymi tam osadami komunikacja odbywała się wyłącznie łodziami.

Żywioł pochłonął też nadrzeczny pas ziemi, szeroki od trzech do pięciu kilometrów, od Warszawy aż do Włocławka, którego niżej położona część też padła ofiarą powodzi.

W Toruniu mimo rozpaczliwych wysiłków wojska i mieszkańców fala powodziowa przelała się przez wały i wdarła na Nizinę Ciechocińską. Wysoki poziom Wisły spiętrzył Brdę, która w Bydgoszczy zamieniła ulice w kanały. Linia kolejowa łącząca to miasto z Gdańskiem została podmyta i tylko dzięki poświęceniu kolejarzy udało się uniknąć dłuższego przerwania komunikacji.

Znaczne tereny zalały też dopływy Wisły, zwłaszcza San, Bug i Narew. Najboleśniejsze były straty w ludziach, w całym kraju idące w dziesiątki osób. Z wezbraną wodą popłynęło wiele wiejskich domów i zabudowań gospodarczych, często z inwentarzem. Ofiarą żywiołu padły też mosty, w tym świeżo odbudowane ze zniszczeń wojennych. Uszkodzonych zostało wiele dróg i linii kolejowych. Trzeba było m.in. przerwać komunikację kolejową pomiędzy Warszawą i Lwowem.

W Wielkopolsce najgroźniejsza była Warta. W Poznaniu fala powodziowa mierzyła 6,5 metra. Znaczna część miasta była pod wodą przez prawie miesiąc. Zalane zostały również rozległe połacie Kresów Wschodnich. Największe szkody poczyniły Dniestr, Styr i Prut. Szeroko rozlały się rzeki Polesia, w tym największa – Prypeć, nie spowodowały jednak wielkich strat. Miejscowa ludność obyta była z wodą, a zacofanie gospodarcze tych terenów sprawiło, że żywioł mógł zniszczyć mniej niż w bogatszej części kraju.

W skali państwa zniszczenia były jednak ogromne, nie tylko w miastach, ale i na wsi, gdzie kataklizm dotknął kilkaset tysięcy hektarów użytków rolnych. Jeszcze w kolejnych miesiącach aura nie sprzyjała rolnictwu. Ściągnęło to na kraj kolejną plagę.

„Nieurodzaj tegoroczny – mówił w sejmie 22 października 1924 premier Władysław Grabski – jest wielką i ciężką klęską, która nas spotkała."

Zbiory okazały się mniejsze o 30-40 proc. niż rok wcześniej. By zapobiec niedoborowi żywności, rząd wprowadził wysokie cła na produkty rolne. Dodatkowo pogorszył sytuację sięgający blisko 40 proc. spadek na rynkach światowych cen węgla, drewna i cukru, stanowiących główne produkty polskiego eksportu.

Zachwiało to nie tylko budżetem, ale i przeprowadzaną od początku 1924 roku reformą walutową. Na szczęście ogromnym wysiłkiem rządu Grabskiego wspieranego przez opinię publiczną udało się zapobiec ponownemu rozchwianiu finansów publicznych i nawrotowi inflacji. Było to możliwe także dlatego, że spadające na kraj klęski nie zrodziły hien politycznych żerujących na tym nieszczęściu. Sto lat po tamtym doświadczeniu pozostaje tylko żałować, że zachowania części polityków w czasie ostatniej powodzi nie pozwalają na powtórzenie tej konstatacji. ●

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego.

eprasa.pl d6338e1d66

weekendówka 124

KRZYSZTOF ODKRYWCA

Była godzina 2 w nocy, 12 października 1492 roku. Pełniący wachtę w bocianim gnieździe na karaweli „La Pinta” marynarz Rodrigo de Triana zakrzyknął „ziemia, ziemia!”. Przed nim majaczyła wysepka w archipelagu Bahamów, zwana przez tubylców Guanahani. Prawdopodobnie ten 23-letni wówczas Hiszpan był pierwszym Europejczykiem, zapewne wyjąwszy wikingów, który ujrzał ląd amerykański.

Jednak ten, za sprawą którego de Triana w ogóle pojawił się w okolicach Bahamów, Genueńczyk Krzysztof Kolumb, uznał, że są godniejsi tego zaszczytu. Dokładniej – on sam. Stwierdził, co zapisał też w swoim dzienniku, że już cztery godziny wcześniej dostrzegł światełko, „niczym płomień świecy, pojawiający się i niknący”, był on jednak tak niewyraźny, że nie odważył się zawyrokować, że to ląd. W końcu się jednak odważył, a ośmieliła go z pewnością obietnica dożywotniej emerytury, przyobiecana przez hiszpańską parę królewską pierwszej osobie, która dojrzy ląd.

Kolumb nazwał odkrytą wyspę San Salvador – Święty Zbawiciel, na cześć Jezusa Chrystusa. Pytanie, która to była wyspa? Z początku uważano, że Kolumb wylądował na wyspie dziś znanej jako Cat Island, ale w 1925 roku badacze zmienili lokalizację kolumbowego San Salvador przenosząc go na inną, określaną wcześniej jako Watling Island – od jej oficjalnego (?) odkrywcy, Anglika Johna Watlinga. Niektórzy utożsamiają San Salvador z inną jeszcze wysepką archipelagu, Samana Cay.

Na której ostatecznie wylądował – pewności stuprocentowej nie ma. Napotkanych tubylców nazwał los indios – czyli Indianami, był bowiem święcie przekonany, że dotarł był do Indii. Stąd też ziemie, które odkrywał, ochrzcił Indiami Zachodnimi, który to błąd ma skutki do dziś – tak bowiem określane są Bahamy wraz z Małymi i Wielkimi Antylami, czyli wyspy leżące między Atlantykiem a Morzem Karaibskim.

Dzień 12 października 1492 roku uznawany jest za oficjalną datę odkrycia przez Europejczyków Ameryki, a także za jedną z dat oznaczającą koniec epoki średniowiecza a początek odrodzenia. Choć trudno odrodzeniem nazwać to, co przybycie Kolumba do Ameryki oznaczało dla mieszkających tam ludów, w tym kilku zaawansowanych cywilizacji.

Po 12 października 1492 roku świat na pewno nie był już taki sam. Dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy więc Kolumbowi, i szerzej tematyce okołokolumbijskiej, bo przydadzą się wiadomości z literatury, filmu, a nawet chemii!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

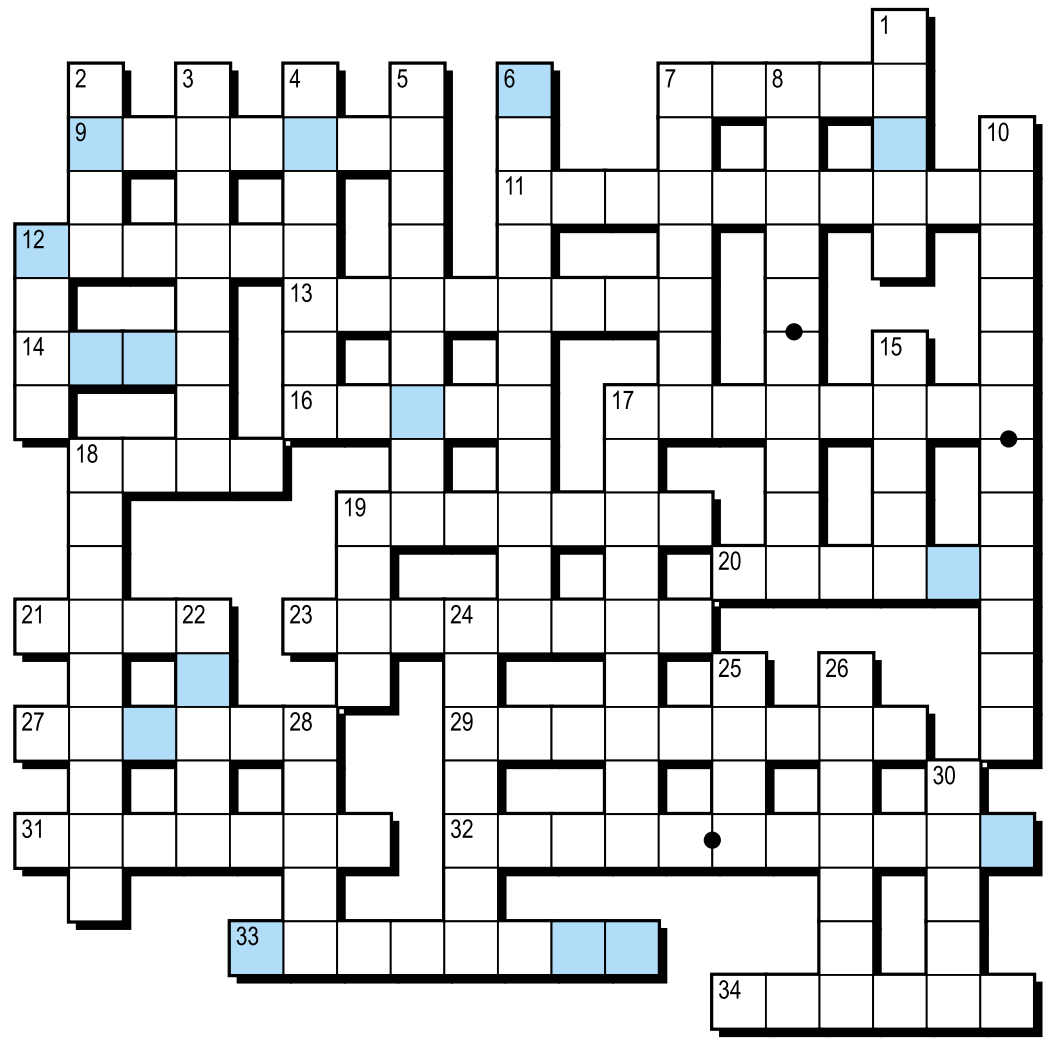

KRZYSZTOF KOLUMB
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
7) La Gomera, z której Kolumb odpłynął 6 września 1492 r., uzupełniwszy zapasy
9) królowa ... Kastylijska, sfinansowała wyprawę w 1492 r.
11) nazwa, którą nadano Haiti
12) „O, Kolumb się znalazł” – rzekł Pawlak, słysząc, że ... też wybiera się do Ameryki
13) opowieść o jajku Kolumba
14) barwa żagli na okrętach Kolumba (zwykle przedstawiane z czerwonymi krzyżami)
16) kruszec pożądany do dziś
17) „Pinta” Krzysztofa Kolumba
18) waluta Kolumbii
19) ... europejskich roślin uprawnych, sprowadzone przez Kolumba do Ameryki
20) kraj z Kolumbią Brytyjską
21) np. miasto takie jak 1 pionowo
23) o ich zdobyciu marzyli i żeglarze, i królowie
27) imię odtwórcy roli Krzysztofa Kolumba w filmie „1492. Wyprawa do raju”
29) „... – Kolumb Księżyca”, tytuł wiersza Stanisława Grochowiaka (nazwisko astronauty)
31) w 1500 r. Kolumb na rozkaz hiszpańskich monarchów wrócił do kraju jako ...
32) autor powieści „Kolumbowie. Rocznik 20”
33) prestiżowy amerykański uniwersytet z siedzibą w Nowym Jorku
34) James Fenimore, autor powieści „Krzysztof Kolumb”

Pionowo:
1) hiszpańskie miasto, z którego wyruszyła wyprawa w 1492 r.
2) jeden ze statków Kolumba
3) skomponował muzykę do filmu Ridleya Scotta „1492. Wyprawa do raju”
4) marynarz na karace
5) hiszpańskie miasto z pomnikiem Kolumba na wysokiej kolumnie
6) Columbia, która 12 kwietnia 1981 r. odbyła pierwszy lot kosmiczny
7) ryzykowna – to eskapada
8) największy z trzech okrętów Kolumba
10) marynarze
12) wyspa odkryta 12 października 1492 r.
15) rodzinne miasto bohatera tej krzyżówki
17) podbój Ameryki Południowej i Środkowej przez Hiszpanów i Portugalczyków po 1492 r.
18) ... Kolumbów
19) pierwiastek chemiczny, którego dawna nazwa to Columbium
22) zawód ojca Krzysztofa Kolumba
24) wyraz „Kolumb” względem słowa „kulomb”
25) Kolumba – w Sewilli
26) bocianie – na dawnym okręcie
28) imię pierwszego syna Krzysztofa Kolumba
30) Kolumb nigdy do nich nie dotarł

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 123 z 5.10

Poziomo: 1) mundurek, 8) lanista, 10) Siłaczka, 11) asystent, 13) Keating, 14) Pfeiffer, 15) laurki, 18) akademia, 20) Madame, 21) dni, 24) mentorzy, 26) ocena, 27) Ania, 28) Kaziuk, 30) Bladaczka, 32) gog, 33) działaczka, 34) Sarsa, 35) maluszki, 36) wuefistka.
Pionowo:, 2) uczennica, 3) Diaz, 4) rada, pedagogiczna, 5) Kleyff, 6) Libera, 7) Latter, 9) tutor, 12) trener, 14) Paweł, Zawadzki, 15) Lord, 16) uśmiech, 17) Pimko, 19) Adam, 22) wysługa, 23) bakałarze, 25) Niziurski, 28) Karta, 29) kaganek, 30) beanus, 31) izba.

HASŁO:
GUWERNANTKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34310976

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ
Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz
Pobierz w App Store
POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

1 RP

eprasa.pl d6338e1d66